UWAGA! NOWY CYKL PROFIL CD !

CO MIESIĄC PŁYTA

kwiecień 04/112

www.slizg.com.pl

ślizg

hip-hop/extreme m

snoop exclusive dogg

beatnuts
hemp gru
slums attack
mike patton
trzeci wymiar

numer 04/112
kwiecień 2005
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6.90 PLN
(w tym 7% VAT)




Red
&
Spinache

za trzy

pezet & noon



PEZET

Trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Geografia, matematyka, biologia

Trzy postacie – bohaterowie:
Jay-Z. Tony Montana, Magic Johnson

Trzy antypatie – leszcze:
Agnieszka Chylińska, Roman Giertych, jeden z moich sąsiadów

Trzy napoje:
Gin ze Spritem, Whisky z Colą, Cola

Trzy potrawy:
Kebab, sushi, kaczka po pekińsku

Trzy programy tv:
Amerykańskie Yo! Mtv Raps (to stare), Co z tą Polską?

Trzy płyty:
Jay-Z „Reasonable Doubt", Nas „Illmatic", 50 Cent „Get rich or die tryin'"

Trzy filmy:
„Scarface", „Nienawiść", „Paid in full"

Trzy książki:
„Lenin" Ossendowskiego, „Ojciec Chrzestny" Puzo, „Kolekcjoner" Fowlesa

Trzy kolory:
Granatowy, biały, kanarkowy

Trzy cyfry:
8, 1, 7

Trzy imiona:
Aśka, Zuza, Kaśka... Karolina, Magda

Trzy napisy na murach:
„Balcerowicz musi odejść", „HWDP Sokistom". „Jebać Polonię"

Trzy dziewczyny:
Karolinka, Ania Przybylska, Jennifer Lopez,

Trzy miejsca:
Park na Ursynowie, Sushi 77 na Żelaznej, mój pokój

Trzy zainteresowania:
Hip-hop, hip hop, seks

Trzy gadżety:
Pilot od telewizora, telefon komórkowy, discman

Trzy ulubione słowa:
Kurwa, dokładnie, generalnie

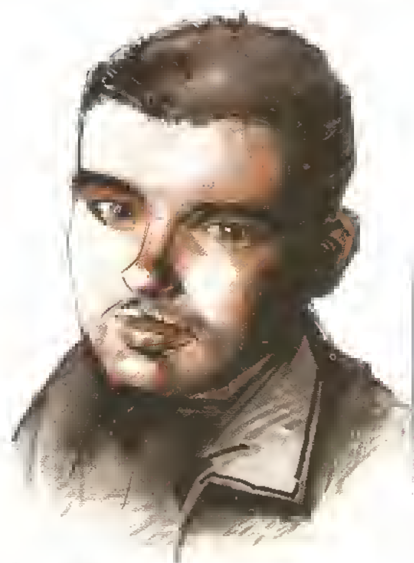
Trzy sukcesy:
„Muzyka Klasyczna", Seks na tylnim siedzeniu samochodu, to, że nie zdobędę przyszłego Fryderyka

Trzy porażki:
Pierwszy raz, to, że zdobędę Fryderyka, wybór dziennikarstwa

Trzy plany na przyszłość:
Rzucić szkołę, rozkręcić własny biznes albo wyjechać z kraju

Trzy rzeczy ode mnie:
Powinienem był rzucić hip-hop albo urodzić się w Stanach, trzeba koniecznie stąd wypierdalać albo zostać posłem

Pezet to warszawski raper z Płomienia 81. Noon jest producentem szerzej kojarzonym dzięki Grammatikowi. Obaj udowodnili, że są w stanie robić muzykę poważną i rozrywkową, która szybko staje się klasyczna. Lista dokonań jest spora: rewolucja w technice składania słów, beaty o niespotykanej dotąd wartości emocjonalnej, nieustanne poszukiwania twórcze. O sukcesach, porażkach i wielu innych kwestiach przeczytacie poniżej



NOON

Trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Biologia, niemiecki, rosyjski
Trzy postacie – bohaterowie:
Bender, Dr. Soidberg, Henry Chinaski
Trzy antypatie – leszcze:
Świat, życie, rzeczywistość:)
Trzy napoje:
Whisky, Franziskaner, cydr
Trzy potrawy:
Sushi, chilli, smalec
Trzy programy tv:
Sonda, Nba action, Pimp my ride
Trzy płyty:
„Masquerades i silhouettes", „Endtroducing", „Music for airports"
Trzy filmy:
„Solaris" Soderbergha, „Miś", „Gladiator"
Trzy książki:
„Kłopoty to męska specjalność", „Kobiety", „Listonosz"... Cokolwiek Bukowskiego przed „Szmirą"
Trzy kolory:
Szary, miejski zielony... a tak w ogóle to nie rozróżniam, bo mam wadę wzroku...
Trzy cyfry:
33, 45, 72
Trzy imiona:
Arek, Sylwek i Czarek
Trzy napisy na murach:
„Noon chuj", „Żydzi są cool", „Życie grozi śmiercią"
Trzy dziewczyny:
Jedna starczy
Trzy miejsca:
Studio, sklep płytowy, monopol
Trzy zainteresowania:
Poza muzyką nie mam za bardzo czasu na zbieranie znaczków
Trzy gadżety:
Akai MPC, Machinedrum, Commodore 64
Trzy ulubione słowa:
As, baran, w szoku
Trzy sukcesy:
Właściwie to przede mną
Trzy porażki:
Olanie koszykówki, pozostanie w kraju... tyle
Trzy plany na przyszłość:
Osiem bitów ep, rozwój s-33, wyjazd do Japonii
Trzy rzeczy ode mnie:
Pijcie mleko...

ŚLIZGERY 04

Nadeszła wiekopomna chwila... Czasy, w których tak zaczynało się przemówienia, już dawno odeszły. Ale nadeszła chwila, by ogłosić zwycięzców ŚLIZGERÓW 2004! Oto pełna lista nagrodzonych i nominowanych we wszystkich kategoriach.

W kategorii Płyta Roku

zwycięzcą jest:
O. S. T. R. „Jazzurekcja"
Nominowani byli ponadto:
AbraDab „Czerwony Album"
Łona „Nic dziwnego"
K. A. S. T. A. Skład „Kastatomy"
Numer 1/ DJ 0 „Muzyka, bloki, skręty"
Pan Duże Pe „Sinus"
Hemp Gru „Klucz"
Kanał Audytywny „Płyta skirtorytmiczna"

W kategorii Wykonawca Roku
zwyciężył:
O. S. T. R.
Nominowani byli ponadto:
AbraDab
Pezet
Łona
K. A. S. T. A. Skład

W kategorii Utwór Roku
zwyciężył:
Pezet/Noon „Szósty zmysł"
Nominowani byli ponadto:
AbraDab „Rapowe ziarno"
Zipera „Bez ciśnień"
O. S. T. R. „Odzyskamy hip-hop"
WWO + Vienio i Pele „U Ciebie w mieście"

W kategorii Debiut Roku
zwycięzcą jest:
PCP – Północ Centrum Południe
Nominowani byli ponadto:
Analogia „Esensja czysta"

W kategorii Teledysk Roku
zwyciężył:
K. A. S. T. A. Skład „Rzucam"
Nominowani byli ponadto:
WWO + Vienio i Pele „U Ciebie w mieście"
AbraDab „Rapowe ziarno"
MorW. A. „Dla Słuchaczy"
WWO „Sen"

W kategorii Producent Roku
zwyciężył:
White House (Magiera & L. A.)
Nominowani byli ponadto:
Noon
SiSquad
Praktik
O. S. T. R.

W kategorii DJ Roku
zwyciężył:
DJ Eprom
Nominowani byli ponadto:
DJ Haem
DJ Cent
DJ Taśmy
DJ Feel-X

Ponadto przyznaliście w głosowaniu czytelników nagrodę dla Osobowości:
Mor W. A.

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35,
tel/fax +48 (prefix) 226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa
41-1500-1777-1217700-66518-0000
Dyrektor Wydawnictwa / Redaktor Naczelny: Łukasz Kowalski (rednaczkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl), Krzysztof Grabowski (grabiszczy@o2.pl)
Korekta: Paweł Gadaczek
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki (moleksicki@wp.pl)
Zespół: Fala, CNE, DJ Spox, Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Sebastian Rerak, Yarrek, Dobry Piotrek, Sebastian Imbierowicz
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Promocja: Marta Wieteska (marta.wieteska@slizg.com.pl)
Sekretariat: Monika Jurczak
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie: ELANDERS
Adres redakcji: Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48 (prefix) 22 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl



GLOBALNE KOWALSTWO
yyyy...

słuchanie Verby na razie ograniczyłem do singla. wystarczy mi w zupełności. powodowany żywą ciekawością sięgnąłbym po całą płytę, jak zresztą sięgam po większość legalnych produkcji wydawanych w Polsce, gdyby nie skretyniała zapowiedź reklamująca album – zupełnie nowy wymiar hip-hopu, czegoś takiego jeszcze nie było. bo bez loopów, sampli, a to wszystko dzięki temu, że jeden z tych koleżków gra na pianinie. od dziecka, czyli od małego.

słuchając rzewnej historii opowiedzianej w singlu, patrząc na cudowne wręcz zestawienie ziomalizmu z białym pianinem, doszedłem do wniosku, że najwyraźniej operacje małym się nie udały tak, jak udać się powinny. zapewne należy się z tego powodu cieszyć, gdyż gdyby się powiodły, scena nasza nie wzbogaciłaby się o tę wyjątkową singlową pozycję, którą wytwórnia UMC kolejny raz potwierdziła, że jest niezatapialna. 18L się obrazili i sobie poszli do majorsa, ale to nic. wystarczyło znaleźć rapera, który ma opanowane podstawy pianinka i znów można rozpocząć drogę na szczyt. uwaga – ja nic do tego nie mam. każdy ma prawo do szczęścia i zarabiania pieniędzy tak, jak mu się podoba. tylko niech potem Mezo nie dziwi się naiwnie i niech nie wyraża oburzenia, że na przykład Pei nie podoba się to, co na wielką skalę wyprawia poznańska wytwórnia. bo co z tego, że w jej katalogu znajduje się kilka interesujących płyt, skoro na szeroką skalę lansowane są tylko pianinka i wypinające się we wszystkie strony panienki? nawet wspomniany Mezo, którego uważam za bardzo zdolnego rapera, nagrywa niezłe zwrotki na swój nowy singiel, by ostatecznie przemielić je refrenem a'la Stachursky przed mutacją. kawałek ten spokojnie może wejść do kanonu utworów, którym refren zrobił sporą krzywdę. ale istnieje uzasadniona obawa, że bez tego refrenu nie chwyciłoby. uwaga – to nie moja obawa.

polski rap na dobre wszedł w okres śpiewu i tańca. jesteśmy więc w domu! w Ameryce znaczy, gdzie śpiewa się i tańczy „po rapowemu" już od dawna. tylko dlaczego śpiewający i tańczący w „Candy Shop" 50 Cent przeraża mnie mniej? bo dziewczyny ładniejsze i beat lepszy? też, z pewnością. chodzi jednak o coś więcej. chodzi o autentyzm. polski hustla ubierze się w bluzę z kapturem i siądzie przy pianinie, czym wywoła radosny rechot. oczywiście, śmiać się będą ludzie ze środowiska, może grupa bardziej wysublimowanych odbiorców, a panienki będą się mazgaić i marzyć o tym, by w końcu zostać groupie i pocieszyć strapionego nieudanym związkiem rapera, przy okazji wydając plny na fonogram. no i pięknie, biznesisbiznes, więc należy pogratulować. tylko, na miłość Boską, niech nikt nie stara się tłumaczyć, że to nowe, odkrywcze i że tego jeszcze nie było. polscy producenci tworzyli już płyty grane od podstaw, o czym w UMC wiedzieć nie muszą, bo ci akurat producenci w katalogu tej wytwórni nigdy się nie pojawią. wiedzieć nie muszą, ale powinni.

„Odzyskamy hip-hop" – zapowiada Ostry w swoim pierwszym singlu z Jazzurekcji. otóż nie, Adamie, nie odzyskamy go już. można liczyć na to, że ten mniej całuśny będzie żył i się rozwijał, ale rapowa chała zataczać będzie coraz szersze kręgi. można liczyć na to, że „patent z białym pianinkiem" w końcu się masowym słuchaczom znudzi, albo też, że nauczą się czegoś bądź wrócą do korzeni. do korzeni, gdzie pianino występowało zawsze i gdzie zdarzało się ludziom w kapturach grać na nim. ale gdzie nie było castingowego musu i parcia na łzy oraz wzdychania małolatek. tylko że gdy znudzi się pianinko z kapturem, to pewnie pojawi się saksofon z zimową czapką...

i jeszcze na koniec. nie jestem wrogiem żadnego wykonawcy hiphopowego, nawet tego, który powoduje u mnie wybuchy niezdrowego śmiechu. hip-hop to wolność, więc można z siebie robić baranka w świetle jupiterów i przy dużej oglądalności. całuśnych w hip-hopie nigdy nie brakowało, a byli w nim tak naprawdę od początku. tylko niech niektórzy przestaną w końcu wmawiać, że jest to jedyne w swoim rodzaju, oryginalne i wyjątkowe.

KOWALSKI

P. S. chciałbym raz jeszcze serdecznie podziękować Szacownym Członkom Kapituły Ślizgerów 2004. dzięki za otwartość, podjęcie tematu i przesympatyczne, ale bardzo rzeczowe obrady. Monika Dąbrowska, Hirek Wrona, CNE, WSZ, Bartek Chaciński, Tomek Michniewicz, Całak, Lexus, Marek Zioło, Flintstone – 1Luv!



longsleeve'y MC

Co prawda gdy zamykaliśmy ten numer Ślizgu, za oknami była zima jak się patrzy, ale już czuć nadchodzącą dużymi krokami wiosnę. A na wiosnę robi się fajnie, ciepło i można wreszcie wyskoczyć na dwór w samej koszulce, a do szafy schować puchówki, swetry i inne takie. A jeśli longsleeve, to dlaczego nie taki, jak te od firmy MC? Wygodne, solidnie uszyte i na dodatek z fajnymi wzorami. Po prostu coś, co fajnie się nosi.

bazaar
gadżety



kurtka MASS

Kolejna wiosenna kurteczka z kolekcji MASS. Świetny krój oraz wysoko zapinany, znakomicie ukształtowany kaptur chroniący przed złymi warunkami atmosferycznymi, uprzyjemnią każdą drogę do szkoły, wycieczkę na koncert czy nocną akcję grafitti. Do tego cztery pojemne, sprytnie maskowane kieszenie, delikatne dodatki z logo oraz jak zwykle świetne wykończenie całości. Kurtka dostępna jest w pięciu wersjach kolorystycznych (w tym kamuflaż). Jeśli jeszcze można było poprawić taką klasyczną kurtkę, to udało się to właśnie projektantom z MASS Denim.



koszulka MASS

T-shirtów w ofercie MASS na to lato znajdziecie aż 30 wzorów, natomiast oprócz nich nas zainteresował mniej standardowy. Produkt ten należy do sportowej linii ciuchów MASS i usatysfakcjonuje każdego, kto szuka właśnie takiej stylistyki, dużego haftowanego logo i luźniejszej rozmiarówki. T-shirt wykonany jest z grubszej niż zwykle dzianiny bawełnianej, ma grube ściągacze i to, oprócz wspomnianych cech, wyróżnia go na tle innych dostępnych ciuchów. Oprócz tego w całej kolekcji sportowej dostępne są również koszulki koszykarskie, footballowe, etc.



buty CLASSIC 88

88 Footwear to marka, która przebojem wbija się na polski rynek. Ich pierwszym rodzimym riderem jest Jacek Pawłowski, a to pewnie nie jest koniec, tak więc skejciki czekajcie, a może to jeden z was dołączy do tego teamu. W czasie oczekiwania na ofertę od szefów 88 możecie nabyć sobie zajebisty bucik Bomber (najlepiej w wersji białej!!!!!), który charakteryzuje się prostym (ale wcale nie prostackim!!) designem i stonowaną kolorystyką. Idealne obuwie na deskę i wiosenne przebieżki.



Reebok G UNIT II

Model G UNIT II stworzony przez 50 Centa i Reeboka jest już dostępny w Polsce. Hiphopowe buty to nie tylko odzwierciedlenie wybuchowej mieszanki najlepszej muzyki i gwiazd rapu. Wyglądem buty G UNIT II nawiązują do image'u i sposobu bycia 50 Centa. Sylwetką przypominają tenisowy but w stylu retro a agresywne połączenie czerni z czerwienią oddają sposób życia ich współtwórcy. Wysoka jakość i świetne wykonanie – klasowy produkt. A przy okazji: Reebok organizuje największą od 10 lat, światową kampanię marketingową i reklamową: „I AM WHAT I AM" (JESTEM KIM JESTEM). Podkreśla ona indywidualność i autentyczność, a występują w niej same gwiazdy: Allen Iverson, Andy Roddick, Steve Williams, Jay-Z, Lucy Liu, Yao Ming i 50 Cent.



czapki STOPROCENT

Tak już się tu w redakcji za wiosną stęskniliśmy, że nam tylko wiosenne ubrania w głowie. A czasem i na głowie, tak jak te dwie gustowne czapki od Stoprocent. Fajne i wygodne (nie ściskają mózgu, jak niektóre bejzbolówki), a to tylko dwa wybrane modele z całej, nowej kolekcji.



buty LURKER 88

Peter Hewit to znany rzeźnik, który nie przejdzie obojętnie wobec żadnego pustego basenu. Tak, jego specjalnością są poole i oldschoolowe triki. W takiej też stylistyce zaprojektował swój pierwszy pro model buta. Przypomina on trampki, jakże modne w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Mają one mięciutką podeszwę, dzięki której idealnie czuje się deskę, dlatego nie polecam ich tylko fanom basenów, świetnie nadadzą się także dla amatorów flipów.



NASTAW FALE
śmiech przeciwko dziwkom

Dzień kobiet uświadomił mi, że dawno już nie znęcałam się nad płcią piękną. A cóż to za zaniedbanie, tyle się przecież działo. Naszkicujmy obraz rzeczywistości wylosowany z różnorakich mediów.

Na konferencji prasowej „Teraz dziecko" rzecznik ds. równego statusu kobiet i mężczyzn (uff, ale długa nazwa), czyli pani Środa, ubolewała nad ujemnym przyrostem naturalnym grożąc nam wyginięciem w ciągu półwiecza. Na całe nasze szczęście raperzy, dj'e, producenci, właściciele firm ciuchowych a nawet dziennikarze hiphopowi z rozmnażaniem problemów nie notują. Uszy do góry, hip-hop znów uratuje to społeczeństwo!

Szóstego marca odbył się pochód przebierańców w ramach podobno kobiecego święta kobiet. Obok wytatuowanych i – jak wszyscy wiemy – brzydkich feministek wystąpili tęczowi jednocząc się w swej niedoli. Trochę to dziwne, co by nie było, to jednak faceci a facet twój wróg. Hmm, a czy geje dyskryminują kobiety? Jaki ten dzisiejszy świat skomplikowany!

Przejdźmy do prostszych spraw, i prostszych ludzi. Miesięcznik Pani opstrykał ulubienicę mediów Dodę Elektrodę w ubraniu, co wywołało w redakcji pewną konsternację. Nikt owej Dody nie poznał. Wtedy na ratunek ruszyła dzielna naczelna i zaordynowała, by na okładce zamieścić wskazówkę „To też Doda". Aha, i teraz już wiemy, że przynajmniej raz na miesiąc budzi się bez make-upu i daje się ubierać. Ale to chyba każda lalka.

O tych, co jednak nie uwierzyli, że to była też Doda, zadbał miesięcznik dla podstarzałych impotentów CKM, który na okładce zamieścił Dodę w wersji prototypowej. Na zamalowanej różnokolorowym klajstrem twarzy nie rysuje się żadna myśl, natomiast wyraźnie zarysowuje się biust. Przy okazji dowiadujemy się, na jakim poziomie jest obecnie chirurgia korekcyjna, a jest na wysokim, tak jak wysokie pułapy są dodowych piersi. Oszukać można z pewnością grawitację, ale nie mnie, choć jestem również niestety Dodą (zbieżność imion jest przypadkowa, dosłownie nic obie nie mamy w tym samym miejscu).

Jeśli chodzi o biust to jestem już ekspertem. W drodze do pracy mijam wystawę zdjęć z kalendarza Pirelli, z której mrugają do mnie naoliwione sutki znanych modelek, a kioski na przystankach autobusowych zapewniają mi porcję cycków każdego poranka.

Nie jestem natomiast ekspertem od damskich genitaliów. Tu palmę pierwszeństwa oddać muszę Mei i przyznać, że znacznie rozszerzyła moje horyzonty, także jako raperki. Nie słyszałam nigdy tak nafaszerowanej mięchem kobiecej zwroty w kwiecistym języku naszych dziadów. Mei ewidentnie sięgnęła po dziewiętnastowieczne inspiracje skoro wprawnie korzysta z terminów „muszla" i „pała". Może nawet przeżywała pierwsze uderzenia gorąca podczas lektury „Trzynastej księgi Pana Tadeusza". Dowiedziałam się też, że słowa typu „dziwka", „szmula" i „kurwa" można zastosować opisując mężczyznę. Pomysł nawet, nawet. A no i oczywiście zaskoczona jestem, że taki krwisty, za przeproszeniem, stek może się składać na całkiem jadące flow. No, no.

A teraz krótka nota biograficzna. Specjalnie dla Ślizgu o swoim psychospołecznym rozwoju w latach 90. mówi Fala: W przeszłości, ilekroć tłumaczyłam sobie w myślach teksty z „Hard core" Lil'Kim aż dostawałam wypieków, ale moje poczucie estetyki nie przepuszczało tych sformułowań przez ciasną bramkę strun głosowych. No i nie wiem, może to wrodzona pruderia (znajomi się śmieją), może moja niechęć do przekleństw (znajomi przecierają oczy ze zdumienia), a raczej nic z tego, tylko zwykły szacunek do siebie samej, swojego ciała, i innych ludzi nie pozwala mi ani wypluć z siebie, ani przełknąć rapu w tak ginekologicznej wersji. Chętnie streściłabym czytelnikom fabułę, ale wiję się i męczę i chyba nie dam rady.

Powracam do narracji. Gdy w Internecie zobaczyłam czarno-białą fotkę owej Mei pływającej w wannie przemknęła mi przez głowę prześladowcza myśl, czy to aby nie prowokacja i żart z Paresłów, ale może po prostu jestem na punkcie sesji zdjęciowych w wannie nieco przewrażliwiona. Ale jeśli to nie był żart, to tym gorzej dla blondi, bo zdjęcie jest jak z Weekendowego Katsa (czy jak tam się nazywają te porno wycieruchy) i to nadesłane przez czytelniczkę. Aż dziw bierze, że taka dziw, która każe na siebie wołać „sucz, z którą się nie zadziera", ma dziecięcy głos, co niebezpiecznie wysoko podkręca ten kawałek na skali perwersji. Cóż, mam nadzieję, że owa dama skończyła 16 wiosen.

Ech, kobiety, mam ja z wami los. Chcecie być feministkami, a nie chcecie być kobietami. Zadziwiające. Niestety tak już ten świat jest skonstruowany, także ku rozpaczy gejów, że jest się albo kobietą albo mężczyzną. A jeśli się jest kobietą i chce się walczyć o poszanowanie dla swojej płci, trzeba wyciągnąć oręż do walki z tymi przejawami życia społecznego, które kobiecość uprzedmiotowiają. Czyli z czym? Z prostytucją i pornografią moje miłe panie. I z cyckiem podobno inteligentnej Dody (test na IQ został bezsprzecznie skompromitowany), i z żenującą nie tylko rynsztokowym słownictwem, ale głównie kurewską mentalnością Mei, ale i też z mega seksistowską reklamą Simplusa, na której atrakcyjność kobiety sprowadzona jest do bujających się piersi. To ja już wolę brzydulę Heyah, przynajmniej ma hiphopowe afro i poczucie humoru. Bo co poza śmiechem nam pozostaje?

Fala



MROCZNA POŁOWA
Stephen King
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Thad Beaumont to pisarz, który mimo uznania krytyki nigdy nie zdobył popularności pisząc pod własnym nazwiskiem. Inaczej rzecz się ma z książkami, które stworzył jako George Stark – brutalne i krwawe kryminały zyskały wielu fanów i ukazywały się w milionowych nakładach. Nadszedł jednak dzień, gdy Thad ujawnił swoją tajemnicę, jednocześnie symbolicznie grzebiąc Starka i odcinając się na dobre od tego rodzaju literatury. Wkrótce jednak zaczynają ginąć ludzie związani z ujawnieniem „podwójnej tożsamości" pisarza. I wszystko wskazuje na to, że zabójcą jest... George Stark. Jednak czy może zabijać ktoś, kto nigdy naprawdę nie istniał?

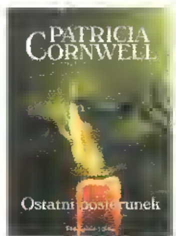
Zdecydowanie jedna z najciekawszych książek Kinga. Nie tylko dlatego, że akcja toczy się w okolicach wymyślonego przez autora miasteczka Castle Rock (a jakoś tak się składa, że powieści tam osadzone należą do udanych). Głównie dlatego, że książka jest swoistym rozliczeniem Kinga z własnym alter ego (część swoich powieści w latach 80. autor publikował pod nazwiskiem Richard Bachman). Jednocześnie jest to inteligentna wypowiedź na temat dwoistości natury pisarza jako „zawodowego" zmyślacza. A wątków i znaczeń można z niej wyciągnąć jeszcze więcej. Przy tym pozostaje po prostu wciągającą, trzymającą w napięciu powieścią rozrywkową. I na tym polega geniusz Kinga: pod pozorem lekkiej rozrywki potrafi przemycić więcej prawdy o życiu niż niejeden pisarz poważnej literatury. (jd)



JONATHAN STRANGE I PAN NORREL t. 1 i 2
Susanna Clark
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Mam alergię na książki, wokół których jest tzw. wrzawa medialna. Z reguły jest tak, że gdy okładka powieści pojawia się na billboardach, omijam ją z daleka. Na szczęście w tym przypadku, mimo że było o książce w mediach dosyć głośno, po pewnym czasie sięgnąłem po tę pozycję (z pewną dozą nieśmiałości). Piszę „na szczęście", bo kroku tego ani trochę nie żałuję. Śmiem nawet twierdzić, że jest to książka, jak na kanon fantasy, bardzo dobra i w pewien sposób odkrywcza. Podoba mi się przede wszystkim opis magii panującej w tym alternatywnym do dziewiętnastowiecznej Anglii świecie. Magia jest tutaj przedstawiona jak coś bardzo tajemniczego, ale też zahaczającego o chorobę umysłową. Osoby będące pod wpływem czarów przypominają schizofreników, a ich przemyślenia i wizje są doprawdy chore. Jeśli chodzi o język i sposób pisania to „Jonathan Strange i pan Norrel" zasługuje na szóstkę. Idealny też jest klimat powieści, czyta się ją jak książkę napisaną na początku XIX wieku, momentami może akcja jest nieco statyczna, ale wszystko to służy budowaniu atmosfery.

Warto by nieco napisać o treści. Pierwsze tomy opowiadają o dwóch ostatnich angielskich magach, którzy żyją w świecie, gdzie magia została zapomniana i wspólnie, a później osobno, starają się przywrócić światu tę szlachetną sztukę. Nie będę więcej się rozpisywał i psuł wam przyjemności czytania, jeśli lubicie książki klimatyczne, pełne dwuznacznych sytuacji, które można różnorako interpretować, jest to pozycja dla was. (Oi Oi)



OSTATNI POSTERUNEK
Patricia Cornwell
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Pani koroner Kay Scarpetta (trzeba przyznać, że niezręcznie po polsku brzmi jej nazwisko) właśnie przyczyniła się do ujęcia seryjnego mordercy, samego siebie nazywającego Wilkołakiem. Ten jednak utrzymuje, że jest niewinny, co więcej, kieruje podejrzenia na Kay, a niektóre dowody wyraźnie wskazują na jej udział w zabójstwach. Kobieta z ofiary staje się podejrzaną o zbrodnię, a proces wcale nie będzie prosty... Typowy thriller do przeczytania w wolnym czasie. Bez uniesień i bez większych upadków, z nieco drażniącym sposobem narracji. Za to powinien spodobać się feministkom, bowiem bohaterka książki to naprawdę twarda i niezależna kobieta. Cykl o jej przygodach liczy zresztą już kilka ładnych tomów. Na mnie jednak większe wrażenie zrobiła wydana również w Polsce książka Patricii Cornwell „Kuba Rozpruwacz. Portret zabójcy", gdzie autorka dowodzi, że rozszyfrowała tożsamość osławionego londyńskiego mordercy. Nie do końca wiarygodna, ale za to bardzo wciągająca. (jd)



ERAGON
Christopher Paolini
MAG

Eragon to młody chłopak, wychowywany w zagubionej w górach wiosce przez wuja. Jego monotonne życie odmienia się w chwili, gdy podczas polowania znajduje w lesie smocze jajo. Wkrótce na świat przychodzi smoczyca, ale jej obecność stanowi dla Eragona spore zagrożenie. Smoka szukają wysłannicy złowrogiego Cienia, sam zaś Eragon szybko przekona się, że jego rola w dziejach świata jest o wiele większa, niż kiedykolwiek mógł przypuszczać. Pierwsze wrażenie po lekturze książki jest takie, że Paolini nie wymyślił niczego nowego. I to prawda: w całości czuć silne inspiracje mistrzami fantasy, od Tolkiena, po LeGuin. Wiele rozwiązań i pomysłów wygląda jakby znajomo, a sama fabuła jest raczej nieskomplikowana. Należy jednak pamiętać o tym, że autor rozpoczął pisanie książki, gdy miał 15 lat, a wydał ją dwa lata później. Jeśli więc weźmiecie pod uwagę fakt, że powieść napisał nastolatek, to już nieco zmienia postać rzeczy. A poza tym, mimo swoich niedociągnięć i drobnych wad, „Eragon" to naprawdę świetna lektura, której prostota (ale bynajmniej nie prostactwo!) jest wielką zaletą. W czasie, gdy wielu pisarzy gubi się w knutych przez siebie książkowych intrygach i rozbudowanych drzewach genealogicznych swoich bohaterów, przejrzysta fabuła „Eragona" sprawia, że jest to pozycja zdecydowanie godna polecenia. (jd)



KONKURSY!!!

Rozwiązaliśmy już wszystkie konkursy sms-owe z numeru 1/109:
– konkurs na opinie o nowym „Ślizgu"
– konkurs z gadżetami Eminema

Wszystkich zwycięzców poinformowaliśmy telefonicznie. Tych, którzy nie mieli tym razem szczęścia zapraszamy do wnikliwej lektury następnego numeru – będzie dużo do wygrania.







FLINTESENSCJA

Science Fiction

Stanął nam w drzwiach redakcji rozchełstany człowiek z obłędem w oczach. Po minucie ktoś mu otworzył. Wtachał na wykładzinę jakieś ciężkie pudło i wrzasnął „MAM!". Minęła kolejna minuta, kiedy ktoś z grzeczności zlitował się i zapytał „Dobra, co tam masz?". „Prawdziwy generator hiphopowych nawijek. Analizuje przeboje, jest w stanie podporządkować się pod style dowolnych raperów i dowolnego regionu. Musicie o tym napisać".

– Nie, no stary, to nie jest zabawne, to już było. A nawet jeśli jest to coś innego, to z raperów nie robi się jaj. Potem biadolą jak Edyta Górniak, o tym, że dziennikarze zabierają im pokarm.

– Rozumiem, ale jest jedna różnica. To działa naprawdę. Możecie sprawdzić razem ze mną.

Spojrzałem pytająco na Naczelnego, ten zerknął niechętnie na plątaninę kabli i warknął „Nie znam się na tym i nie chcę znać, ja prosty chłopak z Marymontu jestem. Poza tym spieszy mi się, zaraz mam akupunkturę". No dobra, spadnie na mnie, raz kozie śmierć.

– Jak to jest zasilane?

– Normalnie, na prąd. Można też napędzać koksem, gdyby trzeba było odpalić sprzęt na hiphopowym koncercie czy afterparty.

Podłączyliśmy. Wynalazek wyświetlił na monitorze informację, że trzy elementy w tekstach są niezbędne do sukcesu. Pierwszy, marihuana, zapewnia obecność na ekranie Vivy, która w ten sposób udowadnia swoją młodzieżowość. To gwarantuje promocję, ale nie sprzedaż. Przecież gospodynie domowe nie palą jointów. Pozostałe dwie opcje to „wino" i „dziewczyna". W końcu wino i dziewczyny lubią wszyscy: beje, studenci, ustawieni rodzice i ich hardcore'owe dzieciaki, onaniści, fani programu Pospieszalskiego, emeryci. Wino i dziewczyny jednoczą nawet rap-światek Poznania i Warszawy.

– Wymień wykonawcę lub region, a wersy zostaną wygenerowane – zachęcił twórca.

Rozpoczął się plebiscyt. „Pezet" wstukałem. „Dziewczyno, uderzasz do głowy jak astma / ukryty w winie krzyk / topi się asfalt" pojawiło się na monitorze. „Małolat" – napisałem na małej klawiaturce. „Otwierasz wino jak koks dziewczyno / bo za ten koks dziewczyno / mam na buty z łyżwą i kino, kurrrrrrwa" – wyświetliło się. „Mes!" – „Ej Dziewczyno, wypij wino z tym typem / ja mam przebite płuco, a ty prześliczną pipę". „Nieźle" pomyślałem, ale czas na trudniejsze hasła. „Eldoka". I odpowiedź – „Otwierasz wino za szybą materii jak William Blake / dziewczyno płyńmy tam gdzie Eternii piękny brzeg". „Duże Pe" wrzuciłem z tryumfem ciesząc się z podstępu. „Dziewczę, spijam Sangrię z bladych ust twoich / chcę jeszcze, niech ten krwawy kryształ ból zagoi" i suplemencik: „Duże Pe w Cinq G: „Dziewuuucho, pon da riva / pieprz to wino, chodź i się kiwaj". O skubany, przechytrzył mnie. „Tede" rzuciłem od niechcenia. „Dziewczynko uderzasz do głowy, jooooł / jak winko, gib gibon, bezele, ziooom / joł, bezeeele ziom. Jo! jo!, bezele zioom, joł..."

– Ha! No i co to za opcja, co chcesz mi wcisnąć, zobacz, zapętlił się...

– Zapętlił się, ale nie komputer, tylko Tede... – ripostował naukowiec.

Sprawdzamy go dalej. Tym razem wyjdę poza Warszawę i przełączę na tryb czterowersowy. „OSTR". „Dziewczyno uderzasz niczym cannabinol / zostaw to wino sejmowym skurwysynom / tutaj jazz to kino, prosto zza Łodzi burty / pierdolić kieliszki zarobionych jak Kulczyk". „Gural": „Tej, bijacz! Gural pizga jak winiacz / Gural napierdala jak śnieżna lawina / Gural zapierdala jak Pesci z „Kasyna" / Gural dopierdala jak Mao w Chinach". „Doniu": „Dziewczyno, przyszedł drań z winem / Dominik ubije szyjkę i upieczemy świnię / wypijemy za wolną Ukrainę / na na na na na". Nie ma co, dobry sprzęt. Nie do zagięcia. Przełączam na hasła regionalne. „Warszawski hard core". „Dziewczyno jak Vienio uderzasz do głowy / HWDP wszystkim dzielnicowym". „Białostocki hard core". „Otwieram dziewczynę butelką po winie / uderza do głowy jej krew w mojej ślinie". Znowu dał radę. Ostateczny test, zobaczymy jak złom radzi sobie na obrzeżach hh. „Gutek". „Dziewczynoooo, odłóż winoooo, bo to Babiloooooon".

– Gratuluję – uścisnąłem dłoń wynalazcy. Napiszę o tym z przyjemnością. Stary, jaki z tego będzie hajs!!! Chodź na papierosa, pogadamy...

Wróciliśmy pełni wizji dotyczących wielkich fur i wypasionych domów. Postawiony w pokoju sprzęt dymił i iskrzył. Spojrzałem na monitor. Ktoś bezlitosny wstukał hasło „Żurom". Na ekranie widniała odpowiedź – „Cały czas dziaram winem otwarte hiphopolowe rury jak chorągiewa, arrrrrrrgh", a zaraz potem „syntax error, system overload". No tak, Żuroma nie da się podrobić, mechanizm nie wytrzymał ciśnienia. Kto mógł zrobić takie świństwo?! Charakterystyczny dym w powietrzu nasuwał jeden trop. To Crust (GF).

Odezwałem się do załamanego wynalazcy.

– Nie martw się i tak napiszę ten artykuł. A resztki można sprzedać na Allegro.

Flint (CS)

PS. Nawet, jeśli tekścik was nie rozbawił, życzę wam wszystkim wiele dystansu do siebie i dobrych żarcików na Prima Aprilis.

KTO ZA TYM STOI?

FIL o okładce nowej płyty GURALA

Komiksową twórczość Fila znają na pewno wszyscy czytelnicy Produktu, a także wielbiciele cyklu „Ciach Bajera", który autor tworzy do spółki z Termosem. Filip ma też na swoim koncie pracę nad dwoma hiphopowymi teledyskami, a ostatnio narysował okładkę najnowszej płyty Gurala, „Drewnianej Małpy Rock", na której King Kong z mikrofonem w łapsku rujnuje szare blokowisko. O pracy nad tym projektem najlepiej zresztą opowie sam (Fil, nie King Kong).

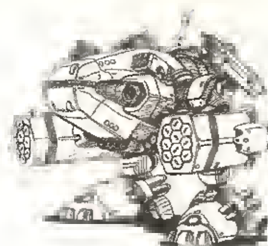
„Z Guralem poznaliśmy się już jakiś rok temu, kiedy robiliśmy (jako RFXpostproduction, czyli Rafał Sadowy i ja) klip dla KASTY do utworu „Rzucam". Wtedy Gural wiedział, że robię coś graficznie, ale była to całkiem inna stylistyka aniżeli komiks. Wydaje mi się, że dopiero w momencie, gdy zrobiliśmy „Każdy ponad każdym" dla WWO (z płyty „Kodex 2") Gural skumał, że takie robię też rzeczy komiksowe. Zadzwonił do mnie z propozycją narysowania okładki na „Drewnianą Małpę". Przedstawił swoją wizję i sugestie, co do klimatu. No i tak narysowałem mu okładkę. I to cała historia. Pozdro, Fil".



RYAN SHECKLER
BACKSIDE HEELFLIP

etnies

ETNIES: CHECK OUT ETNIESSKATE.COM





Gorky 02
(Metropolis Software /Axel Springer)

Dość rzadko zdarzają się recenzje polskich gier na łamach SLG. I nie jest to spowodowane moim lenistwem, czy też niechęcią do krajowych produkcji. Wręcz przeciwnie. Po prostu – niestety – jest ich jak na lekarstwo. A jak się już pojawi jakaś polska giera, to… czasem trzeba jak najszybciej o niej zapomnieć, by nie mieć nocnych koszmarów, że się w nią gra. Tak naprawdę ile naszych rodzimych produkcji z ostatnich lat można wymienić nie wstydząc się ich? Ze smutkiem trzeba stwierdzić, że niewiele. Chrome? Okej, ale jednak oczekiwania przerosły chyba twórców. Painkiller? W porządku, ale od razu było wiadomo, że ma być to siekanina w starym, quake'owym stylu. Schizm? Bez wątpienia, ale komu się chce dziś grać w ambitne przygodówki, w których się raczej krew nie leje? Zdarzały się też tytuły może nie z najwyższej półki, ale bez większego bólu można było obciąć kilka godzin przy nich: Grom, Gorky Zero.



No właśnie, Gorky Zero. Dawno, dawno temu ktoś, gdzieś stworzył grę zatytułowaną Gorky 17. Taki erteesik w starym stylu, jakich się dziś już nie robi (rozumiecie, jak procki mają po trzy giga, karty graficzne 128 albo i więcej RAM, obsługują jakieś tam pixel shadery w wersji 3.0, to czego się spodziewać?), widoczek z góry – jak drzewiej bywało. Kilka lat później pojawiła się Gorky Zero, dość swobodna kontynuacja – także graficznie:) – gdyż otrzymaliśmy coś w rodzaju miksu gier akcji z elementami tpp. Grało się w GZ całkiem, całkiem, w dodatku, jak się pomyśli i o cenie, wcale nie wygórowanej… Najwidoczniej twórcy GZ uznali, że stać ich na więcej i wyprodukowali gierę o tytule Gorky 02 i żeby nie przedłużać, jeśli mają zamiar zrobić Gorky 03 (a nawet G 04), to chętnie poczekam.



Ale wróćmy do samej gry. Podobnie jak w GZ mamy do czynienia ze skradankową grą akcji (poprawiono pracę kamery i – jeśli o mnie chodzi – więcej możliwości gry w tpp). Bohaterem ponownie jest Cole Sullivan (skoro w poprzedniej części dał sobie jakoś radę, to po co go zmieniać?:)). Tym razem mister Sullivan zostaje wysłany do krainy śniegu i lodu (Morze Barentsa, te sprawy), gdzie musi rozwikłać sprawę zatonięcia okrętu podwodnego, zbadać dziwne i tajne bazy ukryte wśród śniegu, zorientować się, co ma z tym wszystkim wspólnego niejaki Parecki (znany z GZ). Scenariusz wygląda raczej sympatycznie, dużo zmian akcji, niespodzianek. Sam Sullivan ładniejszy graficznie niż GZ ma też więcej możliwości wykonywania ruchów (w końcu może skakać, jak biegnie – to widoczek tpp, a nie taki jakiś z góry, izometryczny…), czyli jak na razie same plusy. Ale jak zwykle zawsze jest jakieś ale. Tym razem padło na tzw. AI, czyli sztuczną inteligencję. Jak na skradankę, to nasi przeciwnicy zachowują się trochę jakby „występowali" w jakiejś trzecioligowej strzelance. Ale nic to. Tak naprawdę Gorky 02 to spory krok do przodu, i nie pozostaje nic ponad czekanie na kolejną odsłonę przygód Sullivana. Znów odrobinę lepszą od poprzedniej:).

gad

newsy



Zrobiłeś coś… Unreal???

Zacznijmy od niusików z kręgu Nierzeczywistego. Właśnie został rozstrzygnięty konkurs Make Something Unreal (pod egidą Epic Games), czyli stworzenie jakiegoś dodatku do serii Unreal. Wygrał team odpowiedzialny za stworzenie moda Red Orchestra – taka unrealowa druga wojna światowa – jeśli lubicie Battlefieldy i inne Medal of Honor, to RO jest dla was. Jeśli o mnie chodzi, to jestem troszkę zdziwiony werdyktem, ale cóż, każdy ma prawo do własnego zdania (nie ukrywam, że trzymałem kciuki za Strike Force). Zwycięzcy otrzymali 50 tysiów zielonych i licencję na wykorzystanie engine'u Unreala (który kosztuje jedyne 350 tys. „baksów"). I jak już przy Unrealu, to ponoć z terminarza World Cyber Games wypadły rozgrywki w Unreal Tournament 2004 – ze względu na zbyt małą popularność. Trudno. Nie wiedzą, co tracą:).



Korzenie…

Tak brzmi tytuł (a właściwie: The Roots) jednej z niewielu polskich gier, które mają ręce i nogi i są właśnie w produkcji. Choć premiera została przełożona na wiosnę 2005 (dla przypomnienia, wiosna 2005 zaczyna się na dniach:)), my poczekamy cierpliwie… co prawda, nie przepadamy za erpegami w stylu Final Fantasy (gdyż do tej serii mają być troszkę podobne The Roots), ale nie ma co wybrzydzać, tylko dlatego, że zamiast pomidorówki na obiad będzie ogórkowa. Albo jakoś tak…

Znowu komiksy?

Tak, tak. Marvel lubi zieleń banknotów. I lubi też widzieć swych bohaterów komiksowych na monitorach komputerów, lub ekranach telewizorów. Czego więc możemy oczekiwać, niestety w większości na konsole? W tym roku: Fantastic Four, Ultimate Spider-Man 2, Hulk: Ultimate Destruction, X-Men Legends 2, Marvel Nemesis: The Imperfects. A na przyszły rok już zapowiedziano drugiego Punishera.



Przedpłaty na WoW!

Uwaga, wszyscy fani World of Warcraft! W momencie, gdy czytacie te słowa, będziecie mogli kupić tzw. karty pre-paid, pozwalające na wykupienie dwumiesięcznego abonamentu na granie w WoW! Więcej informacji i konkretów szukajcie na stronie CD Projektu. W sumie to miło, że i my, Polacy, będziemy mogli wejść do wirtualnego świata WoW…



Połowiczni Osadnicy

Wszyscy zwolennicy Osadników już pewnie zarywają kolejną noc grając w piątą część serii zatytułowaną Settlers: The Heritage of Kings. Spróbujecie więc jak najszybciej skończyć grę, gdyż jej twórcy BlueByte zapowiadają dodatek na… marzec tego roku! Szybko, prawda? Mają być nowe mapy, nowi bohaterowie i edytor.

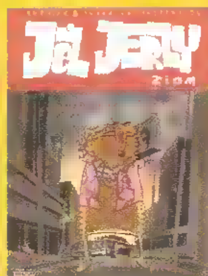
Gran Milionismo!

Tym razem niusik ze świata konsol. Zgadnijcie, ile czasu potrzebowała czwarta odsłona Gran Turismo, by została sprzedana w trzech milionach kopii? W samej Europie? Jeden dzień – słownie – też jeden dzień:-). Nieźle, co? Pomyślcie tylko, ile czasu potrzebuje jakiś super wysmażony hit na peceta, by tyle zeszło egzemplarzy… rok? Żeby dobić wszystkich pecetowców (w tym mnie) dodam, że cała seria Gran Turismo sprzedała się w 38 milionach egzemplarzy. Słabo?

komiks
recenzje

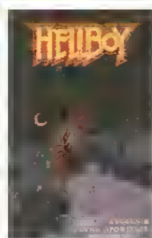


wydarzenie



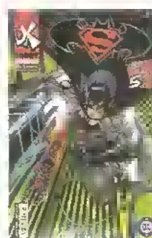
JEŻ JERZY. ZIOM
scenariusz: Rafał Skarżycki
ilustracje: Tomasz Leśniak
EGMONT

Nie mogło być inaczej – i nie wchodzą tu wcale w grę redakcyjno – towarzyskie układy. Każdy kolejny album z przygodami Jeża to na naszym rynku wydarzenie, a trzeba przyznać, że Autores utrzymują spore tempo wydawania i jednocześnie bardzo wysoki poziom swoich produkcji. Album, swojsko zatytułowany „Ziom", zawiera tradycyjnie epizody publikowane wcześniej w naszym magazynie, okraszone specjalnymi dodatkami – nie chcę zdradzać wszystkich niespodzianek, ale mogę wspomnieć, że znajdziecie tu chociażby test badający poziom waszego eurosceptycyzmu. Fajnie, że autorzy dają swoim czytelnikom więcej niż to, co mogliśmy przeczytać w Ślizgu. Wychodzą poza schemat „dodatkowej historyjki", bawiąc się komiksowymi schematami. Udowodnili to już w znakomitym „Dokumencie", kontynuują w „Ziomie". I wychodzi to – jak zwykle – świetnie. Oby tak dalej. A dla spragnionych czegoś zupełnie nowego od panów Skarżyckiego i Leśniaka mam dobrą wiadomość: już powstaje pełnometrażowy album o przygodach Pietii „Blizny" Pawłowa. Jest na co czekać. (jd)



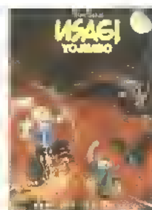
HELLBOY. TRZECIE ŻYCZENIE
scenariusz i rysunki: Mike Mignola
EGMONT

Zbiór niepublikowanych do tej pory w Polsce historii o Hellboyu. Dwie opowiadają o jego kolejnych zadaniach w BBPO. Dłuższa – dwuczęściowe „Trzecie życzenie" – o jego przygodach w Afryce, po tym, jak opuścił już Biuro (a dlaczego opuścił i w jakich okolicznościach – o tym opowiadał album „Zdobywca czerw"). Każda z opowieści tradycyjnie już wnosi do Hellboyowej legendy nowe elementy, sprawiając, że części układanki pasują do siebie jeszcze bardziej, a apetyt na kolejne komiksy rośnie. Mike Mignola w wysokiej formie – zarówno scenariuszowo, jak graficznie. Wszystko jednak przyćmione zostało przez kapitalną opowiastkę „Zadziwiające przygody przykręcanej głowy", czyli historii o czymś w rodzaju BBPO, ale istniejącym w czasach Abrahama Lincolna. Tutaj Mignola mógł dać popis swojego poczucia humoru, kpiąc w żywe oczy z mrocznych historii, które sam zazwyczaj tworzy. Komiksu o Przykręcanej Głowie, który do spółki z Panem Pachwiną i Panem Psem walczy ze złowrogim Imperatorem Zombie, długo nie zapomnicie. Znakomite, naprawdę. (jd)



SUPERMAN/BATMAN #1
scenariusz: Jeph Loeb
rysunki: Ed McGuinness
DOBRY KOMIKS

Batmana i Supermana nie trzeba chyba nikomu przedstawiać. Ikony amerykańskiego komiksu, ich przygody ukazują się nieprzerwanie od blisko 70 lat. Razem pojawili się w niezliczonych odcinkach, a kilka z nich ukazało się również w Polsce. No i nie możemy zapominać o ich współpracy w ramach Justice League. Powinni mieć się więc nawzajem dosyć... Ale, jak widać, dość nie mają czytelnicy w Stanach i DC wypuściło oddzielną serię, przedstawiającą nowe przygody Człowieka ze Stali i Mrocznego Rycerza. Polskich czytelników czeka spora niespodzianka: prezydentem USA jest Lex Luthor. Dzięki pomocy, jakiej udzielił kiedyś obywatelom swojego kraju, zyskał ogromną popularność i w efekcie wygrał wybory, a teraz knuje, jak pokonać swojego odwiecznego wroga, Supermana. A tymczasem ku Ziemi zmierza wesoło olbrzymi meteor, cały z kryptonitu, a więc nie do zatrzymania przez Człowieka ze Stali. A co w tym wszystkim robi Batman? No cóż, pomaga Clarkowi Kentowi prowadzić śledztwo, którego wynik może sporo namieszać w życiu obu bohaterów. Przy okazji ratuje Supermanowi życie, i tak dalej. W każdym razie, Bruce Wayne wydaje się tu nieco na siłę doklejony, ale pewnie jego rola w następnych odcinkach wzrośnie. Scenarzystą pierwszych zeszytów serii jest Jeph Loeb, znany także u nas choćby z albumu „Batman: Halloween". To sprawny tachowiec, więc wyciska nawet z przenudnej postaci Supermana sporo. Jednak nie udało się uciec od tego, z czym mieliśmy do czynienia w innych komiksach, w których występowali razem obaj herosi. Na tle Batmana Superman jest postacią tak jednowymiarową, tak nieciekawą, że tylko na takim spotkaniu traci. Może mieć kosmiczne supermoce, ale słabą postacią będzie chyba zawsze. A sam komiks? W sumie warto, sporo się dzieje, no i Batman. Nawet w gorszych komiksach to bohater ze ścisłej czołówki amerykańskiego komiksu. (jd)



USAGI YOJIMBO tom 5 SAMOTNY CAP I KOŹLĘ
scenariusz i rysunki: Stan Sakai
MANDRAGORA

Kolejny zbiór opowieści o Usagim na pewno nie rozczaruje wielbicieli serii. Mamy tu kilka krótszych historii, w tym świetne „Dzieje pewnego latawca", wzruszające „Ogień i lód" i kapitalny hołd złożony mandze „Lone Wolf and Cub", czyli tytułowy komiks „Samotny cap i koźlę". Stan Lee pisze we wstępie do tego albumu: „(...) kiedy Usagi rzuci na kogoś urok, staje się jasne, że mamy do czynienia z czymś wielkim i skomplikowanym". Trudno się nie zgodzić. Niby przy każdym kolejnym komiksie wiemy, czego się spodziewać, ale Sakai zawsze potrafi czymś zaskoczyć czytelnika, sprawić, że poznamy nowe strony osobowości bohaterów i mroczne tajemnice z ich życiorysów. Taki efekt potrafią osiągnąć tylko twórcy genialni. I nie mam wątpliwości, że Stan Sakai do nich należy. Przekonuje mnie o tym każdy następny „Usagi", gdy po skończonej lekturze chciałbym więcej i więcej. A podejrzewam, że takich jak ja, uzależnionych od przygód królika samuraja jest więcej. Oby jak najwięcej. (jd)



SPAWN #32
scenariusz: Todd McFarlane
rysunki: Greg Capullo
MANDRAGORA

Polskie wydanie Spawna przeszło mały lifting: straciło grubszą okładkę na rzecz atrakcyjnej ceny (5 zeta za zeszyt, podobnie jak kilka innych serii Mandragory, np. Wolverine). Ale to tylko uwaga natury technicznej. Sam komiks – chociaż nigdy nie należałem do jego zagorzałych fanów – coraz bardziej mnie przekonuje. W życiu (po życiu) Ala Simmonsa dzieje się coraz więcej. Po nawiązaniu bliskiego kontaktu ze swoim dawnym przyjacielem, Terrym (obecnie mężem byłej żony Ala), Spawn solidnie bierze się za robotę, by rozpracować machlojki Jasona Wynna. Na drodze do sukcesu stoi jednak wiele przeszkód, ale cennych wskazówek może udzielić genialny strateg wojskowy, Forsberg. Na całej serii cały czas silnie odciska się piętno jej twórcy, odpowiedzialnego nie tylko za scenariusze, ale i kładącego tusz na rysunki Capullo. Nie przepadam za stylem Todda McFarlane'a, ale trzeba przyznać, że stworzył ważną i intrygującą serię. Na tyle dobrą, że spokojnie można przymknąć oko na zdarzające się czasem scenariuszowe mielizny. (jd)



WILQ tom 7
scenariusz i ilustracje: Tomasz i Bartosz Minkiewiczowie
BM VISION

Kolejna porcja przygód opolskiej gromady superbohaterów i superłotrów, tym razem zatytułowana „Pod osłoną AGD". Kilka krótkich, świetnych historyjek (powraca między innymi mega zła Trójpalczasta Ręka z Ciasta), świeżych i naprawdę zabawnych – powrót do wysokiej formy po ostatnich, nieco (ale tylko nieco, zaznaczam) słabszych albumach. Ale prawdziwym hitem jest dołączony do komiksu kalendarz. Każdy miesiąc jest opatrzony dużym portretem jednego z bohaterów i nową, jednoplanszową historyjką. No i znajdziecie w tymże kalendarzu dużą masę świąt, o których nie można zapomnieć. Nie wiecie, kiedy jest dzień pamięci zbrodni UFO-ckich? Nie pamiętacie o dniu żwiru? No to wszystko przypomni wam kalendarz z Wilqiem. Rewelka. (jd)



KLIK 2
scenariusz i ilustracje: Milo Manara
POST

Druga część erotycznego cyklu włoskiego scenarzysty i rysownika Milo Manary. Łóżkowe (i nie tylko) perypetie Claudii, której popędami steruje niezwykły wynalazek, pozwalający na „uruchomienie" pożądania na życzenie. Właściwie o fabule nie ma co tu dużo pisać, historyjka do najmądrzejszych nie należy. No, ale w końcu do czytania to są inne albumy (w tym również Manary), ten za to ogląda się z przyjemnością:). Na graficznym poziomie to arcymistrzostwo komiksu erotycznego. I tyle. (jd)

recenzje filmowe

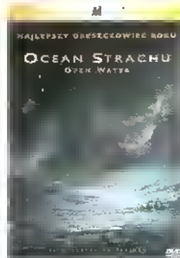


IMMORTAL – KOBIETA PUŁAPKA
reż. Enki Bilal
MONOLITH



Nowy Jork, koniec XXI wieku. Egipski bóg Horus, skazany przez swoich towarzyszy na śmierć, ma siedem dni, by odnaleźć i uwieść błękitnowłosą kobietę, Jill Bioskop. Musi jednak znaleźć się w ludzkim ciele, a jego „gospodarzem" stanie się niejaki Nikopol... Film oparty jest na wątkach komiksowej „Trylogii Nikopola", której autorem jest Enki Bilal. Komiks to specyficzny, dziwny i z pozoru nie nadający się do ekranizacji. Bilal jednak postanowił zmierzyć się z przeniesieniem własnego dzieła na ekran. I zrobił to z powodzeniem. Zmienił sporo wątków, a nawet realiów: przeniósł akcję z Paryża do Nowego Jorku, przesunął ją też nieco w czasie (wydarzenia w komiksie dzieją się w latach 20. XXI wieku). Wizja jest bogata, przykuwa uwagę, aktorzy dobrani wręcz idealnie (przy okazji: grająca rolę Jill Linda Hardy była w 1992 roku Miss Francji). Co prawda od strony intelektualnej film jest chwilami nieco bełkotliwy, ale taki też był styl „Trylogii Nikopola", która głębszy sens wyciągała z chaotycznego przemieszani wątków filozoficznych, motywów religijnych i metafizycznych. W sumie udane to dzieło, choć pewnie nie na każdy gust. A najlepiej przysowić je wspólnie z lekturą komiksowej trylogii. (jd)

OCEAN STRACHU
reż. Chris Kentis
MONOLITH



Tytuł zwiastuje nie lada horror, a tu niespodzianka: film jest faktycznie thrillerem, ale wyciszonym, choć niepozbawionym napięcia. Dwoje młodych ludzi wybiera się na zbiorową wycieczkę, której główną atrakcją jest możliwość nurkowania w krystalicznie czystych wodach oceanu. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie fakt, że organizatorzy owej mini-wyprawy zapominają o dwójce naszych bohaterów, zostawiając ich na pastwę losu na otwartym morzu. Walka z naturą i czasem chyba nie może zakończyć się szczęśliwie... Brzmi absurdalnie, ale podobno film oparty jest na faktach. I nawet jeśli je zniekształca, nie zmienia to faktu, że „Ocean strachu" jest bardzo porządnym thrillerem. Aktorzy z powodzeniem udźwignęli ciężar filmu – to w końcu na nich skupia się cały czas uwaga kamery i widzów. Obraz nie jest ani specjalnie spektakularny (choć zdjęciom nie można nic zarzucić), ani bardzo dynamiczny – raczej płynie powoli, jak morski prąd unoszący parę nieszczęśników. A jednak trzyma w napięciu do ostatniej chwili. Warto. (jd)

DOLINA CIENI
reż. Michael J. Bassett
MONOLITH



I wojna światowa. Grupa angielskich żołnierzy po krwawej walce szuka schronienia w – wydawałoby się opuszczonych – niemieckich okopach. Jednak nie będą tam sami – napotkany przerażony żołnierz ostrzega, że w głębi okopów czai się coś dużo bardziej niebezpiecznego niż wojska wroga... Horrory, których akcja toczy się w czasie wojny, stały się ostatnio wśród twórców kina klasy B dość modne: wystarczy wspomnieć „Ciśnienie" czy „Bunkier". Od obu jednak „Dolina cieni" jest o klasę lepsza, skutecznie wykorzystując do budowania atmosfery piekło walki w ponurych okopach. Patent się sprawdził, pewnie doczekamy się paru naśladownictw. Na pochwałę zasługują też aktorzy – warto wspomnieć, że główną rolę gra Jamie Bell, którego kinomani mogą pamiętać ze świetnej roli w „Billym Elliocie", a na drugim planie pojawia się Gollum, czyli Andy Serkis, tym razem pokazujący swoją własną twarz. „Dolina cieni" nie jest wielkim, ani nawet bardzo dobrym filmem. Jest jednak horrorem przyzwoitym, chwilami strasznym, umiejętnie budującym klimat. A to dla niepoprawnych fanów gatunku już wystarczająca zachęta. (jd)

OBCY KONTRA PREDATOR
reż. Paul W.S. Anderson
IMPERIAL



Od kilku ładnych lat pojawiały się pogłoski, że wreszcie powstanie film, który pokaże jakąś porządną zadymę między Alienami i Predatorami. Nie wykorzystać takich postaci? W Hollywood to niemożliwe. No i wreszcie powstał, ale efekt przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Moją ciekawość zdecydowanie podsycały liczne komiksy z serii „Aliens vs. Predator" – większość, przyznajmy, nieudana, ale kilka ukazało się kozackich. Film wykorzystuje motywy zawarte w wielu z nich, ale sam stanowi nową całość. Niestety, nie jest to nowa jakość. Ekipa badawcza odkrywa zatopioną głęboko w lodach Antarktydy piramidę, która – jak się szybko okaże – jest miejscem rozgrywanej co sto lat walki pomiędzy Predatorami, a Obcymi, których kosmiczni drapieżcy sobie hodują. W środku krwawej łaźni znajdzie się grupa ludzi i od początku wiadomo, że są oni skazani na zagładę. A dalej, to już wiadomo... Szkoda, że twórcy filmu zdecydowali się umiejscowić akcję na Ziemi, bo poszło to w parze z mocno naciąganą opowieścią o wcześniejszej bytności obu kosmicznych ras na naszej planecie. Ale z drugiej strony nie brakuje tu fajnych pomysłów: pojawia się chociażby założyciel znanej z serii filmów o Alienach kompanii Weyland-Yutani. Sporo tu niedoróbek, ale i równie dużo filmowej zabawy – ale przeznaczonej przede wszystkim dla zagorzałych fanów cyklu. (jd)

Darz bór! Jakże niewdzięczny los okazał się dla nas, dumnych Polaków. Wprost uwierzyć w to trudno, ale ta niesłychana rzecz jest faktem: Adam Małysz staje się kiepskim skoczkiem! Zawalił mistrzostwa świata, spada w klasyfikacji pucharu świata i w ogóle widać, że coś jest nie tak. Najgorsze jest to, że jego były trener, czyli Polo Tajner obiecał, że przy medalu Małysza na MŚ zgoli wąsy. Taka była szansa, a ten jakieś jedenaste miejsce zajmuje. Wstyd i niewykorzystana okazja. Może by tak chłopaki z UMC nagrali jakiś wspierający skoczka kawałek? W końcu Ukrainie już pomogli, a wszak bliższa ciału koszula... Trzymam kciuki za powodzenie projektu, proszę tylko pewnego jurora z „Idola" o trzymanie się tym razem z daleka. Tymczasem, miłej lektury. Pokój, Bracia i Siostry!



Niespodzianką, która odbiła się echem nawet w amerykańskich mediach zajmujących się hip-hopem, jest podpisanie przez **Lil' Dapa** z Group Home kontraktu z Prosto. Póki co, możemy się spodziewać singla z trzema trackami nagranymi w Warszawie, zaś pełny album planowany jest na jesień.

NEWS Małe zamieszanie powstało przez materiał zamieszczony w „Super Expressie" i zatytułowany „Nie popieraj dilera". Dotyczy on **Małolata** i jak to bywa w przypadku brukowców, jest pełen błędów. Najpierw oficjalne sprostowanie wystosował label wydający rapera, czyli Prosto. W tymże tekście, oprócz wyjaśniania nieścisłości i obrony Małolata, wytwórnia piętnuje Owała, którego niepochlebną wypowiedź o warszawskim emce zamieszczono w artykule „SE". Ował natychmiast na zarzuty odpowiedział, broniąc się przed, jak stwierdził, „nadinterpretacją" jego słów. Generalnie, winnym całej sytuacji jest tu dziennikarz „Super Expressu". Rzetelność, misiu, rzetelność!

NEWS Co myśli Flintstone o tym projekcie, możecie sobie poczytać w jego felietonie z ubiegłego miesiąca. Jeśli zaś sami chcecie się przekonać, co do zaoferowania mają artyści z UMC na poświęconej ukraińskiej rewolucji płycie **„Jest Nas Wielu"**, to nie ma problemu, bo od 11 marca płyta jest już w oficjalnej sprzedaży. Pozdro dla Roberta L., nowego speca od HH w naszym kraju:).

NEWS Jeśli już przy UMC jesteśmy, to nie można nie wspomnieć o drugiej części składanki **„Rap Eskadra"**. Poprzednia jej edycja zawierała tylko i wyłącznie utwory ekipy z poznańskiego labela. Teraz Radio Eska dołożyła do nich numery takich wykonawców, jak WWO, Peja i Flexxip, a już szczytem geniuszu jest wrzucenie tu kawałka „Oczy Otwarte 2". Dobre, bez kitu:).

NEWS Od niedawna, bo od 14 marca powinien być już w sprzedaży składak **„Road Hip-Hop 2005"**. Promuje go kawałek „My Robimy To Tak!" Wzgórza i Liroya. Wśród wykonawców figurujących na oficjalnej trackliście projektu widnieją choćby O. S. T. R., Fenomen, Pezet i Wilku. Ponadto na płycie aż roić się będzie od przedstawicieli podziemia. Czy to dobrze? Oceńcie sami.

NEWS Za parę dni możecie już śmigać do sklepów po płytę wspólnego projektu **Olsena i Fusznika**. Będzie ona nosić tytuł „Kameleon", co zapowiadać ma dużą różnorodność zawartego tu materiału. Promuje go numer „Rap Bizne$$", którego producentem jest WRB z Rzeszowa. Płyta w sprzedaży od 26 marca.



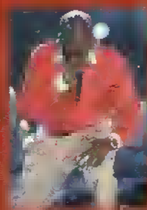
Strasznie zakręcona sytuacja zrodziła się po tym jak 50 Cent wyrzucił The Game'a z szeregów **G-Unit**. Generalnie rzecz ujmując, poszło najpewniej o sławę i hajs, gdyż Fifty zaczął się obawiać coraz lepszych wyników Game'a, zaś ten zazdrościł Centowi jego pozycji. Chłopaki powrzucali sobie w przeróżnych audycjach radiowych i wywiadach, aż doszło do strzelaniny pod siedzibą radia Hot 97, gdzie akurat przebywał Fifty i gdzie Game próbował się dostać ze swoją ekipą. Jeden z ludzi Kali-

fotniiczyka został ranny. 50 stał się ostatnio strasznie konfliktowy. Najpierw „Piggy Bank" wymierzony w Fat Joe, Nasa i Kelis oraz Jadakissa, potem aluzje w kierunku Eminema i Dr. Dre jakoby zbyt mało angażowali się w wydawanie jego najnowszej płyty „The Massacre", teraz sytuacja z Game'em. Popularności w środowisku na pewno tym sobie nie przysporzy, ale za to „The Massacre" sprzedaje się rewelacyjnie. Krążą pogłoski, jakoby zdissowani przez Fifty'ego Nas, Jada i Game mieli nagrywać wspólną odpowiedź. Tylko mi się tam nie powystrzelać!

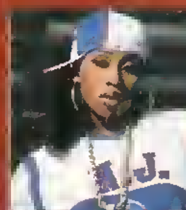


Również i ***Fat Joe*** planuje odpowiedź na werbalne ataki Fifty'ego na swoją osobę. Kawałek ma znaleźć się na najbliższym albumie Joe Cracka „All Or Nothing", którego spodziewać się można pod koniec kwietnia z gościnnym udziałem m.in. J. Lo, Mase'a, Eminema, Lil Jona i R. Kelly'ego. Ponadto Fat Joe przyznał się, że po obejrzeniu jednego z odcinków show Ophry Winfrey jego noworocznym postanowieniem stało się zrzucenie wagi. Stracił już prawie 40 ze 170 kilogramów. Joe, uważaj na efekt jojo:).

NEWS ***Dizzee Rascal*** wpadł w kłopoty. Konkretnie, został zaaresztowany po tym, jak w samochodzie, w którym jechał znaleziono broń i narkotyki. Brzmi groźnie, ale tak naprawdę pod tymi nazwami kryją się... gaz łzawiący i zioło. A może tak zejdźcie z chłopaka, co?



Kanye West stwierdził, że będzie odtąd domagał się rekompensaty od magazynów umieszczających jego wizerunek na okładce, bo zwiększa to ich sprzedaż. Nie spotkało się to rzecz jasna z pozytywną reakcją prasy, poza jednym tytułem. Pismo „Playgirl" od razu zaoferowało Westowi sporą sumkę za zgodę na pozowanie nago. Kanye póki co nie odpowiedział.



Missy Elliott zapowiada powrót po tym, jak ostatni album „This Is Not A Test" zanotował najgorszą w jej karierze sprzedaż i nie doszedł nawet do miliona egzemplarzy, co zdarzyło się po raz pierwszy w karierze raperki. Szósta jej płyta wyjdzie na wiosnę i rzecz jasna będzie to „najlepsza płyta w jej dorobku", jak mówi sama Missy. Ponadto szykowany jest film biograficzny oparty na życiorysie artystki. To chyba jakiś instruktaż odchudzania będzie, zatem na pewno obejrzy go Fat Joe:).



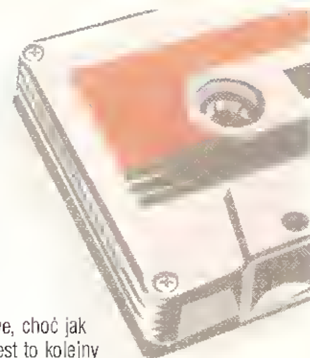
A teraz uwaga! ***Will Smith*** po pięciu latach odpowiada na zaczepki Eminema, który wyśmiewa go na singlowym „The Real Slim Shady" (dokładnie w dwóch wersach, ale zawsze, tym bardziej, że w niecenzuralnych słowach). Diss na Emа zawarty ma być na tracku „Mr. Nice Guy" z nadchodzącej płyty „Lost And Found". Ale jaja, nie? Już się nie mogę doczekać, żeby to usłyszeć:).

NEWS ***Snoop Dogg*** przerwał swój koncert w Nottingham w Wielkiej Brytanii po tym, jak ktoś z widowni rzucił w niego plastikową butelką. Mało, że rzucił, to jeszcze trafił go w głowę i przypuszczalnie to najbardziej zirytowało Snoopa, który wrzasnął: „To koniec tego show!" i zszedł ze sceny. Tyle dobrego, że koncert i tak miał się już ku końcowi, zatem fani dużo nie stracili. Biedny ten Snoop: oskarżają go o gwałt, rzucają w niego butelkami, nic tylko siąść i płakać...



Pojawiły się pogłoski, że odbywający właśnie karę sześciu lat więzienia ***Mystikal***, ma szanse na wyjście na wolność pod koniec bieżącego roku i już planuje kontynuowanie kariery hiphopowej. Pewnie ciekawi Was, za co siedzi. Z przyjemnością wyjaśniam, bo to jest tu najciekawsze. Otóż, Mystikal wraz z dwoma

recenzje muzyczne





VIENIO I PELE
AUTENTYK 3
EMI MUSIC POLAND

Zakończenie trylogii nigdy nie jest łatwe, choć jak mówi Pelson w naszym Profilu CD, może jest to kolejny etap dekalogu. Miała być płyta z remiksami i nowymi wersjami starych utworów, znanych z dwóch poprzednich Autentyków, ale wytwórni pomysł się nie do końca spodobał i wymusiła na chłopakach, by pojawiły się na płycie również premierówki. Ta pierwsza rozwala żywym ogniem – „To jest mój hardkor" jest utworem, do którego musiałem się chwilę przekonywać, ale w końcu zdobył mnie, zwłaszcza jak kilka razy posłuchałem go w wersji koncertowej. Gitary z piekła, mocny beat, mocne słowa – hardkor z siłowym przekazem, na naszej scenie właściwie novum i to novum bardzo ciekawe. Teraz parę słów o nowych wersjach i remiksach. Rozczarować mnie „To dla moich ludzi", w którym pojawili się gościnnie Mercedresu i Gutek, który zresztą występuje również w oryginale. Rozczarował mnie, bo jest to jeden z najlepszych utworów w historii polskiego HH i choć Dresu wniósł do niego sporo dobrego, to jakoś mi tu tempo mimo wszystko siadło. Nie rozczarowuje „Miejski Gruff" (fajny skit przed kawałkiem), na świetnym poziomie jest remiks kawałka „Jedno z takich miejsc". Podobnie jest z nowymi odsłonami „Iść swoją drogą" i „Tak od 7 lat" – nowe wersje służą wypróbowanym kawałkom, ten patent się sprawdza. Teraz premiery – „Straciłeś wątek" z WWO jakoś mnie specjalnie nie zachwycił, choć temat poruszony jest bardzo ciekawie. Świetnie za to w towarzystwie chłopaków zabrzmiał Eis – „Chcę żyć 2" to najlepszy utwór na płycie, a gościnny występ młodego rapera potwierdza, że ma on w sobie spory, niewykorzystany jak dotąd potencjał. No dobra, 12 kawałków, stare miesza się z nowym. I co? I będę szczery – chciałbym więcej. Poprzednie dwa Autentyki wyznaczały trendy, nadawały tempo karierze chłopaków. Ta płyta z pewnością jej nie spowolni, bo jest to materiał znakomicie przygotowany od strony muzycznej, co zresztą jest wyznacznikiem działalności duetu, ale... Ale przydałoby się więcej. **kowal**



HEMP GRU
KLUCZ
PROSTO

No i w końcu się ukazała... Trzeba było na nią czekać długi czas, ale jest. Duet z warszawskiego Mokotowa ma specyficzne podejście do robienia rapu. Specyficzne przez swoją szczerość. Dziś, gdy nawet ci najbardziej kiedyś hardkorowi wykonawcy czasami tonują swoje wypowiedzi, Bilon i Wilku tną temat po temacie, zupełnie nie przejmując się, jak to zostanie odebrane. Tu nie ma ukłonów w stronę słuchaczy, słodzenia, ozdobników. Każda historia opowiedziana jest językiem prostym, dosadnym, może i momentami dla niektórych szokującym, ale też większości tych historii nie dałoby się inaczej opowiedzieć. Muzyka ulicy – tak najkrócej można tę płytę opisać. A ulice bywają różne... Dzieje się na nich wszystko – melanż, miłość, konfrontacja, poszukiwanie rozwiązania dla wielu problemów, które niesie ze sobą codzienność. A czy sposoby, którą wybierają Hemp Gru i ich goście, by te problemy rozwiązać są słuszne? Tego na tej płycie nie usłyszycie, bo na szczęście nie ma na niej mentorstwa i wskazówek, tylko opowieść – jak tu jest. Wielu gości dodaje poszczególnym kawałkom smaku, choć momentami chciałoby się posłuchać tylko dwóch głównych bohaterów, więc po którymś przesłuchaniu dochodzę do wniosku, że jednak featuringów tu za dużo. Z gościnnych wspomnieć należy przede wszystkim zwrotki Sokoła, Włodiego i Ero z JWP, ciekawie przewijają też chłopaki z THS. Muzycznie płyta trzyma wysoki poziom, słyszy się rękę Waco, wszystko jest niezwykle starannie dopracowane, zaaranżowane i zmiksowane. Solidna porcja ulicznego rapu. Dla tych, którzy to czują. **kwl**



MEZO&TABB
WYJŚCIE Z BLOKÓW
UMC

Nagrał nam Mezo przyzwoitą płytę z pozycji kogoś, kto wyciągnął z branży parę złotych i z uśmiechem może stanąć ponad polskim rap-piekiełkiem. „(...) Wożę się furą jak przystało na gwiazdę / nie wypada mówić że to Seicento / Tabb, proszę nie wygadaj się dziewczętom" – te udane wersy mówią więcej, niż się wydaje. Meziel (!) wciąż jest grzeczny i miły, nawet jeśli docina czy się broni (a broni się przez dużą część płyty), to bez przesadnej determinacji. Wciąż przesadnie akcentuje. Wie, że słuchają go też bardzo młodzi, więc dba by w przystępny sposób przemycić im trochę wartości. To składa się na jego styl, który kupujesz albo odrzucasz. Na „Mezokracji" był nierówny, przy okazji tego lp raczej wyeliminował obciachowe metafory, jest też mniej naiwny. Mógłby lepiej współgrać z beatem, drugi diss na Mesa i „Rapteatr" rokowały świetnie, a tu wciąż nieco się pulta. Dramatem są tendencje do podśpiewywania w refrenach i ogólnie pomysł na ujawniające się co jakiś czas, bardziej śpiewne flow. Czasem brzmi to jak wycie zboków, a nie jak „Wyjście z boków". Rekompensuje to technika motania słów, już niemal na piątkę: „Zjadam takich jak kurczaki z Kentucky / Łaki, sprawdźcie te tracki, łepaki" czy „Jakiś czas temu byłem jednym z wielu / Dzisiaj jestem dla wielu jednym z celów" mówi za siebie.

Tabb jest dobry. Kiedy usłyszałem melodykę rozpoczynającą „Mistrzostwo" pomyślałem – „To już koniec". Ale uratował ten beat. „Nie ma nic" nie uratował, ale tego mdlącego numeru z Mezem brzmiącym jak nie wiadomo co, nic nie byłoby w stanie uczynić dobrym. Za podkłady do „Czołgu" czy „Piątego Rejsu" można zresztą wybaczyć dużo. Wie jak bujać, wie jak ciąć, ma zmysł melodii, dobrą rękę do basu i perkusji. Brawo.

Zawodzą goście, z wersów Pe w głowie pozostaje tylko robienie laski, a Owal, ma linijki na zupełne „odwal się" (zresztą całe „Ciekawe życie" jest utworem zabawnym głównie dla twórców, świadczącym o nadmiernym wyluzowaniu się) nie przekonuje. Aro brzmi jak Asceci po skrzynce Red Bulli, Orzech zamula, na ich tle Liber prezentuje się nieźle, zwłaszcza, że beat dynamizuje jego flow. Najprofesjonalniej wypadają wokalistki i DJ Spox. Podsumowując – pozycja do posłuchania, na czwóreczkę z minusem. Oczywiście nie dla debili z nienawiścią w uszach. **flint (CS)**

HIGHSCORE
UNSUSPECTING ACTORS IN A BAD SOAP OPERA
REFUSE REC.

Szkoda, że ten zabójczo zatytułowany materiał można traktować już jako fonograficzny nagrobek tej niemieckiej grupy. Highscore miał pewien potencjał, o czym można się było przekonać choćby podczas polskich koncertów tej grupy. Teraz pozostały te nagrania – melodyjny, motoryczny hard core przybrudzony punk rockiem. Muzyka grana „prosto w twarz" z mocnym wokalem i gromkimi chórami. Cały materiał trwa niewiele ponad 20 minut i nie pozostawia chwili na wytchnienie. Po prostu czadowa pigułą trafiająca między oczy (czy może raczej uszy) słuchacza. Na sam koniec Highscore zaserwowali jeszcze cover z klasyki deutsch punka, „Nein Nein Nein" z repertuaru The Buttocks i pożegnali się. Na dobre. Jeszcze raz szkoda, bo mieli swój styl, niegłupie teksty i coś do przekazania. Polecam tę taśmę jednak nie jako archiwalia, ale jako kawałek fajnej muzyki. /SBTN/

DON GURALESKO
DREWNIANEJ MAŁPY ROCK
WIELKIE JOŁ

Ma takie flow, że może właściwie wszystko. Atakować skumulowanymi rymami i płynąć swobodnie prowadząc dialog z każdym pierwiastkiem podkładu. Zawiesić się na chwilę i nagle zapikować na werbel. Krzyczeć. Zacząć podśpiewywać. Ten absolutnie pewny siebie bezczel jest nie do zbicia z pantałyku. Gural – mc, o którym pisze się krótko, a którego słucha się długo. Pan i władca beatu. Saluto.

Nie oczekujcie poezji i życiowych wytycznych. Zastrzeżenia? Spójrzcie akapit wyżej. Są poważniejsze numery – liryczna momentami „Cisza" i „Chropowato", gorzka dość „Rosyjska ruletka", ale to kropla w morzu imperfynencji. To tak jak z techniką u Małolata – mógłby iść w tę stronę, ale nie chce. Może kiedyś.

Przekrój producentów imponuje. Za esencję, prawdziwą szkołę odpowiada Kut-O, Tabb, Magiera i Kada. Syntetyczne rozpierdalacze to 600V, Larwa, Haem (!) i Sido (!!!). Pomiędzy nimi Mixer i Piooro. Istnieją dwie możliwości – albo Gural trafił na okres ich wielkiej formy, albo wybierał z baaardzo wielu propozycji. Biorąc jeszcze pod uwagę udział bardzo wielu DJ'ów (wśród nich nokautujący Twister), dziwię się, że udało się z tego zrobić zgrabną, spójną całość, a taką „DMR" słanowi. Dodam, że wokalami podrasował ją m.in Sido i Tedunio. To jakby ktoś jeszcze miał wątpliwości, czy zakup jest koniecznością. Jest, nawet pomimo tego, że nie jest to pozycja, przy której odpoczniesz sobie po dniu pracy, a poligrafia wewnątrz przypomina czasy RRX.

„Ja będę sceną trząsł jak dupą duże murzynki / bo mam ten flow, który burzy budynki / jak burza w dożynki mogę być problemem". Drewnianej Małpy Rock. Wielki problem. **flint**

JULIETTE
FROM SOMEWHERE IN THE EAST
REFUSE REC.

Jeden z najbardziej intrygujących debiutów na polskiej scenie niezależnej od długiego czasu. Lubelska formacja Juliette gra znakomity, utrzymany w średnich tempach screamo core z noise'owymi zakrętami i duchem starej szkoły HC. Kojarzy mi się to granie z francuskim post core i zespołami takimi jak Undone czy Burn Hollywood Burn, a są to skojarzenia zdecydowanie bardzo przyzwoite. Mam wprawdzie pewne zastrzeżenia do wokalisty, który – jak przystało na screamo – powinien umieć konkretnie wywrzeszczeć teksty, a momentami z jego krtani wydobywa się raczej skrzek zagniewanego kurczaka. To jednak tylko mała skaza, bo muzyka Juliette potrafi nieraz chwycić za serce swoją intensywnością i refleksyjnością. Tak gra się aktualnie na świecie i naprawdę się cieszę, że powstał w Polsce zespół mogący mierzyć się z mistrzami gatunku. Nic dodać, nic ująć – tylko przyklasnąć. Brawo!!! /SBTN/

RÓŻNI ARTYŚCI
12 ŁAWEK
WIELKIE JOŁ

Jeżeli w przedstawieniu „12 Ławek" udaje się jakoś skonsolidować muzyczny rozgardiasz obecny na soundtracku, to już jest dobry powód, żeby pójść je zobaczyć. Płyta wywołuje mieszane uczucia. Nowym kawałkom Analogii brakuje Benia i przebojowości słyszalnej na „Esensji Czystej", Tede z Vollem dali ostateczny dowód na odtwórczy charakter ich współpracy i po prostu nudzą, erotyka w dancehallowym wydaniu Ri! codeha nie ma za grosz polotu i lekkości, zaś r'n'b w „Chodźmy stąd" skutecznie usypia. Za to oba ragga'owe wcielenia Mariki (zwłaszcza to z Kameralem) postrzegam jako warte uwagi, analogicznie Numer świetnie dostosowujący się do zmiennego tempa beatu. Kreatywną ciekawostką jest Bauagan Mistrzów konfrontujący różne muzyczne światy i pomysły na dźwięk. Największe brawa należą się jednak produkującemu 4 tracki Mateo, znanemu z Zasięgu Terytorialnego, a przede wszystkim z beatów dla Familii HP i numeru dla Tedego. Znakomite brzmienie sprawdzające się w różnych klimatach – jest w nim funk, dusza i idea. (flint)

MAŁOLAT/AJRON
W POGONI ZA LEPSZEJ JAKOŚCI ŻYCIEM
PROSTO

Małolat wypracował sobie własny styl. Każdą emocję idealnie przekłada na ultra-dynamiczny flow. Przy obowiązującej tendencji do zagęszczania rymów, ucieka w długie wersy. Z premedytacją powtarza słowa. Jest surowy, dając jednak znać słuchaczowi, że ma opanowane wszelkie techniczne sztuczki. Cenię sobie jego twórcze i świeże podejście do kwestii warsztatu. Gorzej z tekstami, bo jeśli wychodzi w nich poza podwórko i klub, to nie ma za bardzo o czym mówić. Pomysłów starczyłoby na epkę, jest więc na albumie 5-6 kozaków które tak przedstawiają świat rapera, że z miejsca chce się do nich wrócić. Reszta utworów gubi się gdzieś między setnym nawiązaniem do dragów i kolejnym „kurrrrwa". Goście występując z Małolatem okrutnie demaskują to, czego mu brakuje – Włodek mądrość życiową, Sokół plastyczność obserwacji, Mes błyskotliwość, Eis nonszalancję, Pezet głębszą refleksję.

ochroniarzami kazał swej fryzjerce przystąpić do..., to znaczy uprawiać z nim seks oralny po tym, jak przyłapał ją na spieniężeniu nieuprawnionych czeków na 80 tysięcy dolarów ze swojego konta. W przeciwnym wypadku groził, że odda sprawę w ręce policji. Co za koleś:).

NEWS

Z dziennikarskiego obowiązku (wow, jak to poważnie brzmi, nie?) odnotować muszę, iż 13 lutego rozdano nagrody ***Grammy***, z których po trzy przypadły Usherowi, Alicii Keys oraz Kanye Westowi, który był nominowany aż w dziesięciu kategoriach. Wielkim zwycięzcą tegorocznej 47. edycji Grammy Awards został Ray Charles, który dostał aż osiem statuetek – niestety, pośmiertnie...

Busta Rhymes jest zły na Funkmastera Fleksa. Dlaczego? Bo ten, nie pytając artysty o zdanie, zapodał w swej audycji wyprodukowany przez Scotta Storcha numer „I'll Hurt You", którego ani Busta, ani jego wytwórnia Aftermath nie puścili jeszcze oficjalnie w obieg. Flex nie odpowiadał ponoć na telefony Busty, który chciał dowiedzieć się, skąd DJ miał ten kawałek. W ten sposób przyspieszona została promocja nowego materiału Busty „The Big Bang", który planowano wydać w maju. Będzie to pierwszy album rapera od 2002 roku.

Foxy Brown weszła w konflikt z właścicielem studia Chung King, którego oskarża o zniesławienie po tym, jak do prasy przeciekły informacje, że nie była w stanie zapłacić za użytkowanie pomieszczenia w czasie nagrywania mającej ukazać się niebawem płyty „Black Roses". Foxy zarzuca mu też bootlegowanie, gdyż kilka kawałków przedostało się do Internetu, podobnie jak cały album „Fever", który miał wyjść na światło dzienne w 2003 roku i też nagrywany był w Chung King Studios. Foxy Brown jest pierwszą artystką, która podpisała kontrakt z Island Def Jam za kadencji Jaya-Z.

NEWS

22 marca ukaże się album pośmiertny ***Ol' Dirty Bastarda***, choć w necie jego pierwsze wersje śmigają już od dłuższego czasu. Smaczkiem ma być numer „I Go Through Life", w którym pojawia się Wu-Tang Clan w komplecie. RZA pogodził się z Damonem Dashem z Roc-A-Fella (było między nimi krzywo po podpisaniu przez ODB kontraktu z labelem Dasha po wyjściu z więzienia) i wydatnie pomaga mu w pracach nad płytą. Wyprodukowany przez mózg Wu „Intoxicated" z Method Manem, Raekwonem i Macy Gray ma być pierwszym singlem z płyty.

Layzie Bone z Bone Thugs-N-Harmony szykuje swój drugi solowy album. Będzie to płyta zatytułowana „It's Not A Game", a pojawią się na niej gościnnie takie pierwszoplanowe postacie, jak Twista, WC i Snoop Dogg. Wyda ją label X-Ray Records, a planowana data wydania to koniec maja. Pierwszą solówkę Layzie wydał w 2001 roku jako L-Burna.

NEWS

No i na koniec troszkę wieści związanych z ***NBA***. Reebok wypuścił nową serię obuwia koszykarskiego z kolekcji Jaya-Z. Buty S. Carter Baketball Mid będą noszone między innymi przez Jamala Crawforda z Knicks i Kenyona Martina z Nuggets. Crawford i Hova zagrają wspólnie w reklamie produktu. W czasie niedawnego All-Star Weekend szczęśliwe chwile przeżywała Brandy, której narzeczony, czyli Quentin Richardson z Phoenix Suns wygrał konkurs rzutów za 3 punkty. Podczas samego meczu gwiazd w pierwszych rzędach zasiedli P. Diddy i Jay-Z, a dwa dni wcześniej w spotkaniu koszykarskim VIP'ów na boisku pojawili się Nelly, Jermaine Dupri i DJ Clue.

Grabiszczy

Ajron perkusję opanował po mistrzowsku. Wie jak ję układać, a jego zbasowanych werbli długo się nie zapomina. Gorzej z samplami. „Rap z boiska", „Ostatnia szansa" czy „Wkurwiam się" to klimat i pełen sukces. Jednak sentymentalizm „Przeslępczych myśli" niepokoi, a „Rodzice" to już prawdziwy koszmar oparty na ckliwym, strasznie długim, rockowym samplu. „Sąsiedzi" to mocny track kiwający łbem od pierwszego werbla. Ale „Piszę tekst" nawiązujący do prościutkiej pulsacji „Pieprzyć szary beton", nie daje rady. Najgorsze jest jednak to, że z podkładami bardzo niewiele się dzieje, aranżacja jest śladowa i nie wiadomo co pod koniec płyty bardziej męczy – beaty na nieustannie powtarzającym się motywie czy ciśnienie w głosie Malolata.

Prosto nie zamyka się na nowe twarze z nieco innego środowiska i chwała im za to. Ta pozycja jest niezła, niemniej poniżej oczekiwań. Oby Malolat z Ajronem szybko mieli okazję usiąść do drugiego, dojrzalszego, bardziej przemyślanego muzycznie materiału. Życzę im tego z całego serca. flint (cs)



PEJA/SLUMS ATTACK
NAJLEPSZĄ OBRONĄ JEST ATAK
FONOGRAFIKA

„Pytasz co na Jeżycach? To samo, co zawsze, czyli nic, wieczna nuda" rzuca w jednym z kawałków Peja, a że „jakie życie – taki rap", wers ten oddaje w pewnym sensie charakter tej płyty. Poznaniak zdaje relacje ze swojego życia w niezmienny, ten sam, co zawsze sposób, nie sili się nawet na to, by mówić na jakiś temat – album to właściwie jeden, długi, ciągnący się w nieskończoność manifest. Wszyscy wiemy, że raper ma staż i pozycję na scenie, wiemy, skąd się wywodzi i wiemy, że reprezentuje biedę. Nie jest też tajemnicą, że nie lubi tych, którzy go nie lubią, ileż można więc o tym przypominać? Podwójny krążek to męczące rozwiązanie, materiał się dłuży, trudno wysłuchać go w całości, do tego w końcówce natrafiamy na naprawdę zbędne remiksy. Z drugiej strony to taki Peja, jakiego znamy: szczery, bezpośredni i o sobie (historia ojca rapera i przywołane obrazy z dzieciństwa rzeczywiście poruszają), nie mam więc wątpliwości, że fani będą zadowoleni. Tego przecież oczekują.

Warstwa muzyczna jest różnorodna – wielu producentów, różny klimat, niestety bity naprawdę dobre należą do rzadkości. Kilka produkcji Tabba (na ogół klasycznych, wolnych od elektroniki, za wyjątkiem singlowego „Kurewskiego życia"), jedna Donia (dodajmy, jedna z trzech, które dał) i niewiele więcej. Zawiódł Magiera, serwując mroczne, ale pozbawione życia bity, niespecjalnie rusza to, co zrobił Decks (mieliśmy prawo oczekiwać czegoś więcej); Peja, DJ Zel, Stone – to również tylko tło dla tekstów. Muzyka po prostu jest, z rzadka cieszy, na ogół po prostu wpada jednym i wypada drugim uchem. Pewnym ożywieniem jest rockowe brzmienie w dwóch kawałkach ze Sweet Noise, jednak bardziej wrażliwe ucho może mieć problem z jego zniesieniem. Featuringi? Przyzwoite Hemp Gru w ulicznej tematyce, wspomniany już Sweet Noise oraz damski śpiew w jednym z refrenów. To tyle. Głównym bohaterem jest tutaj niewątpliwie Peja, którego dwugodzinne wyznanie, do wielu pewnie trafi. Dla pozostałych, w obliczu całej wtórności, nudy, czy chociażby przesadnej gdzieniegdzie ilości wulgaryzmów, najlepszą obroną nań będzie chyba tylko przycisk „stop". Keb (CS)



NEW WINDS
A SPIRIT FILLED REVOLUTION
REFUSE REC.

Ze swym zaangażowaniem i żarliwością, portugalska ekipa New Winds zapewnia scenie HC spory haust świeżego powietrza. Pochodzący z Lizbony kwintet odwołuje się wprost do chlubnych tradycji Straight Edge hard core. W melodyjnej (bardzo melodyjnej) muzyce Portugalczyków słychać echa Uniform Choice i Ignite, ale New Winds pozostaje jednak oryginalne, choćby przez swoją specyficzną iberyjską lekkość i wpływy innych gatunków muzycznych (hiphopowy „Who Shot Carlo Giuliani?", etniczny „Dar Al-Harb 114"). Z zestawu piętnastu przebojowych kompozycji, do moich uszu „przylepiły" się przede wszystkim: poświęcony meksykańskim zapatystom „The Other Player (Ya Basta)" oraz „Silence Still Means Death", zaczynający się do sampla z filmu „Michael Collins" (konkretnie niesamowitego przemówienia tytułowego bohatera: „Mogą nas więzić, mogą nas zabijać (...) Ale my mamy broń potężniejszą nić cały arsenał Imperium Brytyjskiego. Ta bronią jest nasza odmowa!"). Ważnym komponentem hard core'a jest dla ekipy z Lizbony pozytywny, zaangażowany politycznie przekaz. Do płyty bowiem dołączona jest prawie dwustustronicowa książka z tekstami piosenek, obszernymi komentarzami do nich, sylwetkami kilkunastu więźniów politycznych, felietonami i przydatnymi linkami. Całość naprawdę robi wrażenie, więc reasumując powiem krótko: Słuchać, czytać, myśleć! /SBTN/



OBRINT PAS
LA FLAMA
PROPAGANDA PEL FET

Z czym wam się kojarzy Walencja? Może z morzem, może z samym miastem i może z tym, że mówi się tam nie tylko po hiszpańsku. Może. Może też Walencja kojarzy się niektórym z grupą o katalońskiej nazwie Obrint Pas – co po hiszpańsku znaczy Abriendo Paso:-). „La Flama" to już czwarty album chłopaków z Walencji – jak zwykle pełen punkowej energii, poprzetykany ska, które jest bardzo popularne w Katalonii i Kraju Walenckim, także elementami folku z ich rodzinnych stron. W wypadku tej płyty tytuł (po naszemu „Płomień") jest jak najbardziej na miejscu. Zaczyna się niezwykle energetycznym utworem „La Flama", a potem już jest tylko lepiej. Tekstowo czasem politycznie (jednak śpiewanie po walencku o czymś świadczy), czasem romantycznie i trochę melancholijnie – chyba nie przez przypadek to Xavi dzierży w dłoni mikrofon. Moim bezapelacyjnym numerem jeden jest kawałek „Records" (to znaczy „Wspomnienia", a nie płyty:-)), rewelacyjny gitarowy hit i Xabi wyrzucający z siebie historię, która dobiegła końca, choć cały czas boli (tanles imatges al meu cap/tanla gent que ens ha deixat/tants sentiments que no han canviat). Ale takie jest właśnie życie. Co więcej? Jak wspomniałem troszkę polityki w „Caça de bruixes", troszkę luźniej i zabawowo w „Tornar a casa" i znów hitowo na sam koniec: „Som". Ogólnie zajebista płytka dla tych wszystkich, którym nie przeszkadza śpiewanie w innym języku niż angielski, i brak klimatów macho:-). replil



Snoop dogg

gangsta instytucja

Raper, który przeszedł metamorfozę od gangstera do showmana. Na hiphopowej scenie znany już od trzynastu lat i wciąż święcący kolejne triumfy. Coraz lepszy także w rolach aktora i... komika. Popularyzator na szeroką skalę westcoastowego przyrostka „izzle", który choć dziś już staje się obciachowy, to jeszcze nawet dwa lata temu używany był przez wszystkich w Stanach, nawet w prestiżowym „The New York Times". Oto Snoop Dogg!

tekst Grabizzle

Choć jego poczynania mamy możliwość śledzić mniej lub bardziej dokładnie od kilkunastu już lat, to wciąż tak na dobrą sprawę trudno wyrobić sobie o nim jednoznaczną opinię. Na pewno wiele osób żywi ogromny sentyment do czasów, kiedy Snoop zaczynał karierę u boku Dr. Dre, a takich hiciorów. jak ich wspólne „Nuthin' But A 'G' Thang" czy solowy „What's My Name?" nie da się zapomnieć i już. Zresztą, nawet ostatnio mógł zaimponować rolą w „Starskym & Hutchu", gdzie gra Huggy Beara w taki sposób, że boki zrywać. Tymczasem postaram się Wam przypomnieć, jak toczyła się jego ciekawa, bądź co bądź, kariera.

Zaczął w 1992 roku. Trochę tartem, bo los chciał, że kumplował się z Warrenem G., który jest kuzynem Dre'a, więc nietrudno domyślić się, w jaki sposób do sławnego już wówczas członka legendarnych NWA trafiła taśma demo Snoopa. Doktor pomyślał sobie pewnie, że mimo dziwnej ksywki (która wtedy była nieco bardziej rozbudowana i brzmiała Snoop Doggy Dogg) ten typ jednak wiele potrafi i zaprosił go do wspólnych nagrywek. Pierwszą z nich był kawałek z 1992 roku do ścieżki dźwiękowej do filmu „Deep Cover" noszący ten sam tytuł. A potem zaczęło się już na dobre, bo Snoop stał się poważnym powodem, dla którego wydany w tym samym roku album Dr. Dre „The Chronic" został klasykiem. Na dobrą sprawę. to dwóch raperów słychać na tym projekcie mniej więcej w równych proporcjach. Rok później Snoop wydał w Death Row swoją własną solówkę, oczywiście produkowaną przez Dre'a. Poczwórna platyna (dla przypomnienia – w USA platynowe płyty są przyznawane za sprzedaż „nieco" większej ilości krążków niż u nas, konkretnie chodzi tu o milion egzemplarzy) dla „Doggystyle" była ogromnym sukcesem, mimo licznych zarzutów, że właściwie to jest to kalka „The Chronic". Co z tego, skoro ludziom się podobało, a Snoop o mało nie dostał za przebój „Gin & Juice" nagrody Grammy.

Jak to tradycyjnie bywa z większością znanych czarnoskórych raperów, również i w tym przypadku nie obyło się bez konfliktów z prawem. Jeszcze przed rozpoczęciem kariery młody Calvin Broadus (bo tak brzmi jego prawdziwe nazwisko) często lądował w przeróżnych instytucjach poprawczych, zaś w czasie nagrywania „Doggystyle" uwiktany został w długotrwały, jak się potem okazało, proces o morderstwo. Jego wiarygodność jako gangsta-rapera wzrosła, ale stracił przez to wiele. Został uniewinniony w 1996 roku, jednak problemy z sądem kosztowały go na dobrą sprawę prawie trzy lata kariery muzycznej. Powrócił w 1996 z płytą „Tha Dogg Father", która choć nie przeszła bez echa, to już nie była takim sukcesem, jak debiutancki LP. Powód – ludziom zaczynała przechodzić zajawka na gangsterski hip-hop i Snoop musiał zrobić coś ze swoim image'em, żeby utrzymać się w biznesie. Wówczas to przeniósł się do No Limit i zaczął nagrywać w wytwórni Mastera P. Mimo chwilowego obniżenia lotów, również wtedy można było zachwycać się takimi perełkami, jak „B Please". Dla formalności przypomnę krążki nagrane przez Snoopa za czasów No Limit, a było ich całkiem sporo. Były to kolejno: „Da Game Is To Be Sold Not To Be Told", „No Limit Top Dogg", „Dead Man Walkin'" (płyta wydana przez D3 i zawierająca stary, niewydany wcześniej materiał rapera, jeszcze z czasów Death Row) i wreszcie „The Last Meal". W sumie jednak najbardziej warto w tym okresie zwrócić uwagę na drugą sferę działalności Snoop Dogga, czyli film.

Właśnie w roku debiutu w No Limit, czyli w 1998, raper zaczął pojawiać się w epizodach w drugorzędnych filmach. Z czasem rozwinął się i nawet dostał główną rolę w horrorze „Bones" w 2001 roku. Może nie było to arcydzieło, ale zapoczątkowało większą karierę Snoopa jako aktora. Zagrał role w „Dniu próby", wspomnianym „Starskym & Hutchu", oczywiście w „The Wash" oraz w „Soul Plane", którego akurat nie widziałem, ale podobno zabawnie wyszło. Na bieżący rok zapowiadane są kolejne dwa obrazy z udziałem Snoopa, zatem rozkręca się on jako aktor niebywale i chyba dobrze, bo póki co daje radę na zupełnie nieztym poziomie.

W 2002 wydał płytę „Paid Tha Cost To Be Da Bo$$" już w Capitolu. Wszyscy znamy „Beautiful" i lubimy do tego przeboju klip:). Właśnie ten LP jawić się powinien się jako swego rodzaju odrodzenie solowej kariery Snoopa. Co prawda, pojawiał się gościnnie choćby w takich bangerach jak „The Next Episode" i „Still D. R. E." Dr. Dre czy „X" Xzibita, ale żaden z jego własnych numerów nie odniósł jakiegoś oszałamiającego sukcesu do czasu „Beautiful" właśnie, nawet mimo tego, że każdy kolejny album osiągał bez problemów milion sprzedanych egzemplarzy. Ostatni krążek to oczywiście jeszcze w sumie świeży i wydany w Geffen Records „R&G (Rhythm &Gangsta): The Masterpiece" zawierający hit „Drop It Like It's Hot". Snoop już od dłuższego czasu stopniowo łagodniał w warstwie tekstowej, ale tak słodziutko, jak na ostatniej płycie to jeszcze

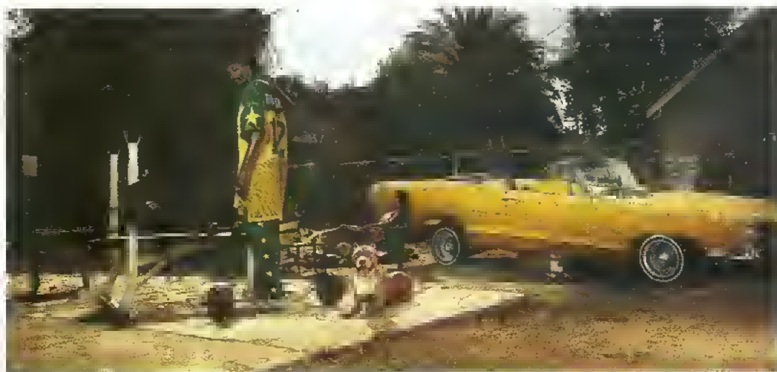
nie było. Dużo funku, sporo r'n'b i właściwie tylko ze trzy ostrzejsze numery? Snoop z 1993 roku nigdy by w to nie uwierzył, choć przecież jego gładki wokal i laidbackowy flow od dawna predestynował go do takich właśnie produkcji.

Ostatnio jest o nim znowu głośno, ale niestety z zupełnie poza artystycznych powodów, gdyż toczy się sprawa o gwałt wytoczona przeciwko niemu i jego ekipie przez charakteryzatorkę w programie telewizyjnym, która twierdzi, że Snoop ją zgwałcił w swojej garderobie i żąda pokaźnego odszkodowania. Raper rzecz jasna zaprzecza i nie wiadomo, jaki cała sprawa znajdzie finał.

Na koniec o tym słynnym „izzle", powiedzonku, które choć nie jest wytworem Snoop Dogga, to jednak jemu zawdzięcza swą zawrotną karierę oraz o karierze Snoopa jako komika. Zajawka na kończenie wyrazów na wspomniany przyrostek już raperowi minęła – stwierdził, że basta i zaapelował o wymyślenie czegoś nowego – ale jeszcze nie tak dawno w MTV latał jego komediowy program autorski pod nazwą „Doggy Fizzle Televizzle", a co trzecie słowo tam padające kończyło się na „izzle". Snoop potwierdził swój talent do rozśmieszania ludzi (już raz to zrobił, kiedy ogłosił wszem i wobec, że przestaje palić zioło i pić alkohol, bo musi dawać dobry przykład dzieciom), show było niczego sobie i jeszcze mocniej ugruntowało pozycję rapera jako coraz bardziej rozpoznawalnej ikony showbiznesu.

Mimo swego statusu weterana i trzydziestu trzech lat na karku, z których trzynaście spędził w świetle jupiterów, Snoop nie przestaje ugruntowywać swej pozycji w coraz szerszych kręgach. Raper, aktor, komik. Co będzie dalej? Się zobaczizzle:)





tekst Kowal

(Ta historyjka nie jest umiejscowiona w czasie i nie do końca określam w niej przestrzeń. To tak po prostu różne fakty i akty, których bohaterem jest jedna z najbardziej rozpoznawalnych ikon rapu. Jeżeli będziecie mieli wrażenie, że w tekście jest sporo skrótów, to widocznie tak miało być. Bo gdybym chciał rozwinąć każdy wątek z kariery Snoop Dogga, który pojawi się w tym tekście, powstałaby pewnie książka.)

Pamiętam, że kiedy zobaczyłem Snoopa po raz pierwszy, mało nie umarłem ze śmiechu. Suchy, wysoki, tyczka taka, do tego fryzurka udziwniona. Najpierw go jednak usłyszałem – protegowany Dre'a robił wrażenie swoim dziwnym, charakterystycznym flow. Dziwniej rapował w tamtych czasach chyba tylko Eazy-E, a chwilę później RBX, ale on miał zmiażdżoną częściowo krtań. Nadchodził czas raperów, którzy walczyli stylem. Okazać się miało, że Snoop będzie przez lata jednym z najważniejszych stylowców. A treść? Po płytach NWA i wczesnych solówkach jego członków w gangsta rapie właściwie powiedziano wszystko. Ale zawsze można było to opowiedzieć ciekawiej. Snoop próbował.

$$$

Próbował ze skutkiem takim, że dziś jest ikoną. Ikoną niezwykłą, bo choć wiadomo, że żyje z płyt, koncertów i biznesów fonograficznych ogólnie, nikt nie neguje pojawiającego się wciąż często i gęsto słówka „gangsta". „Mój ojciec był gangsterem, ja jestem gangsterem, to kim on niby ma być?" – pytał, w swoim przekonaniu retorycznie, sfilmowany kiedyś ojciec Snoopa. I tu może dwa słowa. Gangster w naszych rodzinnych stronach kojarzy się z typem, który strzela, bije i nafcza, pełny nielegal. W uboższych dzielnicach Kalifornii z kolei gangsterem jest każdy, niekoniecznie najlepszy zawodnik działający w ramach struktur mafijnych. Potężne gangi Cripsów i Bloodsów dzielą wpływy po połowie, ale lokalny gang jest na każdej ulicy. Trzymasz się ze swoimi, bo nie masz innego wyjścia. Zarabiacie, na czym się da, najczęściej nielegalnie. Stąd już tylko krok do rzeczy podejrzanych, bo przecież wielkich pieniędzy nie da się zarobić na wywożeniu makulatury. Patrzysz na affirmative action i political correctness i myślisz, że łatwo być Afroamerykaninem. Tylko że te hasła nie docierają do Watts, Compton czy Long Beach. Tu jest troszkę inaczej. Tu rządzą gangi. Możesz próbować się uczyć, albo mieć wyniki w sporcie. W innym przypadku, jeżeli chcesz się liczyć czy po prostu mieć w ogóle coś do powiedzenia, musisz być gangsta.

Napisać, że trwa tu wojna to wcale nie taka przesada. Oczywiście gangsta firmy i gangsta historie są mocno przerysowane, ale nikt nie dziwi się w momencie, w którym usłyszy strzały. Tu raczej nie ma co liczyć na polubowne załatwianie spraw; chłopaki raczej wariują, niż się dogadują. Ale wróćmy do Snoopa.

Calvin Broadus trochę w swoim młodym życiu zobaczył i zdecydowanie bardziej imponowali mu ci, którzy mieli pieniądze, niż ci, którzy ich nie mieli. Złośliwy powie, że wszystkie stanowiska dealerów w okolicy były obstawione, więc w takich wypadkach zachował się jak typo Afroamerykanin z ghetto – zaczął rapować. Może to i nie do końca uproszczenie, w każdym razie można chcieć rapować, ale trzeba mieć do tego też jakiś dryg. Snoop miał – okolica wychowała się na funku, potem przyszedł rap, z największą okoliczną gwiazdą – NWA. Niggas Wit Attitude dość dosadnymi słowami opisywali to wszystko, co dzieje się na ulicach uboższych dzielnic, swoimi bezkompromisowymi tekstami, którymi wywoływali wściekłość purytańskiej cenzury (oficjalnie nieistniejącej, bo przecież wszyscy znamy mit amerykańskiej wolności słowa, ale słowo mit wcale nie jest tak bardzo na wyrost) i zażenowanie szołbiznesu, który przecież trzepał na tym sporą kasę, jednocześnie zdobyli serca tych, o których była ta muzyka. Bo to, do kogo ona trafiała, to zupełnie inna sprawa. W Stanach większość konsumentów rapu to białe dzieciaki z klasy średniej... Ale wróćmy do naszej bajki. Tak więc NWA byli legendą prawdziwą, choć dziś złośliwcy mówią o wykreowaniu tworu może nie sztucznego, ale trochę przynajmniej podrasowanego. Chrzanić złośliwców – legenda jest legendą.

$$$

Kiedy więc poprzez koneksje koleżeńsko-rodzinne Snoop Doggy Dogg trafił w krąg zainteresowań legendarnego producenta i członka NWA, Dr. Dre'a, kariera stanęła przed nim otworem. Na The Chronic Dre'a Snoop grał rapowe pierwsze skrzypce, a niedługo później jego Doggy Style stał się kolejnym znakomicie się sprzedającym produktem Death Row Records, wytwórni prowadzonej przez Suge'a Knighta, byłego ochroniarza NWA, byłego futbolisty i – jak się miało kilka lat później okazać – speca od przepierki pieniędzy z różnych ciemnych interesów. Zanim jednak Suge poszedł siedzieć, a imperium Death Row się rozpadło, Snoop zdążył zostać gwiazdą.

Ten pierwszy, dziś już kultowy album, Doggy Style, to było 50% powagi i 50% polewki. Tematy gangsta przeplatały się z klasycznym gadaniem głupot, a przecież największą głupotą była ksywka głównego bohatera. Historie o piciu ginu, jaraniu jointów, porachunkach, romansach i tym wszystkim, co tylko można robić z nudów i dla pieniędzy w słonecznym Long Beach, stały się jednak niezwykle popularne. Wszystko przebiegało tak, jak przebiegać powinno – kolejne utwory, muzyka do filmów, popularność tak wielka, że artyści Death Row chyba zaczęli się w tym wszystkim gubić. I teraz o naszym głównym bohaterze – on w tym wszystkim wyglądał na najbardziej zagubionego.

$$$

Różne można stawiać tezy, ale ja zdecyduję się na taką – w karierze i życiu Snoopa najwięcej namieszał... Tupac Shakur. Tak, tak, słynny 2Pac. Bo gdy owiany sławą utalentowanego, ale niesfornego i żyjącego mocno na bakier z prawem rapera Shakur przyjął ofertę Suge'a Knighta na wydanie albumu w Death Row, w wytwórni wszystko mocno się popieprzyło. Snoop już spoważniał, bo choćby problemy z prawem i sprawa o morderstwo, o które oskarżano jednego z jego kumpli--ochroniarzy, ale przy której prokurator za wszelką cenę chciał przybić Snoopowi współudział, musiały go do tego zmusić. Gwiazdy Death Row były pod ostrzałem mediów, które wynosiły ich pod niebiosa, by za chwilę zmieszać z błotem, rozpisywały się o bogactwie, by w ten sposób dobrze nakręcić każdą aferkę, których nie brakowało, czyniąc z nich mega gwiazdy, co jednak miało swoją cenę. 2Pac uwielbiał takie zainteresowanie, uwielbiał być w centrum wydarzeń i miał opcję na to, by zawsze być numero uno. A numero uno w DR był Dre. Konflikt Paca z Dre'em był kwestią czasu. I nastąpił bardzo szybko. To już sprawa obydwu panów, ale zamieszanie uderzyło też w Snoopa. W końcu Dre'owi zawdzięczał jeżeli nie wszystko, to bardzo wiele. Dre odszedł z Death Row, założył Aftermath Entertainment. Snoop Doggy Dogg został. Między Snoopem a Dre'em porobiły się też niezdrowe klimaty. Jeden nie chciał się pojawić jako świadek na sądowej sprawie drugiego, poszło kilka mocnych tekstów, zrobiło się nieprzyjemnie.

A potem zginął 2Pac. A jeszcze potem Suge Knight trafił pod lupę amerykańskiej skarbówki i prokuratury. Śmierć Tupaca wstrząsnęła Snoopem, zaczął się bać. Rapowa wojna Wschód – Zachód wisiała w powietrzu, a gdy zginął Notorius B. I. G. zrobiło się panicznie. Z czasem okazało się, że te dwa tragiczne wypadki nie pociągnęły za sobą kolejnych ofiar, ale wtedy nikt tego nie wiedział. Tłumy ochroniarzy i strach. Do tego jeszcze wytwórnia nagraniowa, która zupełnie nie potrafiła wytłumaczyć się z jakichś skromnych 300 milionów dolarów. 2Pac nie żył, Suge Knight poszedł siedzieć. Dre był obrażony. Coś się definitywnie skończyło.

$$$

Mariaż z wytwórnią Mastera P. był z pewnością błędem, choć nie aż tak tragicznym, jak mogłoby się wydawać. P. dawał możliwość zarobienia pieniędzy, bo on niczego innego właściwie nie robił. No i Snoop Dogg – bo już nie Doggy Dogg (raz, że brzmi poważniej; dwa, że zmiana pseudo ułatwiała kwestie praw autorskich) zarabiał. Zarabiał zresztą w każdy możliwy sposób – udostępniał wizerunek w reklamach, pojawiła się kolekcja ciuchów, wywiady z nim w pewnym momencie też były płatne. A muzyka? Zeszła na drugi plan, tak zresztą, jak w No Limit Records było to przyjęte. Tam wszystko musiało się świecić, teledyski musiały być wypasione, a rap? Rap był dodatkiem. Żeby jednak być zupełnie szczerym wobec Snoopa i wobec historii, nie wszystko, co pojawiło się w tamtym czasie było takie najgorsze. Chociaż fakt, że podczas koncertów gra mało materiału z tamtego okresu, o czymś świadczy...

Jeszcze jednym sposobem na zarabianie pieniędzy bez wątpienia jest aktorstwo. Czy to talent, czy sprytni specjaliści od wykorzystywania wizerunku. Umówmy się – większość raperów grających w filmach nadaje się do tego tak, jak prawdopodobnie do lutowania procesorów. Tylko że lutowanie to czynność intymna, a film ogląda sporo osób. Warto więc zaryzykować, zwłaszcza, że od czego są montażyści? Snoop grał sporo, bo ludzie chcieli go oglądać. Gra nadal, bo ludzie chcą go oglądać. Aktorem jest miernym, ale wystarczy, że się pokazuje. Konto rośnie. Czy ja mu coś zarzucam? A skądże! W końcu wiem, w jakim świecie żyjemy.

Związek z No Limit Records trwał i trwał, a Snoop był w jakiejś dziwnej pozycji. Bo niby pojawiały się kolejne single, zamieszanie wokół jego osoby trwało, ale tak naprawdę wszyscy wciąż mówili o tym, co było kiedyś. Paradoks, tworzysz dużo nowej muzyki, a ludzie wciąż wracają do starej. Jeszcze większy paradoks? Sprzedajesz sporo nowej muzyki, ale wszędzie słychać tę starą. Może inaczej – wiele osób chce słuchać tej starej...

$$$

Z czasem poodkręcało się kilka spraw, które w pewnym momencie zmieniły życie Snoopa. Może zacznijmy od najmniej przyjemnych. Konflikt West Coast – East Coast pewnego dnia może nie przestał istnieć, ale zaczęło się pojawiać pytanie – czy w ogóle był jakiś konflikt? Kiedy pojawiają się takie pytania, to znaczy, że na rzeczy na pewno coś było. Zresztą nagrobki 2Paca i B. I. G. może i pojawiły się częściowo przez paskudne zbiegi okoliczności, ale tylko częściowo. Nie wchodźmy w ten temat, bo najważniejsze jest to, że raperzy z obydwu wybrzeży Stanów coraz częściej pracowali razem. A Snoop stanowił torpeczę West To East, a z czasem pojawiał się na podobnych produkcjach coraz częściej. Raperzy w Stanach zrozumieli, że ludzie chcą ciekawych featuringów. Money? Na pewno, ale też wyzwanie. Snoop w każdym razie mu sprostał.

Z puszki wyszedł też Suge. Wyszedł i skonstatował, że ma dużo mniej, niż miał. W przeróżny sposób próbował się odkuć, między innymi poprzez wydawanie kawałków, do których miał, jako szef Death Row, prawa. Snoop miał z tą wytwórnią tak skonstruowany kontrakt, że jego pierwszymi hitami

Suge dysponował do woli. A że premiera thebestofu pojawiła się akurat w momencie wydania nowej płyty Snoopa? Znajdziecie w Internecie darmowy kawałek pt. „Fuck Suge". Zawarte w nim treści nie są przypadkowe...

Ciepłe uczucia pojawiły się też na linii z Dre'em. Najpierw telefony, a potem już coraz więcej wspólnych kawałków. Wesołym paradoksem jest to, że pomiędzy The Chronic a Dr. Dre 2001 (siedem lat!) panowie zdążyli się bardzo znielubić, a jednak Snoop odegrał ważną rolę na wydanym w 1999 roku albumie. Z tym, że ta „miłość" nigdy nie będzie już chyba tak gorąca – Dre zdążył się zakochać w nowym protegowanym, Eminemie. Ale to już zupełnie inna bajka.

$$$

Wyjście z No Limit i co dalej? Dalej Snoop postanowił, że będzie nowocześnie. Właściwie nie wiadomo, czy tak akurat postanowił, ale w pełni genialny Paid tha Cost to Be da Bo$$ pokazał, że Snoop potrafi wczuć się w klimat robienia wielkich hitów... łączących pokolenia. Niby on zawsze robił wielkie hity, ale dawno nie brzmiało to tak nowocześnie. Zaprosił mnóstwo znanych osób, producentów, pojawili się m.in. Gang-Starr, Jay-Z, The Neptunes. Z tymi ostatnimi, a zwłaszcza z Pharrellem Williamsem mocno się zaprzyjaźnił. Choć oficjalnie taki duet nie istnieje, ciężko teraz zobaczyć gdzieś w telewizji Snoopa bez Pharrella. Ostatnio wydana płyta to potwierdzenie tej przyjaźni od strony biznesowej – wydana została w wytwórni Neptunesów, Star Trak. A hity? A hity latają ostro.

$$$

Człowiek instytucja? Też. Sponsoruje kilka fundacji, choć nie tak ostentacyjnie, jak na przykład P. Diddy. Miał swój program w MTV, Doggy Fizzle Televizzle, idiotyczny, ale śmieszny. No i bite były rekordy popularności. Co jeszcze może zrobić? Mogę wam napisać, z bardzo małym marginesem błędu. Będzie sprzedawał mnóstwo płyt, zagra jeszcze w wielu filmach, ciuchy z jego brandem schodzić będą jak woda i pewnie poprowadzi niejeden program. I zawsze gdzieś przy okazji tego pojawiać się będzie słowo gangsta. Bo choć Snoop mógłby pewnie wykupić większość ulic, po których biegał za małolata, robiąc różne głupoty, a jego „gangsteryzm" od kilkunastu lat jest stricte medialny, on xpo prostu chce, żeby to słowo się pojawiało





A teraz taki mały ekskluzif. Niepoukładany i chaotyczny, ale miejcie świadomość, że dzięki naszym koneksjom jako jedyni w Europie Środkowo-Wschodniej możecie przeczytać, co Snoop Dogg ma do powiedzenia o paru kwestiach związanych z robionymi przez niego biznesami. I nie tylko...

O nagrywaniu Rhytm & Gangsta The Masterpiece...

Praca nad tym albumem była dla mnie wyjątkowym doświadczeniem, bo większość pomysłów powstała u mnie w domu, a także w... kościele. Potem przeniosłem się do studia, które nazywa się The Tabernacle. Pod koniec pracy w nim pojawił się Pharrell i razem zaczęliśmy układać ostatnie puzzle tej układanki. Czułem, że były to jakby trzy różne momenty, trzy różne inspiracje, które w końcu ułożyły się w jedność. W doskonałość...

O tym, skąd wziął się termin R&G...

To przyszło mi do głowy pewnej nocy. Słuchałem starego, dobrego, klasycznego R&B. Uświadomiłem sobie, że uwielbiam R&B i zacząłem się zastanawiać, czy to może jakoś mocniej wpłynąć na moją muzykę. Ale przecież R&B to nie jest to, co robię. Ja robię... R&G! Wow, pomyślałem, przecież to właśnie tak jest! Moja muzyka to rhytm and gangsta. I tak właśnie stworzyłem nowy muzyczny styl, ba, moją nową muzyczną etykietę – R&G...

Tak to właśnie powstało i zaraziłem tym wiele osób w moim otoczeniu. Pracowaliśmy nad tą płytą wciąż myśląc o tym nowym gatunku i... chyba właśnie powołaliśmy do życia coś zupełnie nowego.

O pracy z Pharrellem...

Tak, no cóż, krótko mówiąc, według mnie on jest po prostu muzycznym geniuszem. On rozumie muzykę, każdy jej element. A przede wszystkim, on doskonale rozumie mnie. Do tego stopnia, że jest w stanie nawet przewidzieć to, o czym będę rapował, jak będę to robił. Wyczuwa mnie znakomicie, a to sprawia, że pracy z nim jest po prostu łatwa.

Niesamowite w tym facecie jest to, że z równą lekkością może pracować ze mną, potem zrobić coś z Britney Spears, Justinem Timberlakiem, następnie nagrać jakieś rock and rollowe piosenki i znowu zająć się rapem. Ten facet jest naprawdę wszechstronny.

Zresztą w ogóle praca z całym teamem Star Trak jest niesamowita. To dla mnie zaszczyt, że właśnie oni zrealizowali moją ostatnią płytę. Mogę im zaufać, bo wiem, że wszystko będzie tak, jak sobie tego życzę. Dzięki temu jestem bardziej kreatywny, nie muszę martwić się o brzmienie, oni zrobią to za mnie. Wtedy mogę skupić się po prostu na byciu raperem, na byciu Snoop Doggiem.

O gościach na ostatnim albumie...

No, faktycznie, pojawiło się ich sporo. Jest 50 Cent, mój dobry ziom, człowiek, którego darzę wielką sympatią i który tworząc wspólnie ze mną rap wie, o co mi chodzi. Pojawia się też Justin Timberlake. Pharrell tak opracował nasz wspólny kawałek, że mogę powiedzieć o nim tylko jedno – jest doskonały.

Charlie Wilson pojawia się w utworze „Perfect". Wspaniałe nagranie, sądzę, że mogę spokojnie powiedzieć, że jest jednym z najlepszych, jakie kiedykolwiek stworzyłem. Sądzę, że w tym utworze ludzie zobaczyli mnie takiego, jakim jeszcze mnie nie widzieli – opisującego moją miłość do dziewczyny idealnej („perfect girl").

Nelly nagrywał w studiu obok, usłyszał „Girl Like U" i powiedział, że chce być w tym kawałku, że musi w nim być. To wyszło bardzo naturalnie, bo po chwili współpracy zobaczyłem, że to wszystko płynie prosto z serca. Bardzo lubię ten utwór.

O pierwszym wykonaniu na żywo „Drop It Like It's Hot"...

Zacznę od tego, że ten kawałek siedział w mojej głowie. Wyszedł idealnie, jest właśnie tym, co miało się pojawić, żeby rozpocząć całe zamieszanie wokół R&G The Masterpiece.

Uwielbiam grać koncerty. Występuję przed ludźmi, a oni szaleją – to najlepsze uczucie na świecie! Wiesz czemu? Bo mam tak bliski kontakt z ludźmi, którzy sprawili, że jestem dziś tym, kim jestem...

Ostatnio czuję się trochę tak, jakbym nie wykonywał innego kawałka, tylko „Drop It Like It's Hot". OK, nie mam z tym problemu, bo mam świadomość, że to jeden z moich największych hitów, to ten kaliber, co „Gin & Juice" i „What's My Name". To wielki hit i mówię o tym wprost. Patrzę na ludzi ze sceny i ich szaleństwo mówi mi wszystko. Wielki hit...










































Wigor Mor W.A.

sztuka władania słowem część 10



To już dziesiąty raz, kiedy mam okazję napisać coś od siebie. Można by rzec, że to swego rodzaju jubileusz, bo sam nie podejrzewałem się o to, że w swoich spostrzeżeniach zabrnę tak daleko. Mało tego, że człowiek nagrywa dniami i nocami kilka płyt na raz i do tego jeszcze koncertuje, nie wspominając o życiu prywatnym, to znajduję chwilę, by podzielić się z czytelnikami swoimi obserwacjami. Rap jest 24 godziny na dobę wokół mnie, nawet kiedy śpię!

tekst Wigor

W ostatnim numerze pisałem na temat koncertów i nawiązywania kontaktu z publiką. Cóż mogę jeszcze dodać na ten temat? Właśnie w tej chwili koncertujemy co weekend, przez trzy dni z rzędu i powiem wam, że człowiek dostaje od ludzi niesamowitą dawkę energii. Oczywiście, staramy się odwzajemniać tym samym, bo przecież polega to na wzajemnym przekazywaniu rapowej mocy. Relacja słuchacz i wykonawca działa w dwie strony (chcesz, to możemy zamienić się na koncertach miejscami, ale czy wyjdzie na to samo?). Grając koncert staram się nie rozgraniczać, czy przypadkiem ktoś okazyjnie przyszedł wypić piwo i poderwać jakąś dzierlatkę, czy przede wszystkim docelowo na sam koncert. Ja robię swoje i liczę na to, że ktoś zauważy ogrom starań nie tylko wykonawców, ale i organizatorów. Wiadomo, że różni ludzie mają różne podejście do sprawy, ale to ich prywatna kwestia, byle by nie przychodzili robić jakichś pijackich burd.

Koncert ma swój niepowtarzalny charakter, a ludzie w tym kraju z roku na rok coraz lepiej rozumieją jego przestanie i przychodzą nie z ciekawości, tylko w celu otrzymania tej energii.

(Najlepsi są tacy, którzy przychodzą chyba tylko po to, by poprzypatrywać się nam, kim to my naprawdę jesteśmy?). Jeśli ktoś wsłuchuje się w naszą twórczość, to nie powinien zadawać sobie takich pytań i dopatrywać się nie wiadomo czego, tylko przychodzić z nastawieniem na dobrą zabawę. Najważniejsze jest to, że ludzie przychodzą na imprezy i miejmy nadzieję, że tak pozostanie. Muzyka nie istnieje bez jej odbiorców, dlatego jest to takie ważne!

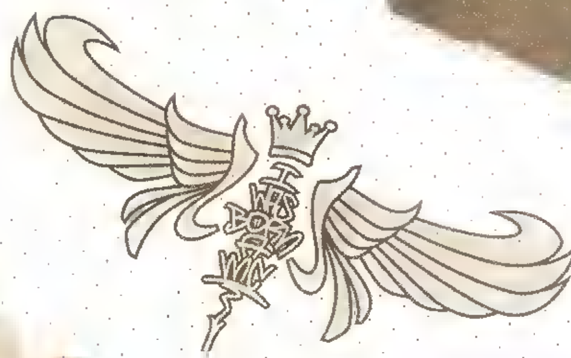
Stojąc na scenie zdaję sobie sprawę z tego, jak wiele głów chłonie to, co w danej chwili masz do powiedzenia. To odpowiedzialne zadanie, ale nie zawsze trzeba dorabiać do tego ideologię. Najważniejsze, by słuchacze czuli się komfortowo, a nie jak w kilku przypadkach, o których słyszałem, że co poniektórzy potrafią grać koncerty „na odpierdol się". Każdy może mieć swój gorszy dzień, ale ja nie przenoszę tego na scenę, nie odwracam się tyłem i nie gram skróconych koncertów, bo mam takie widzimisię. Nie o to w tym chodzi, by robić coś na odwal! Trzeba uszanować ludzi, którzy zapłacili za bilet i poświęcili swój czas, a przecież przyszli się pobawić, a nie patrzeć na sfochowanych artystów. Sam wykonawca powinien czerpać jak największą satysfakcję z tego, że inni przyszli specjalnie dla niego. Kiedyś zagraliśmy koncert w Chorzowie dla dosłownie garstki ludzi, którzy nas nie zawiedli, ważne, że przyszli i w rezultacie było nad wyraz energetycznie z obu stron. Takie rzeczy się pamięta, bo nie chodzi o ilość, tylko o emocje i sam fakt , że ludzie o nas nie zapominają, a przecież prywatnie ich praktycznie nie znamy! Od wielu już lat kultura hiphopowa rozwija się w naszym kraju, a ludzie mają coraz szerszą paletę możliwości. Myślę, że ci, którzy kochają tę sztukę w każdym wydaniu, są usatysfakcjonowani z przebiegu jej rozwoju. Bo jak tu się nie cieszyć, kiedy wszystko zaczyna nabierać coraz wyraźniejszych kształtów, a poziom imprez regularnie się podnosi. Z punktu widzenia wykonawcy mogę tylko dodać, że zawsze staramy się dokładać wszelkich starań, by nasi odbiorcy w trakcie i po imprezie mogli się cieszyć polskim rapem. Życie hiphopowca potrafi obfitować w wiele zaskakujących sytuacji, zarówno przyjemnych jak i nieprzyjemnych. Przez wiele lat spotkaliśmy się z różnego rodzaju postawami ludzi, którzy albo poświęcali się dla sprawy, albo kombinowali jak tu zarobić cudzym kosztem. Trzeba być szczególnie wyczulonym na tzw. ludzką pazerność, a na takich hochsztaplerów wszędzie można się naciąć. Tak to już jest, że zawsze znajdzie się ktoś taki, co będzie chciał innych wysterować, a sam umyje od tego ręce.

Najlepszym przykładem na to była sytuacja sprzed lat, kiedy to bliżej nieokreślony typ bez naszej wiedzy zaaranżował w pewnym mieście nasz koncert. Ten to łapserdak zorganizował tzw. „koncert widmo". Zrobił plakaty, ulotki i informację w prasie, o której my dowiedzieliśmy się już po fakcie. Gościu sprzedał po sklepikach kilkaset biletów i wyparował bez wieści. Tym sposobem okradł ludzi z własnego miasta kosztem naszej reputacji, bo przecież to Mor W.A. mieli grać, a nie przyjechali, czy co? Sprawa się wyjaśniła, choć typ nie wpadł nigdy w nasze ręce, ale sami widzicie, jakie to podstępne kreatury chodzą po tym świecie. Innym razem pewien cwany właściciel okolicznej remizy (jak się później okazało) zaprosił nas oraz kilka warszawskich ekip w celu zagrania przez nas koncertów. Zamknął nas na jakimś zapleczu i kazał czekać na rozwój dalszych wydarzeń. Okazało się, że w klubie jest jeden mikrofon, jakiś stary wzmacniacz i gramofony unitra. Typek myślał, że zagramy na niczym i za nic, a on sobie zagarnie hajsik? Po raz kolejny grupa kilkuset dzieciaków została oszukana przez miejscowego kozaka, który zamiast zapewnić młodzieży jakieś atrakcje, chciał się na nich dorobić, a uwierzcie, z miasteczka na odległość wieje biedą. W rezultacie wyszło, że przyjechaliśmy po to, by pokręcić się po scenie, stwierdzić, że nie da się nawet zagrać czegokolwiek na tamtejszej aparaturze i wróciliśmy do siebie. Szkoda tylko tych dzieciaków, które z niedowierzaniem patrzyły na nas pod wejściem do klubu, jakby podejrzewały, że to mało prawdopodobne, że jeszcze tego wieczoru zagramy tam imprezę. Od tamtych zamierzchłych już czasów zupełnie zmieniło się nasze podejście w kwestii dogadywania szczegółów koncertowych. Prawda jest taka, że co do wymagań trzeba stawiać sprawę jasno i umiejętnie egzekwować swoje. Wracając na koniec do samych występów przyszłych wykonawców nasuwa mi się jedna istotna uwaga. Przede wszystkim, jeżeli chce się grać mistrzowskie koncerty, na scenie pomiędzy raperami i Dj-em musi być komunikacja wzrokowa, jak i umysłowa. Do tego dochodzi aktywna relacja z publiką, która tylko na to czeka, by ją podkręcić. Wszystkie te aspekty wyrabiają się z czasem, ale żeby to osiągnąć, trzeba robić dziesiątki prób, na których do znudzenia można ćwiczyć wszystkie podbitki, aranże wokalowe oraz patenty muzyczne. Publika powinna czuć się elementem kompozycyjnym koncertu, powinna czynnie uczestniczyć w jego przebiegu. Dobry raper dba o to, by jego publika się nie zanudzała, by miała powody do zadowolenia i kipiała energią!

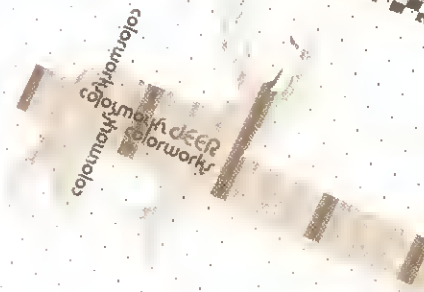



RASTAFARI

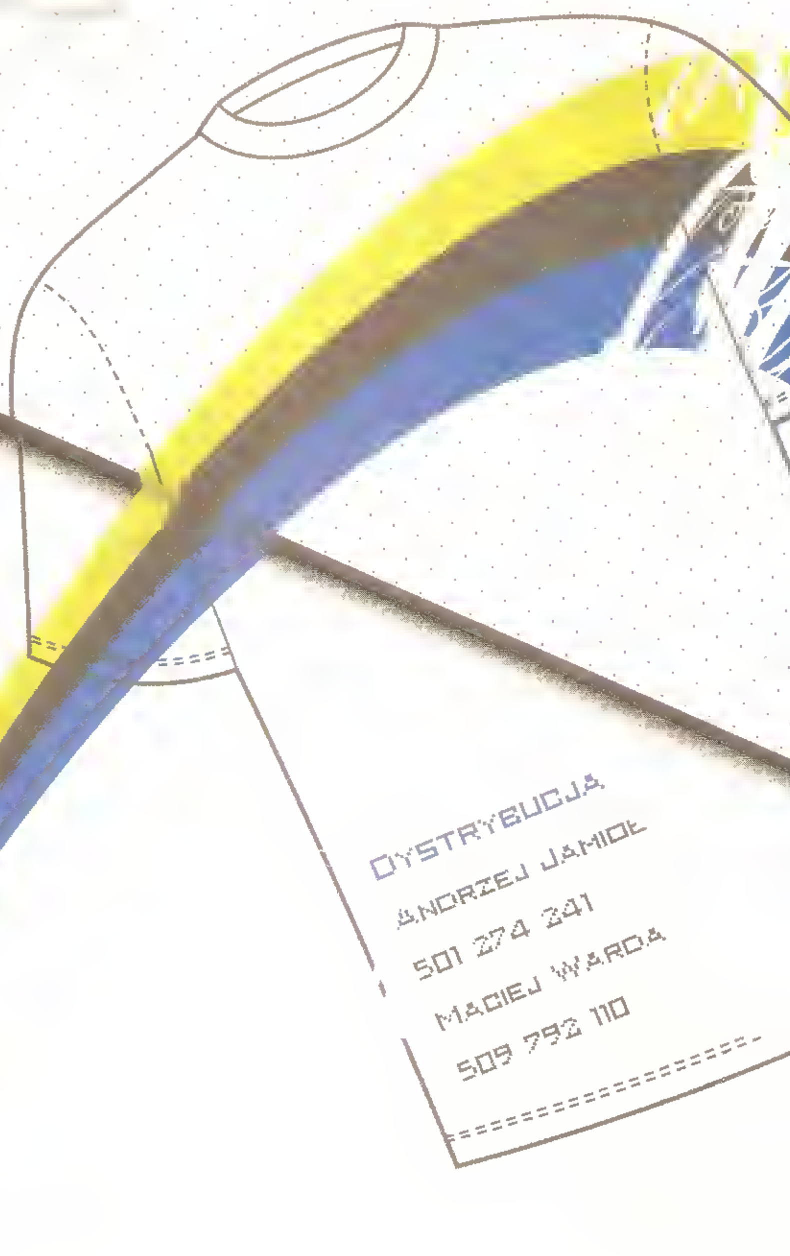

JAMAICA






colorworks


IVC


DYSTRYBUCJA
ANDRZEJ JAMIOŁ
501 274 241
MACIEJ WARDA
509 792 110



Slums attack
nic na siłę

Jadąc do Poznania, zastanawiałem się, o co spytać Peję i Decksa. W wywiadach powiedzieli już chyba wszystko, zresztą najczęściej mówił Peja, co miało miejsce również tym razem. Decks kiedyś powiedział mi, że on jest didżejem, ma swoje zadania związane z muzyką i to Peja jest od słów. Tak było i tym razem. Najpierw jednak myślałem, że chyba trzeba będzie porozmawiać w duchu nowej płyty SLU – płyty będącej swoistym podsumowaniem, rozliczeniem Pei z rzeczami, które miały miejsce i podczas 12 lat istnienia poznańskiego zespołu, i wcześniej, zanim jeszcze wziął się za rapowanie. Tylko że o to wszystko już go pytano...
OK, pomyślałem, zrobimy ten wywiad jak najbardziej „aktualnie", pogadamy o płycie. Tak zrobiliśmy. I w naturalny sposób udało nam się zahaczyć właściwie o każdy temat – i o to, co było, i o to, co jest, i o to, co będzie...

rozmawiał Kowal
foto Wojtek Antonów/WZRR

Podejrzewam, że 12 lat to właściwie niewiele mniej, niż mają Wasi najmłodsi słuchacze. Myśleliście o tym kiedyś w ten sposób?
Peja: Nie, właściwie nie, ale rzeczywiście... Myślę, że ja akurat też miałem 12 lat, jak się zetknąłem z tą muzyką. Każdemu należy dać szansę, nie można być hipokrytą, że skoro ja jako dwunastolatek jakieś Beastie Boys sobie słuchałem i inne takie rzeczy, no to dlaczego mielibyśmy się buntować przeciwko temu, że dzieciaki sięgają po hip-hop, czy to polski, czy też amerykański? Może z tą jednak różnicą, że dzisiejsze dwunastoletnie dzieciaki sięgają raczej po to, co jest po polsku. Oczywiście, teraz jest zasadnicza różnica, bo jest hip-hop po polsku. A czy potem sięgną po coś więcej, czy zdecydują się na jakieś poszukiwania i zajawkę na skalę światową, to już od nich zależy. Ja nie jestem jakoś bardzo za tym, żeby słuchać tylko rapu po polsku. To nie jest oczywiście nic złego, tylko że ja jestem jednak za tym, żeby mieć coś dla porównania. To, co się dzieje za oceanem, co się dzieje w Europie. Ciężko w końcu przyznać rację dzieciakowi, który tępo będzie powtarzał, że polski hip-hop jest najlepszy. Ujmując jakieś tam kryteria, może być dla niego najlepszy, ale...
...najgorzej, jak dzieciak zacznie kombinować, że jest jedyny...
Peja: Właśnie! Wracając jednak do wieku. Trudno – nie będziemy nikomu odbierać szansy poznania tej muzyki. Wiele razy spotykaliśmy się z opiniami, że, „to dzięki tobie miałem pierwszy kontakt z tą muzyką" i że sobie potem zaczęli słuchać innych polskich zespołów. I również zagranicznych. Na pewno jest nam miło, kiedy słyszymy takie głosy.

Spytałem o ten wiek, bo jest jeszcze coś. SLU porusza często ciężkie tematy, robiąc to w sposób dość bezkompromisowy. Ostre treści docierają czasami do ludzi młodych, choćby z samej tylko racji wieku mniej od Was wyrobionych. I tu pojawia się kwestia odpowiedzialności za słowa i... za słuchacza. Bo różni ludzie różne rzeczy różnie interpretują...
Peja: Różnie. Ale wiesz, mogą być jak najbardziej szczere intencje i chciałbym mieć w kawałku, dajmy na to, pozytywny przekaz, a i tak nawet ludzie dorośli zinterpretują to zupełnie inaczej. Nie zliczysz sposobów interpretacji. My na przykład z takimi już interpretacjami żeśmy się spotykali, że mi nie przyszłoby to do głowy, jako autorowi tekstu, że jest tam jakieś takie odniesienie! Czasami łapiesz się po roku na tym, że te słowa nie zostały użyte na zasadzie jakichś domysłów, tylko rzeczywiście, gdzieś podświadomie jakaś sytuacja skłoniła mnie do tego, żeby tak nazwać rzecz, a nie inaczej. Odpowiedzialność? Myślę, że krzywdy żadnej dzieciakom nie wyrządzam. Nie namawiam do rzeczy złych. Na pewno nie należy nas traktować z przymrużeniem oka, ale też mamy dystans do siebie, do tego, co robimy. Staram się na tyle werbalnie, ile potrafię, jakoś przetłumaczyć komuś w kawałku, o co mi chodzi. Czasami może się pojawić kontrowersja, że jesteśmy jacyś tacy... no, nie jesteśmy wygładzeni. Jesteśmy, można powiedzieć, chropowaci. (śmiech) W każdym razie nic nie jest robione na siłę, nie ma żadnej autokreacji. Opisuję rzeczy, które – przynajmniej przy tej ostatniej płycie – bezpośrednio dotyczyły mnie. Nie są to jakieś szokujące opisy, choć różni ludzie mogą różnie reagować... Niektórzy będą zbulwersowani, a dla niektórych to będzie chleb powszedni. Czasami tworzę pod wpływem emocji, a czasami pod wpływem przemyśleń. Krótko mówiąc, nikt po przesłuchaniu tej płyty nie wyjdzie na ulicę i nikogo nie zabije, albo nie zrujnuje sobie życia.

Peja, Twoje teksty na ostatniej płycie to rozliczenie. Rozliczenie z różnymi tematami. Lżejszymi również, ale przede wszystkim ciężkimi, życiowymi. Mnie na przykład mocno zaskoczyłeś historią o swoim domu rodzinnym, opowiedzianą bardzo mocnymi słowami...

Peja: Tą płytą chcę zamknąć pewien etap. I już więcej nie chcę wracać do tematów, jak było, że było biednie i tak dalej. Nie ma już sensu o tym opowiadać. Ja zawsze będę się utożsamiał z daną społecznością i będę ich godnie reprezentował. Będę opowiadał o trudach życia codziennego tych ludzi, ale chcę jednak, żeby te kawałki były na tyle świeże, że jeżeli słuchacz weźmie płytę, to będzie to Peja 2005, a nie Peja 1993, gdzie trzeba było wyjść na ulicę i kombinować, co zrobić, żeby mieć na śniadanie. Po prostu chciałem już wszystko powiedzieć na ten temat. Może doszedłem do wniosku, że teraz jestem w stanie z perspektywy czasu spojrzeć na niektóre rzeczy i ująć to w takie a nie inne ramy? Wyszło to tak, jak wyszło, a ja nie zamierzałem nikogo szokować... Wiem, że to jest dosyć odważne, co opowiedziałem w tej domowej historii. Z ojcem nie zawsze było tak źle, ale to, że same złe rzeczy pamiętam... Czasami czuję zażenowanie tym kawałkiem, miałem wahanki, zastanawiałem się, co ludzie pomyślą, co ja zrobiłem ze swojego ojca? Bo ojciec się nie obroni, bo o zmarłych nie powinno się mówić źle... Trudno, były chwile dobre, ale były też złe. Z czasów dzieciństwa, PRL-u, pamiętam takie właśnie chujowe historie – do 6 rano nie spałem, bo melanże jakieś do rana, poduszka na głowie, wkurwienie...

Wkurwienie pojawia się też na końcu kawałka „Reprezentuję biedę". Przez kilkadziesiąt sekund bluzgasz do mikrofonu...

Peja: To wyszło na fraku. Spontanicznie zacząłem mówić i... Ja chciałem to w ogóle skasować, bo nie świadczy to o mnie dobrze, o moim poziomie intelektualnym, ale jest na tyle autentyczne, że podjęliśmy decyzję, że to zostawiamy. Nawet mi jeden kolega powiedział, że jak to wytnę, to ze mną nie gada... Po prostu zacząłem pluć do tego mikrofonu, wylewać z siebie tę kurwicę, no i wyszło tak, a nie inaczej. Ja zwykle jestem bardziej wychillowany, ale czasami bywam elektryczny, pospinany

Właśnie, na płycie jest i „Peja elektryczny", i „Peja wyluzowany", jak choćby w kawałku „Robię lans". Ciężko Cię poznać w tym utworze...

Peja: Wiesz, dobrze wziąć się za taki temat. Tam jest opowiedziane o tym, jak mógłbym swój wizerunek kreować w porównaniu z innymi gwiazdami polskiego rapu. Jeżeli już się lansować, to z pełną, kurwa, premedytacją, a nie półśrodkami. Jak się patrzę na niektóre rzeczy, to wydaje mi się, że lansem wielu polskich raperów to się mogą zajarać dzieci ze wsi, a większość powinna być i jest po prostu zażenowana. Wiesz, tak naprawdę to przecież my też melanżujemy. I to melanżujemy grubo, przepierdalamy pieniądze z klasą, ale to nie jest nam potrzebne do tworzenia jakiegoś wizerunku. Oczywiście, jeżeli kawałek jest o dupach, to istnieje uzasadnienie, żeby zilustrować kawałek dupami. Ale generalnie nie zamierzamy sprzedawać naszych kawałków za pomocą cycków, dup, ozdobników. Z nami ten cały blichtr nie ma za bardzo nic wspólnego. Nigdy nie miał. Ja myślę, że trzeba być prawdziwym w każdej konwencji. Chlejemy wódę i bawimy się, każdy lubi zabawę, tylko że ja nie uderzam w ten styl, bo mi to nie jest do niczego potrzebne.

A jak reagujesz, kiedy widzisz takiego przylansowanego typa w polskim teledysku – śmiech, wkurzenie, czy w ogóle masz to w dupie?

Peja: Miałem już w pewnym momencie tak, że pomyślałem – kurwa, mamy swoje kasety video z imprez, też tak zrobimy. Tylko że potem się zastanowiłem – ale po co? Mamy te kasety, sami je sobie pooglądamy. Miałem zaproszenia do tajnych bataganów z fajnymi kurwami, koleżka chciał ruchać dziewczyny na stole, potem puściłoby się to do Internetu. Jaki problem? Tylko – po co!? Niby jakie życie, taki rap, ale melanż nie jest całym naszym życiem. Staramy się w naszej twórczości coś opowiedzieć, nie chcemy być monotematyczni. Może kiedyś pojawią się takie rzeczy na naszych płytach, wiesz, tematy klubowe. Ja mam łatwość pisania, tylko... że ja nie czuję się za dobrze w takiej stylistyce. Poza tym, jak ja słyszę te wszystkie „Ooo bejbe, co ja ci zrobię...". Kurwa, to są 100% jakieś kompleksy! A te laski to muszą, kurwa, płakać ze śmiechu. Nie, no to jest skandal, brakuje mi słów, brakuje mi po prostu słów... Ja mam sugestię – po prostu zamiast pierdolić o tym, to pierdolcie te dupy.

> Czasami tworzę pod wpływem emocji, a czasami pod wpływem przemyśleń. Krótko mówiąc, nikt po przesłuchaniu tej płyty nie wyjdzie na ulicę i nikogo nie zabije, albo nie zrujnuje sobie życia

OK, to już z grubsza mamy ten temat opracowany. Opowiedzcie coś o muzycznej stronie płyty.

Decks: Generalnie było tak, że ja cały czas siedziałem w domu i coś tam przy tej muzyce robiłem. Rysiek wpadał do mnie, wybierał sobie coś, albo mówił, że nie, że tego nie chce. I tak powoli ten materiał powstawał.

Peja: Mój muzyczny udział w tej płycie to jest jeden kawałek... Sam jestem w szoku, ale przyszedł taki czas, że trzeba było tak zrobić. Trzy kawałki wziąłem od Donia, jak ktoś się zapozna z płytą, to może stwierdzić, że one brzmią, jak... nie od Donia. Większość muzyki jest Decksa, są też Tabb, Magiera, DJ Zel.

Współpraca z Doniem to zaskoczenie, bo między Wami chyba się za dobrze nie układa...?

Peja: Ja nagrałem chyba nawet dziesięć wokali na tę płytę u Donia. To nawet słychać, bo są, kurwa, jakoś dziwnie poprzycinane te dopowiedzi – krzywo idą i to jest już zasługa pana Donia. Który zeszła potem, jak się dowiedział, że nie lubię ich nagrań i generalnie nie oświeciła mnie ich twórczość, to podziękował mi i oddał te wokale. Co dziwne, bitów mi nie odebrał...

Jeden cały kawałek na płycie poświęciłeś gościnnym występom, ale z kolei zbyt wielu gości na ten materiał nie zaprosiłeś.

Peja: Ski Skład był nasycony gośćmi, bo był Ostry, i WNB, i Fu, i DJ SPH, Doniu dał bit, Magiera był z jedną produkcją, pojawił się RDW z Analogii. Była też nagrywka z Hemp Gru, która jednak pojawiła się dopiero teraz, na nowym materiale. Uznałem, że jest to zbyt osobisty materiał, nie widziałem jakiejś takiej nici potrzebnej do współpracy, żeby komuś ją zaproponować. Jeżeli robisz kawałek o czymś konkretnie, jakiś taki na temat uniwersalny, to możesz dobrać praktycznie każdego zawodnika, bo słyszysz, że tu ci wejdzie fajnie jego wokal. Ja najczęściej zapraszam emcees, którymi się jaram, z którymi łączy mnie wzajemny szacunek. Pomyślałem jednak, że na razie trzeba zrobić przerwę, że na współpracę z innymi jeszcze przyjdzie czas. Tym bardziej, że nie chciałem, żeby była taka sytuacja, żeby ludzie mówili: „O, nagrali podwójny album, a połowę zrobili za nich inni ludzie".

Długo powstawały te teksty?

Peja: Parę kawałków było starszych, kilka pisałem już w pociągu, jak jeździłem do Magiery na końcowe miksy Ski Składu, kilka napisałem w domu, jeden napisałem na Krecie (pozdrawiam ekipę nad Morzem Śródziemnym). Ten album jakoś tak się składał długi czas. No, ale został w końcu dopięty. Dlatego też jest dwupłytowy. Można też było zrobić jedną płytę i wyrzucić parę kawałków, ale jeżeli teraz jest to 110 minut, a pojedyncza płyta byłaby 80-minutowa, to nie wyrzuciłbym aż tyle, żebym był ostatecznie zadowolony.

Nowa płyta i nowy wydawca... Sporo mówiło się o Waszym konflikcie z Arkiem Delisiem, szefem T1, Waszego poprzedniego wydawcy. Naprawdę było tak źle? W końcu w ramach jego wytwórni odnieśliście spory sukces.

Peja: Jasne, sukces komercyjny. Sukces taki, że na dobre zakorzeniliśmy się na scenie i jesteśmy znani i rozpoznawani, akceptowani, nieakceptowani, szanowani, nieszanowani... No, niestety, okazało się, że ktoś miał misterny plan, w który na początku nie za bardzo chciałem wierzyć... W pewnym momencie doszliśmy do wniosku, że nie czuje się prawdziwej współpracy, bo zarówno promocje, teledyski, wszystko to szło z naszych pieniędzy. A w pewnym momencie ktoś przestał płacić te pieniądze, a tu jakieś poważne dzienniki zaczęły się rozpisywać o naszych zarobkach.

Decks: Gdyby Deliś nam oddał pieniądze, to może by jakieś zarobki rzeczywiście były... (śmiech)

Peja: Tak... (śmiech) Widzisz, jeżeli ktoś wychodzi z założenia, że my zarabiamy grając koncerty, więc musi sięgnąć po nasze... Tylko leszcze zwykle tak robią i całe szczęście, że prawo w tych sprawach działa wstecz. Na pewno będziemy dochodzić swojego.

Wy w ogóle macie jakiś straszny niefart do wydawców, bo i problemy z Cameyem, i z Kozakiem, i z Delisiem...

Peja: Czy niefart? Nie mamy jakoś nasrane we łbie, żebyśmy chcieli nie wiadomo jakie warunki. Też nie jesteśmy chorobliwie ambitni, ale chcemy coś robić dobrze, działać na uczciwych układach. To jest po prostu chore, żebym ja się musiał tłumaczyć za takie rzeczy! Dlatego też napisałem na płycie, że chuj w mordę tym wszystkim, którzy żerują na rapie. Szołbiznes jest popierdoloną sprawą – mało tego, że piraci dopierdalają, to jeszcze z tego, co się ostanie, każdy chce się nawpierdalać... Związaliśmy się z T1, bo nie mieliśmy pieniędzy, żeby zrealizować Na Legalu?. Ktoś wyłożył, kurwa, tak śmieszne pieniądze, patrząc na to z perspektywy, no i zaproponowali nam wiele, ale... chcieli zabrać jeszcze więcej...

Po tych wszystkich przygodach z wydawcami, nie macie dość szołbiznesu?

Peja: My tak naprawdę zawsze byliśmy obok szołbiznesu. Uczciwie zarabiamy pieniądze z muzyki, czyli z grania koncertów i z nagrywania płyt, to są jedyne źródła dochodu, jakie mamy. Wykonujemy to z ręką na sercu, na tyle, ile dajemy radę. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, nie dorabiamy na boku, nie robimy niepotrzebnych rzeczy w mediach, nie próbujemy zarabiać na hip-hopie, na jego rozgałęzieniach – ciuchach, telefonii komórkowej itd. Choć z drugiej strony, nie dziwię się, że niektórzy raperzy zarabiają na ciuchach, bo po prostu chcą z czegoś żyć. Ale my żyjemy z muzyki.

Ciekawy jestem, jak teraz, z perspektywy własnych doświadczeń, rozumiecie hasło „komercja"?

Decks: „Masz pięć baniek, wystąp tu, masz dychę, wystąp tam, masz 15 baniek, zrób to, tamto..."

Peja: Wiesz, myśmy się też przyczynili w pewnym stopniu do skomercjalizowania hip-hopu, ale nie robimy rzeczy żenujących. Komercja to jest to całe Bravo, Naj, handel z nimi kawałkami, które są lekkie, łatwe i przyjemne. Płyta z rapem w Pani Domu... Ja od lat konsekwentnie odmawiam wywiadów do Bravo i Popcornu, choć w latach 90., zanim pojawił się u nas The Source, dostarczały mi te tytuły sporo informacji. Ludzie stracili wyobraźnię. Jest masa świetnych dzieciaków, które robią to z chęci, z pasji, z zajawki, a i tak nigdzie o nich nie usłyszysz i nie zobaczysz ich, bo widać tylko masowo lansowany chłam. Ja się przestraszyłem w pewnym momencie, że może nas też tak widać, że może my też jesteśmy tylko takim chłamem. I zacząłem naprawdę dbać o to, żeby nie skakać wyżej dupy, bo to nie jest naszym priorytetem. To wszystko polega na szczerości i autentyźmie. Zobacz, jak jest w Ameryce – rap jest mocno skomercjalizowany, ale kolesie wypierdalają nieźle, ludzie ich kochają. Tam wykonawcy cieszą się, że im nowe bańki na konto wpadną, ale oni cały czas robią swoje. Busta Rhymes nie będzie dla mnie komercyjnym gościem, czy na przykład Fat Joe, który miał naprawdę ciężko gdzieś na Bronksie, parał się różnymi rzeczami, a teraz zapierdala w futrze. Jego muzyka się dla mnie nie zmieniła, bo sobie ubrał futro. On cały czas napierdalał.

W tym numerze SLG kilka stron wcześniej jest spory materiał o Snoop Doggu...

Peja: Snoop to Snoop. On jest ikoną i zawdzięcza wszystko swojemu talentowi. No i w pewnym momencie żyłce do interesów, bo wchodząc w taki wielki świat biznesu na pewno musisz sobie poradzić. A jak masz miękkie serce, to musisz mieć twardą dupę, nie? Tam dopiero trwa wyścig, tam musisz mieć singiel, tam musisz rzeczywiście być wszędzie, musisz być na każdym levelu – na ulicy, w klubach, w showbiznesie, w galach nagród, kurwa, nie do pozazdroszczenia... Ale odbiegliśmy od tematu komercja.

Nie, chyba dalej mówimy o komercji, ale w innym wydaniu...

Peja: Bo widzisz, jeżeli Snoop robi klubowy kawałek, to on go robi ze smakiem i to jest majstersztyk taki, że Ty wiesz, że to jest prosto z ulicy. U nas klubowy kawałek jest oparty na samplach nie wiadomo jakich, byle jakich. Boże, ja wolę nawet nie myśleć, co się zdarzy 8 marca... (śmiech) No bo czy to jest dobry kierunek? To jest właśnie komercja, promowanie płyty od dupy strony – zróbmy tak: sześć o ulicy, trzy o ziomalach, cztery o policji, ale te trzy pierwsze zróbmy takie na klipy, żeby dzieciaki z gimnazjum się dobrze bawiły. O złamanym sercu... Włoch by powiedział „mamma mia", Niemiec by powiedział „szajse". Proszę cię, kurwa mać, to ja wolę posłuchać, jak Vienio rapuje, że tubi, jak jego dziewczyna śpi w jego t-shircie i ja wiem wtedy, o co chodzi.

Wiadomo, o co chodzi... Ostatnie słowo?

Peja: Żeby cały czas to wszystko szło do przodu i żeby mi słów nie zabrakło. Pozdrawiam Dagę i wszystkich naszych ludzi. Do zobaczenia na koncertach.

Decks: Chciałem powiedzieć, że ja tak mało mówię, bo go nie mogę przegadać... (śmiech) I to było moje ostatnie słowo. Aha, pozdrawiam moją dziewczynę, Anię.

nielegalna
akcja eselgie

Nielegalną Akcję SLG zdominowało dwóch producentów: rezydujący w Kanadzie Patr00 i pochodzący z Lubawy Puzzel. Poza tym, że ich ksywy zaczynają się od tej samej litery, obaj nagrali dobre, ważne, głośne dla śledzących underground albumy (konieczne do sprawdzenia, pozostawiające jednak w uszach leciutką nutkę rozczarowania) i obaj mają na mikrofonach zagranicznych gości (pierwszy Amerykanów, drugi Włochów), różni ich bardzo wiele. Pokrótce: Puzzel lepszy jest na rozpoczęcie dnia, Patr00 na jego koniec. Kawałki znajdziecie na naszej płycie, detale zaś poniżej.



„Producent dla mnie wcześniej nie znany, więc bardzo chętnie zapoznałem się z jego albumem. Jest ciekawie, dynamicznie, muzycznie i dzięki temu świeżo. Płyta osadzona w klimatach zróżnicowanych, Puzzel ma lekką rękę i tworzy ciekawe melodie. Również cieszy fakt, że wie jak robić bębny, co tylko podobija wartość płyty" – mówi o koledze po fachu Patr00. „Nie pamiętam, kiedy zaczęła się cała przygoda z muzyką, ale pamiętam, że niewinnie i przypadkowo" – śmieje się sam zainteresowany. „Trudno mi zdefiniować swój styl. Słucham bardzo różnej muzyki, przez co próbuję, kombinuję cały czas. Generalnie stawiam na wyraźne, mocne bębny... no i bas, najistotniejszy element. Lubię szybkie bity, dynamiczne. Inspiracje: The Alchemist, RJD2, jazdy DJ Shadowa, Vadima. Premier. Większość z gości, których zaprosiłem, znam osobiście... Miałem okazję usłyszeć na żywo, spodobało mi się to, co robią i w taki sposób znaleźli się na tej płycie. Ulubiony numer to „Nie to miejsce" z Jinksem, Jimsonem i DJ'em Bajo, chociaż nie wiem do końca. Płytę odbieram różnie, w niektórych numerach bym coś poprawił, zmienił, w niektórych bym coś wywalił... Rzadko jaram się własnymi produkcjami... Ludzie zareagowali dość przychylnie, więc chyba nie jest aż tak źle".

Ciężki orzech do zgryzienia z tym Puzzlem. Z jednej strony mam wrażenie, jakby poruszał się na granicy fałszu, jakby sample nie były zestrojone i nie harmonizowały. I jeszcze te piszczały... Nieco brudny, chaotyczny jest ten jego beatmaking. Z drugiej strony dzięki temu brzmienie jest dynamiczne, drapieżne, świeże i rozpoznawalne, składa się na jakiś styl, którego Puzzel po pierwszym przesłuchaniu wydaje się nie mieć. Niekonwencjonalne próbkowanie przynosi nieraz zaskakująco dobre skutki. Niestety nie każdy umie pod to rapować, czy śpiewać (nagranie Kaśki to masakra; Mona pojechała zwrotki dzikim, energicznym dobrym flow, ale refren już nie daje rady), część wykonawców nie wytrzymała próby czasu (rozpiętość czasowa 2002 – 2005 to dużo). Kąśliwość w stylu Pyka, Skarapa i PRZ-a zdążyła się na przykład przejeść, Eurytmia jest archaiczna, Kidd ma prościutki pod względem przekazu i techniki tekst, z którego wyróżnia się tylko wers „Ja tylko Timberlandy, oryginalne kurtki z armii jak Havoc / na trzeźwo jazdy jak z Las Vegas Parano". Wrocławski KBL ucieszy tych, którzy nie wyrośli jeszcze z gadania o rzyganiu na dywan i części garderoby. Tekstowo wyróżnia się Koligacja, ale by to dostrzec, potrzeba kilku przesłuchań. Najjaśniejsze punkty to Jinx z Jimsonem (świetna forma i własny styl pierwszego, drugi jak zwykle z klasą, choć wypadałoby nabrać naturalności przy przyspieszaniu. Poddaję pod dyskusję kontrowersyjny wers „rap się sprzedał / prawilny kaznodzieja z łapką Heyah / wpada do więzienia po przyjaciela, którego sprzedała hera"), Ania Sool i oczywiście szalone, mistrzowsko napisane i wykonane, raggowe Good Saykas. Album można kupić i ściągnąć poprzez www.311pro.com.

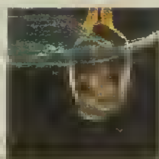


Puzzel o albumie Patr00: „Krótko mówiąc produkcja na poziomie bardzo dobrym, generalnie nie mam zastrzeżeń. Miękkie brzmienie, czuć ciepło i duszę w tym, co robi. Może bębny są momentami średnie, ale to bardziej od strony technicznej. Widać profesjonalne podejście do sprawy". Patr00 o sobie i materiale: „Producent, student. Zamieszkały w Montrealu. Współzałożyciel studia 3dB. Muzyką zajmuje się jakieś 4-5 lat. Odbieram to jako pasję. „Mój" hip-hop w zamierzeniu ma łączyć delikatność z brudem miasta. Nie interesuje mnie krystaliczne brzmienie ani przesłodzone klubowe dźwięki. Dynamiczna perkusja nadaje kontekst utworom, reszta nadaje barw. Coraz bardziej idę w stronę mniej oczywistych rozwiązań, jeśli chodzi o produkcję i odkrywam, że właśnie dynamika, a nie jakość, jest podstawą. Inspiracje to brzmienie lat 70., jazzowa drum jazda, producenci, płyty... Random Note LP to jakby przekrój motywów, z którymi mam do czynienia, kiedy zajmuje się muzyką. Spontaniczne utwory przeplatane są kawałkami bardziej przemyślanymi. Jest sampling, głównie starocie, dużo rzeczy grałem na żywo, na gitarach udzielali się również Jerzy i Fernando. Całość była cięta i na nowo aranżowana na padach. Jako że wszyscy zaproszeni raperzy są tu nieprzypadkowo, jakoś się znali i poruszają się w zbliżonych kręgach, wpływa to na spójność płyty. Z perspektywy tych kilku tygodni odbieram album pozytywnie i cieszę się, że już funkcjonuje w rzeczywistości jako pełna produkcja. Ulubione numery? To się zmienia. Aktualnie „Moment" z Pierrotem". Fakt, płyta jest spójna, w dużej części tak spójna, że aż monotonna, wymagająca cierpliwości. Trochę brudu w perkusjach, spokój i ukojenie w samplach i instrumentach, świetnie, ale gdzie akcja, gdzie eksperyment, którego po tym producencie można się było spodziewać, w erze kiedy wszystkim wypada samplować jazz? Czysto muzyczne etiudy są naprawdę ładne, kawał dobrej roboty. Ale może lepiej było zrobić płytkę z raperami i płytkę instrumentalną, bo tak mamy kompozycyjny problem. A może w dobie muzycznej gonitwy trzeba nauczyć się płynąć rytmem „Random Note"? Album nabiera tempa pod koniec za sprawą emocjonalnych flow Morala i Pierrota (oraz dzięki niespokojnej, pasjonującej siódmej „notce"). Ten pierwszy jest tak miękki, melodyjny, liryczny aż czasem chce się zapytać, co dzieli go od Łukasza z Jeden Osiem L. Ano lata szlifowania umiejętności, naturalność, szokująca wręcz płynność gadki. Ten drugi to wykładnik nowoczesnego, „oświeconego" hard core'u, jest tu nienawiść do policji, agresja, ale jakoś inaczej podana. Z klasą. Klimat jest fajny, ale nieco nuży i nie trzyma dynamiki narracji. Rymowanie Patr00 wypada przyzwoicie (gratuluję odwagi). Na deser zostawiłem sobie do opisania arcydziełko – „Lustro". Tet na poziomie, Esdwa notuje zaś zwrotkę życia, ale nawet to nie jest ważne. Nastrój. Znowu dzięki rapowi można mieć ciarki na plecach. Album można ściągnąć sobie ze strony www.randomnote.com.



Kaer z Holdcutem nagrali dobrą, nieglupią płytę z hardcore'owym zacięciem. Kaer ma dobry głos, poprawny flow, który powoduje, że przeważnie nie gubi się na beacie jak „w tabliczce mnożenia szczeniak", a przede wszystkim jest spostrzegawczy, wrażliwy, a zarazem potrafi być cięty. Jeżeli trzeba by go upchnąć w szufladkę, to stylistycznie plasuje się gdzieś pomiędzy Fenomenami a Sokołem. W beatach Holdcuta przeważa nostalgia, lnie zimne sample, ale nie stroni też od bardziej swobodnych klimatów, potrafi szukać nowych rozwiązań, ciekawych przejść. Najsbit daje jeden podkład, za to bardzo przebojowy. **„Pierwsza płyta"** nie brzmi bynajmniej jak debiut, „Świt" czy „Koszmar Polski" to pozycje obowiązkowe, całość stanowi zaś wartościowy album do sprawdzenia i kupienia poprzez www.cut-world.com.

Jakby tu najdelikatniej określić hip-hop dochodzący zazwyczaj z Małopolski: mało kreatywny. Tymczasem M. A. X. wydaje się nieskończenie kreatywnym typem. W tekstach może dziać się wszystko – może opowiedzieć wam bajkę z morałem, rymować o tym, jak jego własny anioł stróż prosił go o papierosa, zarzucić ludzkości to, że spłaszcza świat, mówić o dziecku wszechświata bawiącym się kostką Rubika. Nawet jeśli porównuje, to w sposób homerycki rozbudowując swoją metaforę, pogłębiając ją, dodając nowe detale. Jest w tym i banał, i poezja.



Równie intrygujące są produkcje, często „z dala od toksycznego rapu", pełne przestrzeni, oszałamiające bogactwem aranżacji a zaraz potem oszczędne. Tętni żywy bas, rytm zmienia się – od charakterystycznego dla hh, po zupełnie inny. Jest w tym przestrzeń, jest na to pomysł, wszystko wypada bardzo muzycznie, barwnie. Gdzie jest haczyk? W wokalu (to nie tylko rymowanie, ale i np. nucenie) M. A. X.-a. Chropliwy, zaraz potem jękliwy, cały czas ciężki, szeleszczący, toporny. Warto poznać, bo **„Wgryź się w słowo, wbij się w beat"** to ciekawe doświadczenie. Kontakt: emaiks@poczta.fm.

Króciutko i odmulająco o mixtape'ie łodzian z Uśpionego Miasta. Amerykańskie bity dobrane z pomysłem, wersy mniej lub bardziej błyskotliwe, flow przyzwoite i różne, do tego jedno z zabawniejszych intro, jakie słyszeliśmy. Miło się słucha, zwłaszcza tym, którzy lubią Buhha czy mixtape'y Rebusa. Zassiecie z http://www.toya.net.pl/~hutiec_glowno/download.html.

Na deser **„Jesz ile chcesz EP"** Junk Food Records. Mc Donald's i Hot Dogg robią coś w stylu kulinarnej Osady Gnoi. Poczucie humoru nieraz jest ryzykowne, ale warto posłuchać okrutnego zbeszczeszczenia Noona i Twistera w „Po jedzeniu/Wizja", ułożonej z cutów opowiastki w „Co to za miejsce", bezlitośnie szyderczych „Antyglobalnych psów" czy rymowanych z poziomu gęstego miksu lodów i mleka „Jestem szejkiem". Kontakt: jeszilechcesz@o2.pl.

DOBRZE WIESZ PO CO TO ROBISZ



BO CHCE

**DOBRZE WIEMY CO JEST ZŁE, A CO DOBRE.
NIE ZALECAMY NICZEGO I NIE NAMAWIAMY
DO JAKICHKOLWIEK ZACHOWAŃ.
KAŻDY WIE JAKI MA CEL I JAKIMI ŚRODKAMI
ZMIERZA DO JEGO REALIZACJI.**

RÓB CO CHCESZ, ALE TYLKO WTEDY GDY WIESZ PO CO TO ROBISZ.





moja dzielnica

trzeci wymiar

wałbrzych

Wałbrzych przywitał nas sporą warstwą śniegu przykrywającego wszystko i potężnymi soplami zwisającymi z budynków. „Za każdym razem, kiedy tu wracam przypominam sobie, że jednak mieszkam w górach" – śmieje się Nullo. Przechodzimy przez długo ciągnącą się Wrocławską, żeby zacząć kolejną „Moją Dzielnicę". Tym razem z Trzecim Wymiarem

tekst Flint (CS)
zdjęcia Cess (CS)

Stajemy przed szarym trzypiętrowym gmachem. Spore okna, imponujące gzymsy, lodowy naciek ciągnie się od dachu do ziemi. „To mój rodzinny dom. Prywatna kamienica. Nie jest za fajnie, bo właściciele narzucają sami czynsz. Wszyscy obok mieszkają w jednej spółdzielni, mogą sobie wykupić mieszkanie na własność, a my borykamy się z problemem takim, że w każdej chwili możemy polecieć. Wiadomo, że ja jestem coraz starszy i mogę się stąd wybić, ale rodzice... Obok w bramie była straszna melina, z którą sąsiadowałem przez ścianę. dobrze słyszałem jak wielokrotnie bito tam mojego kolegę" – stąd wzięła się właśnie zwrotka w „Zapomnij o tym", ale teledysk kręcono już na Wrocławskim „trójkącie". Tymczasem „ta dzielnica to stara Piaskowa Góra, poniemieckie kamienice. Nowa Piaskowa Góra to blokowiska, zresztą zobaczysz, kiedy pójdziemy do Szada".

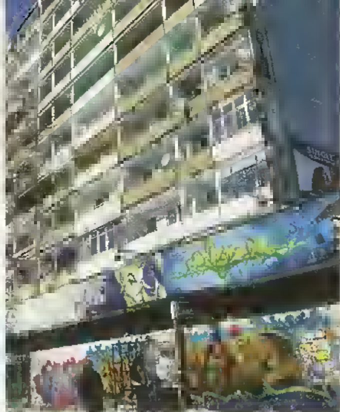
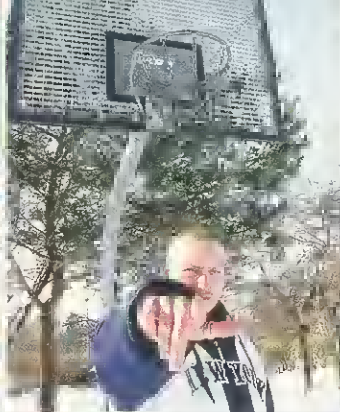
„Wałbrzych jest małym, biednym miastem, w którym ciężko żyć. Miastem upadłych kopalni. Kupa ludzi żyje tutaj z wydobywania węgla, z handlu węglem. Mamy tu znane na całą Polskę zjawisko „biedaszybów". Bezrobotni górnicy zaczęli kopać w ziemi dziury jak krety i wydobywać węgiel gołymi rękami. Jest tego mnóstwo naokoło miasta, mamy dzielnice wyglądające jak Mars" powie później Szad. Nullo – „Wokół kwitł tutaj przemysł – wiadomo Wałbrzych to kopalnie, nie funkcjonujące już huty. Na tych pustych przystankach stały kiedyś tłumy ludzi czekających na autobus po pracy...

Skręcamy w Grota-Roweckiego. Dobrze widać, że gdyby wpompować tu trochę pieniędzy, odnowić pomysłowo projektowane, ładnie zdobione kamienice, mogłoby tu być pięknie. Przed oczami wyrasta nam solidny, ceglany budynek. To szkoła, do której Null przeniósł się po czterech klasach. Tak tu jest, w ramach postępów w edukacji przenosisz się do większego budynku. Okolica była miejscem spotkań. „Staliśmy tu w dwudziestu chłopa... Przez to, że nie ma tu co robić, wielu z nich jest w więzieniach. Teraz przychodzi młody narybek". Słyszę, że teraz i tak jest spokojnie, bo ci, których najbardziej nosiło, siedzą, bądź znaleźli fuchy w Czechach. Obok na kamienicy pokraczne litery namazane żółtym sprayem. „To pierwsze graffiti, robił je mój kolega". Historia gościa jest dość wstrząsająca i nasz przewodnik chce ją opisać w jednym z kawałków. Był jednym z czterech, którzy regularnie spotykali się, by sobie popić. Jeden z nich po którymś melanżu nie wytrzymał presji życia i się powiesił. Kolejny chciał rzucić picie, znalazł robotę. Kazali mu ściągać ropę ze Stara, a jak wiadomo robi się to za pomocą ust i wężyka. Zadławił się, spalił sobie płuca i umarł w szpitalu. Trzeci wpadł pod samochód. Wszystko to w regularnym odstępie czasu, mniej więcej roku. „Jak w Oszukać Przeznaczenie" mówi raper. To nie koniec ciekawych historii. „Na tej ulicy mieszka jeszcze jeden koleś, który jest mulatem. Miał ciężko, bo lata 90. to były czasy skinów, a u nas w Wałbrzychu było ich naprawdę dużo. Szanuję go, chciałem nawet z nim rapować, ale nie miał samozaparcia, szkoda, bo czarny miałby na pewno coś do powiedzenia".

Włazimy w jedną z bram, by dojść do strzaskanej drewnianej tablicy wciśniętej w podwórka kamienic. Null opowiada o nudzie i stagnacji wśród młodych, dla których kosz może być jakąś formą ucieczki. Warunki nie są najlepsze, a zaplecze trenerskie fatalne. Tutaj pijany trener rzuca piłkę do gry i bluzga zawodników bez powodu, typ, który był kierowcą zaczyna prowadzić drużynę, a chłopak rzucający masę punktów siedzi przez cały mecz na ławce, bo ma „złą minę do gry". Nic dziwnego, że lepiej wystawić głośniki przez okno i pograć sobie bez ograniczeń na tyle kamienicy, w której się mieszka. Tak właśnie było, choć trudno w to uwierzyć patrząc na odarte z tynku bryły, osypane śniegiem kontenery na śmieci, garaże. „Koszykarskie" zdjęcie robimy jednak dopiero przy tablicy w parku. Obok było więzienie, po którym został mur, a za nim wybudowały się normalne, mieszkalne domy. Ludzie lubią się odgradzać. Obok wciąż jest komisariat, ale wiadomo – pod latarnią najciemniej.

Wcześniej jednak wracamy na Wrocławską zobaczyć miejsce, w którym był chętnie odwiedzany klub (obiekt za fragmentem zielonego, przerdzewiałego ogrodzenia). 1300 osób na K44, 600 na Wzgórzu, 600 na Ziperze. Sporo, nie odstraszały nawet nazwy takie jak „Piotruś Pan", czy „Błyskawica" (tak też nazywała się hurtownia alkoholi go sponsorująca). Przy czym kluby w tym mieście mają tendencję do zamykania się w dziwnych, niewyjaśnionych okolicznościach. Zupełnie jakby były pralniami brudnych pieniędzy.

Dochodzimy do Nowej Piaskowej Góry, pośród ciężkich betonowych klocków tętni życie, tutaj przeniosło się prawdziwe centrum miasta. Jeden z wieżowców udekorowany jest u dołu graffiti. To właśnie skateshop Clinica, w którym pracuje Szad. Firma zdaje sobie sprawę, że położony w biednym regionie sklep nie przyniesie szczególnych zysków. Mimo tego, że Szad namówił ją na specjalne, niższe niż we Wrocławiu ceny. Mc nie narzeka, żałuje tyl-






ko, że trudno mu w takich warunkach zachować anonimowość. Nic to, dostajemy lokalne nielegale, dyskutujemy o przyszłości 3W. Nie pomaga jej niestety „rozbicie dzielnicowe" (stąd też brak w reportażu Porka, który jest zajęty swoimi sprawami we Wrocławiu i dj'a SPH). Udało nam się jeszcze wyciągnąć od chłopaków, że nowy materiał będzie inny i usłyszymy na nim tylko solidne, esencjonalne brzmienie: White House, Kut-O, Creon i SPH.

Na koniec mamy plan, żeby pojechać i zrobić miastu fotkę z góry, ale da się podjechać tylko od takiej strony, od której widać potężne, sporadycznie ponakrapiane barwami bloki kojarzące się ze slumsami Ameryki Południowej. Ale my wolelibyśmy, żebyście kojarzyli Wałbrzych jako miasto z charakterem. 

eis

kochaj i rób co chcesz



„Ludzie zawsze się mnie pytali: „Co chcesz robić w życiu, jak będziesz dorosły". Odpowiadam: nie chcę nic robić, jak będę dorosły (śmiech). Dla mojej mamy było to szokujące, dopóki nie zrozumiała, że po prostu chcę być bogaty. Moim planem jest profesja rentiera w wieku 28 lat. Więc to, co muszę robić, jest przez to w pewien sposób określone. Mam sporo pomysłów na interesy, niektóre z nich bardzo kontrowersyjne. Trzeba chyba myśleć nieszablonowo, żeby bardzo szybko zrobić bardzo dużo pieniędzy. W tę stronę kombinuję, sprawy typu wiesz, oscylatory walutowe, arbitraż towarzyski (śmiech). W sumie ustaliliśmy z kumplem, że najważniejsze, żeby przytulać pieniądze pasywnie, w sensie – minimalizować działanie. Ideałem jest etap życiowy w którym osiągasz wzór: sukces = (kapitał x bogaci znajomi) / (wiedza x praca), czyli że kiedy nic nie robisz i twoja wiedza jest bliska zeru, dochód rośnie do nieskończoności" – śmieje się Eis, ex-członek Elemera, autor do dziś dyskutowanej, prekursorskiej płyty „Gdzie jest Eis?". Oto jego plany – wszystkie, oprócz muzycznych

tekst Flint (CS)
foto Cess (CS)

Edukacja

Cały czas wisi nade mną perspektywa skończenia szkoły (Eis studiuje zarządzanie na UW – przyp red.). Szkoła jest ok, jest tylko jeden problem – uważam, że edukacja nie jest mi potrzebna do tego, co chcę mieć i robić. Myślałem o porzuceniu szkoły, szczerze – myślę o tym jakoś trzy razy na sesję; dobry temat wypracowania: motyw porzucenia w życiu studenta UW (śmiech). Poważnie jestem tam tylko ze względu na moje dzieci, bo nie wytłumaczę im, że muszą skończyć szkołę, jak sam porzucę. W sumie paradoks współczesnego świata – myślenie o dzieciach nad książką od statystyki (śmiech). Jak tylko mam tydzień, że porzucam, to mój kumpel mi mówi zawsze: myśl o dzieciach, myśl o dzieciach. Na razie działa, ale i tak moje dzieciaki będą najgorszymi bananowcami i nic nie będą robić, ale trudno. Nigdy nie będę chodził do pracy, tego jestem pewien. Nie pasuje mi rola pracownika, jakoś nie wyobrażam sobie, żebym się w niej odnalazł. Nie zbieram wpisów do CV typu certyfikaty językowe, praktyki, generalnie bycie działaczem. działanie w aktywie jakimś (śmiech), to nie ja – to jest opcja dla szalonych społeczniaków, działaczy szkolnych w koszulach z postawionym kołnierzem, ja jestem w opcji: „pieprzyć takie życie, jakie oni wybrali" (śmiech). Nie zbieram laurek i wpisów do CV, nie kolekcjonuję, odpuściłem to, trudno – wolę być bogaty, przeżyję to jakoś (śmiech), przyjmę na siebie ten ciężar (śmiech). Ktoś musi w końcu zatrudnić tych ambitnych studentów SGH. Tak poważnie to każdy ma swoją rolę, coś, do czego został stworzony, na przykład mój najlepszy ziom, notabene „Piotrek, który jakby umiał nawijać, miałby na tej płycie niejedną zwrotkę", ma misję życiową, żeby być dyrektorem banku, radcą prawnym albo prezydentem – jeszcze nie wie dokładnie, w każdym razie kimś wielkim (śmiech). No i idzie mu całkiem spoko – ma 21 lat, z 6 lat doświadczenia zawodowego, CV grubości najdłuższej książki, jaką przeczytałem w życiu (śmiech), studiuje na 3 kierunkach i generalnie walczy – opcja „w walce o lepsze jutro". Z takim gościem już nie wygram, nie przegonię go, nie ma szans, ale nawet nie ma po co – wystarczy. że jest moim ziomem, jak będzie politykiem, będzie śmiesznie – śmiejemy się, że za 15 lat, jak będziemy siedzieli przed komisją śledczą – on jako premier czy prezydent, a ja jako Jan Kulczyk junior na konfrontacji, to będzie tylko: „ja naprawdę pierwszy raz w życiu widzę tego pana" (śmiech).

Uczucia

Nie jestem pewien, czy chcę się uzewnętrzniać na łamach pisma deskorolkowego (śmiech), co ci mogę powiedzieć? Szczęściara – znalazła mnie (śmiech). Nie no, poważnie, zajebista dziewczyna, jeszcze fajniejsza na żywo niż medialnie – nawet w telefonie mam ją zapisaną „Kasia Najlepsza". Tylko śmieszne, że wiesz w jakimś „Fakcie" zrobili z tego nagle wielką miłość, że Kasia Bujakiewicz wieszcie się zakochała, dla mnie romans, zajebisty romans – to jest najlepsze określenie tego, co między nami jest. Teraz śmiesznie, bo wszyscy do mnie dzwonią, jacyś ludzie nawet co ich ledwo pamiętam i: „Siemasz ziom, co tam? Ty wbij się do nas na melanżyk, coś tam". Ja mówię spoko spoko, a oni „ty ziom, a wpadniesz z panną?" (śmiech), no komedia, wzrosły moje notowania towarzyskie (śmiech). Można powiedzieć: Eis na imprezie niesie ze sobą pewną wartość dodaną (śmiech). Ej chłopaki spierdalać – do nikogo nie biorę Kaśki na melanż, nie poznam was z nią, nie oddam, spierdalać (śmiech)! Reszta mi pasuje: bankiety, bigos na bankietach, dziewczyna w telewizji, telenowele, Super Express, spoko, spoko. Ale dystans pełen – to podstawa. Jak masz dziewczynę o 10 lat starszą, zaczynasz poważniej myśleć o niektórych sprawach, nie da się ukryć. Z młodocianych miłostek już wyrosłem, ale bardzo miło wspominam. Zdecydowanie nie planuję dzieci. Żeby mieć rodzinę, muszę ustawić się tak, żeby nie myśleć o prozaicznych rzeczach takich jak przykładowo: jaki dom kupić, czy jakiego Maybacha (śmiech) – Maybach jest dobry tylko w opcji Allegro – w opcji „Kup teraz" (śmiech). Facet musi przede wszystkim zapewnić dziewczynie eleganckie życie, o tym teraz myślę. Generalnie cały czas w pogoni za lepszej jakości życiem.

Knajpy, Fury, Ciuchy

Istnieje dla mnie jedna knajpa w Warszawie – „Jeff's" w Galerii Mokotów, no i może jeszcze z klasyków to Bar „U Sąsiada" na Marymoncie – przenajlepsze zapiekanki z warzywami, w ogóle wszystkie bary taksiarskie są spoko – zdecydowanie sympatyzuję. Z samochodów to krótko: CL Klasa jest nawet nie to, że najlepszym samochodem, jest jedynym samochodem, jak będę miał już minimum socjalne w postaci paru milionów euro, czyli jakoś za półtora roku (śmiech), to po prostu kupię sobie takie trzy, spoko bo nie będę musiał rano wybierać czym jechać, tylko kolor. Jeszcze może Ferrari Modena, też jest w miarę prestiżowe, ale ostatnio przyjechał mój wujek z Ameryki i powiedział, że Ferrari to syf i umiera po 50 tys. kilometrów. Czyli w porządku, ale kiedy chcesz sobie raz w tygodniu pojechać na golfa. Z Lamborghini podobnie, tylko że gorzej, bo się przegrzewa i nawet na golfa nie dojedziesz. Czyli zobacz: właściciele Ferrari i Lamborghini też mają problemy, rwą włosy z głowy i siwieją (śmiech). Życie jest ciężkie nawet po ósmym milionie. Jeżeli chodzi o ubrania, mam dwa ulubione style ubierania się. Moda, którą kocham, pewnie po części na skutek powiązań rodzinnych i towarzyskich, to dresiarstwo bazarowe z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kresz w fiolecie i błękicie z elementami różowymi, do tego buty żarówy, złota biżuteria, solarium. Perwersyjnie się tym jaram, trochę nostalgicznie, wierzę, że kresz wróci, zresztą nigdy naprawdę nie zniknął, ale wierzę, że wróci tak wiesz – na salony (śmiech). Obiecuję, że będę o to walczył (śmiech), tam na salonach będę reprezentował. W ogóle mój pomysł na życie jest taki, że do pierwszego miliona w dresie, a potem w dresie (śmiech). Drugi styl, bardziej prestiżowy, ale też się jaram przepotwornie to opcja na „Miami Vice" i Alejandro Sosa ze „Scarface". Też z solarium w pakiecie startowym (śmiech), jasne kolory, spodnie piaskowe, buty laczki – cichobiegi i koszule hawajskie, model „Żar tropików". Może być też kurtka dresowa, bo w sumie kurtka dresowa nigdy nie szkodzi, ale od przykładowo Ermenegildo Zegny za 8000$ lub więcej (śmiech), generalnie nie mniej. Jeszcze skoro w takie konsumpcyjne tematy uderzamy, moje ulubione, to w minimum socjalnym widzę jeszcze dobrą, prestiżową siłownię. Wpadliśmy ostatnio do InterContinentala na 43 piętro – tam jest spoko siłka, karnet w opcji Palladium na rok – 20000 zł. Myślę, że do zrobienia, a i jeszcze jakieś kąpiele błotne + sauna z 3 razy dziennie (śmiech), tutaj specjalne pozdrowienia dla Ozona (Jacek i Łukasz – Odnowa Biologiczna Crew).

Filmy

Najlepszy film na świecie to będzie „Hellraiser 6". Oglądałem go 17 razy – wygrywa. Co dalej... „Gliniarz z Beverly Hills 1" – scena z portierem w restauracji, najlepsza. Oczywiście „American Psycho", najlepszy lifestyle'owy film na świecie z opcji „ty chcesz to mieć, ja muszę to mieć", dodatkowo soundtrack w klimacie, który lubię. Z tych, które chcę obejrzeć, to może „Rh +" – ktoś w końcu musi chcieć to obejrzeć (śmiech). Oglądam poza tym z raz w tygodniu „Kochaj i rób co chcesz" choćby dla cytatów z Kasi: „Everybody let's go rączki do góry", „Kochaj mnie i całuj mnie, nie przestawaj o nie". A i właśnie a propos ubrań, to Zamachowski w tym filmie wygląda dokładnie tak, jak ja będę wyglądać za pięć lat, jest moim ideałem, wzorcem moralnym (śmiech) – 100% Jaświly reprezent, taki będę – obiecuję, nuworysz to jest to, co kocham – w opcji: hiphopowiec – „nie jestem dawno" (śmiech).

Zdjęcie wykonane dzięki uprzejmości Tonic Caffe (Warszawa, ul. Marszałkowska 77/79)

KORPONARACJA
prezentuje

WBW 2005

Turniej Wolnego Mikrofonu



FREESTYLE GRAND PRIX

16 Kwietnia - WARSZAWA | 23 Kwietnia - LUBLIN
7 Maja - POZNAŃ | 21 Maja - KATOWICE

WIELKA BITWA WARSZAWSKA

4 Czerwca - WARSZAWA

www.wbw.pl

HIRO cgm.pl gazeta studencka  o2.pl radiostacja Ślizg

beatnuts
desperados

Na początku były remiksy dla Cypress Hill, Naughty By Nature, Fat Joe i wielu innych. Na tyle dobre, żeby stworzyć szczelinę, w którą latynoski klin wbił się zostawiając wyrwę wielkości kanionu Kolorado. Lester Fernandez i Jerry Tineo zrywają z nudnym obliczem uniesień w kraju pasków i gwiazdek, pokazując, że w pieprzeniu, ćpaniu i piciu może być końska dawka błyskotliwości i chorego poczucia humoru pasującego do amorów, jak sos sojowy do lodów bananowych. „Perkusje są wystarczająco funky, by inspirować pokolenia" pisał ktoś i miał rację. Sample nieraz kojarzą się z wizją lunaparku po wiadrze środków halucynogennych. Spotykając się z JuJu oczekiwaliśmy kogoś, kogo dałoby się określić słowem zaczerpniętym z tytułów płyt zespołu. Muzycznego masakratora, demona, szalonego inicjatora. Trafiliśmy na spokojnego gościa, który lepiej czuł się rozmawiając o dzieciach, niż o melanżach, rozgoryczonego nieco obecnym stanem hh

rozmawiali Cess i Flintstone (CS)

Wy, może jeszcze Redman, czy Kool Keith zaczęliście ten pokręcony, chory styl pełen wyobraźni a zarazem dosadny, bogaty w bezczelne punchline'y. Teraz wszyscy chcą być szaleni. Nie wkurza was to?

(JuJu odpowiada z nonszalancką, zblazowaną miną) Cokolwiek... Mnie to nie obchodzi. Nawet na to nie patrzę.

Jest pewna zabawna rzecz w waszej historii – na początku kariery pomagali wam Jungle Brothers – zespół afrocentryczny, o dość poważnym podejściu do własnej muzyki.

W tamtych czasach byłem zwykłym DJ'em. Szukałem sobie różnych breaków, żeby dorwać ich podwójne egzemplarze i ciąć je w tę i nazad. Spotkałem wtedy np. Afrika Bambaatę. Byłem fanem muzyki takiej, jaką w kawałku „Jimbrowsky" prezentowali Jungle Brothers. Jednym z nielicznych fanów. Wszyscy inni samplowali Jamesa Browna, Sly & The Family Stone i inne funkowe gówna, więc coś takiego (chodzi o to, że JB to jedni z pionierów wykorzystywania jazzujących sampli – przyp. red) kompletnie zwaliło mnie z nóg. Kiedy ich poznałem, sięgałem już po podobnie brzmiące, więc mieliśmy ze sobą coś wspólnego. Oni bardzo pomogli mi z produkcją, zwłaszcza przy utworze z Monie Love.

A jeśli już wspomniałeś Monie Love, to porozmawiajmy teraz o poważniejszej stronie Beatnuts. Macie na swoim koncie utwory nie tylko z Monie, ale i z Commonem, czy Dead Prez.

W końcu w życiu też różnie bywa. Napotykasz na różne rzeczy. Czasem jest smutno, czasem zabawnie, czasem wszystko jest zwariowane, są różne nastroje. A nasza muzyka to w końcu refleksje nad tym, co robimy w życiu.

Zapoczątkowaliście bardzo specyficzne poczucie humoru, pewnie macie wielu przeciwników...

(śmiech) Tak, to prawda! Mamy chyba najbardziej chore i zboczone poczucie humoru. Wydaje mi się, że czasem ludzie nie rozumieją, o co chodzi. Czasem nawet ja tego nie rozumiem.



Macie kontakt z Kool Ass Fasionem znanym także jako Al. Tariq (były członek zespołu – przyp. red)?

Tak. Próbowaliśmy się razem zebrać przy okazji nagrywania albumu „The Originators", ale niestety stron negatywnych było więcej niż pozytywnych i to nie wypaliło, takie już jest życie.

„Let's take it back to the concrete streets" jak powiedzieli znani wam (choćby z featuringu JuJu na płycie „Power in Numbers" – przyp. red) raperzy z Jurassic 5, chcąc przywrócić klimat najlepszych dla hip-hopu lat 80. Za czym z tamtych czasów tęsknisz najbardziej?

Najbardziej tęsknię za byciem w tamtym wieku (śmiech), byciem młodym. Jak się ma mało lat wszystko jest łatwiejsze, muzyka jest lepsza, łatwiej pchać sprawy do przodu.

A myślisz, że jesteś tak zajarany robieniem hip-hopu, jak w tamtym czasie?

O taaaak! Zwłaszcza, że teraz muzyka, którą robię jest znacznie lepsza. Tekstowo może jesteśmy trochę mniej szaleni niż kiedyś, ale muzycznie jest lepiej. Brzmienie jest dojrzalsze, ja więcej potrafię.

Czy zgodzisz się z opinią, że wasza najnowsza płyta „Milk Me" jest najbardziej oldschoolowa ze wszystkich, które nagraliście?

Oldschoolowa? Hmm, dobrze to słyszeć, jestem tym zaskoczony! Ciekawe jak doszliście do takiego wniosku.

Brzmienie, a przede wszystkim goście.

Goście... Tak, rzeczywiście. Na przykład Andre the Giant (z nowojorskiego kolektywu DITC – przyp. red), czy no... jak ten czarnuch się nazywa. Zawsze kiedy potrzeba nie mogę sobie przypomnieć... (Najprawdopodobniej chodzi o Prince Whipper Whipa z Fantastic Five, przeszedł do historii choćby dzięki bitwie z Cold Crushem w filmie „Wild Style" – przyp. red). Może rytmika też nawiązuje nieco do starej szkoły.

A jakbyś ją zarekomendował polskim słuchaczom?

Jest po prostu kolejną częścią naszego katalogu muzycznego, są tam fajne brzmienia. Osobiście najbardziej lubię numer z Milano.

Kariera zespołu rozpoczęła się dzięki talentom produkcyjnym. W waszych podkładach słychać wiele niesa-



mowitych sampli: dźwięki rodem z cyrku, flet, dudy, nawet akordeon. Opowiedz o tym, skąd bierzecie winyle.
Staramy się kupować tyle płyt, ile tylko jesteśmy w stanie. Wybieramy ich strasznie dużo, a potem przesłuchujemy...
A podczas pobytu w Warszawie kupiliście coś sobie?
Tak. Właśnie wróciliśmy z jednego sklepu muzycznego (śmiech). Jak on się nazywa? Muzant?
Tak, Muzant.
Znalazłem tam kilka interesujących winyli. Zawsze coś wyszperam.
Co myślisz o używaniu klawiszy, albo żywych instrumentów w waszych podkładach?
Ja jestem jak najbardziej za czymś takim. Zazwyczaj sprawia to, że wszystko brzmi lepiej. Czasem gram linię basu lub melodię sampla równocześnie z nim, żeby wszystko brzmiało jeszcze lepiej. Cokolwiek mogę zrobić, żeby muzyka była lepsza, zrobię to.
Jak ci się w takim razie podoba styl promowany ostatnio przez Kanye Westa?
To jest dobre dla hip-hopu. Kanye używa sampli. Sprawił, że znów stało się to popularne, przywrócił hip-hopowi sampling – tę starą, właściwą mu receptę na bit. To jest świetne. A wszystkie próbki puszcza na 45 obrotach, i stąd te śpiewy „tri li liiii". Przyspieszone, ale wciąż świeże.
Kanye sięga w sumie po bardzo klasyczne sample...
Tak, to jest fajne...
Większość producentów raczej grzebie w winylach, żeby wyszukać coś...
... mniej znanego.
Właśnie. Niektórzy niestety nie grzebią w ogóle. Na przykład producenci J. Lo.
Nie chcę o tym gadać! Słuchajcie, ja to odbieram inaczej, a Psycho Les to odbiera inaczej, bo ostatecznie to on wyprodukował ten numer. Ja patrzę na tę całą sprawę tak, że biorę z niej to, co negatywne i zamieniam na pozytywne. Ostatecznie ona jest artystką popową, więc takie gówno mnie nie zaskakuje. W sumie można się po niej spodziewać, że będzie robić takie rzeczy. Byłoby gorzej, gdyby to zrobili na przykład Alkaholics czy Fabolous, albo Cassidy, wtedy miałbym powody, żeby się wściekać, ale Jennifer Lopez... (pogardliwe spojrzenie). Powiedziałem już kilka słów o tym w jednym z naszych numerów „Confused rappers" i chyba parę osób zaraziłem myśleniem w ten sposób. Najmądrzejszą rzeczą, jaką mogliśmy zrobić, było pójść i pogadać z nią, bo jeśli jej się podobało, możemy jej zrobić więcej takich numerów i ubić wielki interes (śmiech).
Kiedy rozmawialiśmy z Atu Ra jakiś czas temu, powiedział, że powinniście się cieszyć, że chcą was samplować, że to komplement, może nawet rodzaj hołdu.
O laaaak, jaaasne (śmiech).
Mamy nadzieję, że widziałeś teledysk Smut Peddlers „Bottom Feeders", chciałbyś wciągać kokainę prosto z kobiecego tona?
(JuJu odpowiada szybko i zdecydowanie) Nieee, nie wydaje mi się (śmiech).
Słyszeliśmy, że latynoskie dziewczęta są najpiękniejsze na świecie, czy to prawda?
Muszę się z tym zgodzić. Są najbardziej zmysłowe. Owszem, jest wiele pięknych kobiet na całym świecie, ale latynoski są bardzo gorące, mają w sobie to coś.
Tu też mamy niezłe dziewczyny, no i słynną polską wódkę. Próbowałeś jej kiedyś?
Nieee, nie lubię wódki. Piję szkocką jestem „whiskey-man".
Wystąpiłeś gościnnie na najnowszym albumie Masta Ace'a. „Long hot summer" to płyta raczej gorzka, a Ace wydaje się rozczarowany obecną sytuacją hip-hopu. Jak ty postrzegasz to, co się teraz dzieje?
Raczej się z nim zgadzam. Wiecie, teraz programy radiowe się zmieniają, polityka wydawców, czy całego przemysłu muzycznego jest inna. Kiedyś DJ mógł puścić w radio utwór, który mu się podobał, a teraz jakiś cholerny DJ musi grać cholerne 10 utworów co 25 minut. Są rozgłośnie zwalczające się nawzajem, jak Hot 97 i 105.1. Teraz Hot 97 nie zagra żadnego utworu Tony Touch'a, bo on jest DJ'em w 105. Czemu, kurwa, ja muszę z tego powodu cierpieć? Hej, to nie jest hip-hop, a przecież Hot 97 nazywa siebie domem hip-hopu i oni nie zamierzają grać jakiegoś kawałka, bo koleś nie pracuje u nich? O co im kurwa chodzi? Takie myślenie i takie zachowania rozpieprzają muzykę i sposób jej postrzegania przez słuchaczy. Kiedy dzieciaki słyszą ten sam numer co 25 minut, nawet nie daje się im szansy, by poznać coś nowego, jakoś się rozwinąć. Byliśmy na koncercie w Kopenhadze, większość publiczności to były dzieciaki, najwyżej 16-letnie, i one znały teksty z albumu „Intoxicated Demons", jak duże mogły być te dzieciaki, kiedy wyszedł tamten album? 2-letnie? To szalone, kiedy o tym myślę. To mnie bardzo cieszy, ponieważ wiem, że one musiały pójść i nauczyć się na pamięć tych utworów, musiały sięgać po nasze nagrania, odkrywać całą kulturę i uczyć się historii. Smuci mnie to, że w Stanach tak nie jest. Dzieciaki w Stanach są raczej w opcji „A co to jest Beatnuts?!", a przecież tam jest nasz dom. Dopiero musimy jechać do takiej Kopenhagi, żeby 16-latki znały teksty wszystkich naszych numerów. To jest ta wielka różnica między Europą i Stanami. U nas ludzie mają spieprzone priorytety, mam na myśli Nowy Jork, bo nawet w takim LA jest inaczej, tam są bardziej zaangażowani w kulturę.
OK. Ostatnia kwestia, czy mógłbyś dokończyć zdania: Nigdy nie przespałbym się z dziewczyną, która...
Hmm... nie wiem... przespałbym się z każdą (śmiech), chociaż, po namyśle... nie przespałbym się z dziewczyną, która śmierdzi.
Nigdy nie wypiłbym drinka, który...
... ma w sobie cokolwiek słodkiego.
Nigdy nie pojechałbym do...
... Meksyku.
Czemu?
Bo nie lubię Meksyku.
Nigdy tam nie byliśmy, ale wygląda miło na pocztówkach...
Wszystko wygląda miło na pocztówkach.
Jestem dumny z bycia Latynosem, z powodu...
... kultury. Język jest cudowny. Ludzie ciepli, seksowni, egzotyczni. Ale ten język to język miłości.
Mówi się, że francuski jest językiem miłości...
... haaa, tylko jednym z wielu (śmiech).

nowe klipy

tekst Red Ant

Witeczka Ślizgowicze!

Niestety zima ma się ku końcowi... Niestety, bo dla amatorów białego szaleństwa oznacza to przerwę albo lodowce za kupę hajsu... Czerwona Mrówka też była w rozjazdach. Każda z części składowych wróciła na szczęście w całości i teraz możemy Wam coś naskrobać, choć ogonówka boli jak cholera...

Zima nie pozwala wybudzić ze snu zimowego naszych producentów wideoklipów, bo produkcje ostatniego czasu można na palcach jednej ręki policzyć.

Na pewno niejeden z Was powie, że klipów to jest więcej, a tylko my ich opisywać nie chcemy i chyba mógłbym się z nimi zgodzić, gdyby nie to, że celowo użyłem określenia produkcja, które samo w sobie zakłada realizację konkretnego, dobrze przemyślanego planu, w celu uzyskania jak najwyższej jakości produktu. Pozwólcie więc, że będziemy opisywali klipy przypominające w końcowym efekcie produkcję, a nie te, które zostały zrobione, aby odnieść sukces niesione falą popularności muzyki i wykonawców.

Ogólnie lipa!

Nic ciekawego, kryzys może, czy co? Klipy są coraz bardziej do siebie podobne. Świecone prawie tak samo, bez treści, bez pomysłu. W ostatnim klipie

SISTARS „Music"

pojawił się tak poważny błąd montażowy, że nie można zrozumieć puenty. Klip zrobiony bez polotu. Jest oczywiście poprawny, ale co z tego... Zbyt grzeczny i tyle. Twórcy klipów znają trzy kolory, najprawdopodobniej ze skrzyżowania. Jak się coś nie uda na zdjęciach, to wtedy zostaje niebieskie, jak się nie uda na montażu, to czarno-białe. Polskie klipy przelatują jak ciągiem zadrukowany powieściami romantycznymi, papier toaletowy. Ostatni fajny klip to np. Abradab „Rapowe ziarno 2".

Hynoka: Pod „Rapowym ziarnem 2" podpisuję się dwiema rękami, ale do końca zgodzić się nie mogę z taką krytyką SISTARS „Music", bo ten klip to właśnie jedna z niewielu „produkcji", która zwraca na siebie uwagę. Wcześniej padło „niby szkoła, aktorzy, statyści, ale nic tu nie porywa...", a ja to kupuję.

Ta szkoła przez wygląd wnętrz i scenografię staje się szkołą konserwatywną, w której nauczyciele nie mogą wyglądać inaczej niż wyglądają. Aktorzy i statyści w końcu są ubrani pod treść klipu, a nie w najnowszą kolekcję sponsora i oczywiście najważniejsza rzecz to to, że opowiada jakąś historię, która ma swój początek i koniec. Właśnie kilka takich elementów powoduje, że klip zostanie zauważony.

Zauważona zostanie choreografia, co prawda według mnie jest przekoloryzowana i przez to nienaturalna (w „Sutrze" było to zrobione znacznie lepiej), ale i tak plus, że jest. Tak więc ten wideoklip jest warty obejrzenia i zasługuje na miano produkcji.

Do zamknięcia tego numeru nic ciekawego nie było...

Ale zapowiada się ciekawie!

Nadchodzą: Mor W. A. Vienio&Pele, Hemp Gru, WWO, Don Guralesko, DJ 600V i paru innych wykonawców, więc może w następnym odcinku będą 'kozaki' klipowe... (nie mylić wiadomo z kim;). Pozdro.



PS. redant@op.pl



Hemp Gru - Wilku i Bilon - bezkompromisowy, hardkorowy rap prosto z ulic warszawskiego Mokotowa. Muzyka, teksty i przekaz, jakich dawno już nie było na polskiej scenie hip-hop, pokazujące radykalny rap, ostry i prawdziwy - nie pod publikę, jednak przyciągający słuchaczy. Sprawdźcie, co Hemp Gru mają do powiedzenia o swoim przekazie, swoich doświadczeniach, a także o płycie i innych tematach. Wilku i Bilon, jedziemy...

hemp gru
dla ludzi

rozmawiali WZRR i Kowal
foto WZRR

Hemp Gru był polskim rapowym debiutem płytowym, na który trzeba było czekać chyba najdłużej? Czemu trwało to aż tyle?

Bilon: Nie, nie, na Fundację trzeba dalej czekać! (śmiech)

Wilku: A my tak naprawdę nigdzie się nie śpieszyliśmy. Poza tym udostępnialiśmy nasz czas studyjny innym, którym się bardziej śpieszyło – Ziperze, Włodkowi. Poza tym muzycznie Waco, jak to Waco, w swoim tempie dopieszczał wszystkie kwestie...

B: ...Hemp Gru „Klucz" zaczęło powstawać w 1999 roku, ale to wszystko były pomysły i projekty, które klarowały się do teraz właśnie. Potem Wilku zajął się trzecią Molestą, ja miałem tam swoje historie, no i potem, 2002/2003, wzięliśmy się do roboty.

Wilku, od trzeciej Molesty minęło generalnie trochę czasu, koledzy z zespołu nagrywali, pojawiali się. Ciebie nie korciło, żeby coś nagrywać?

Wilku: Pojawiałem się gościnnie. Ja nie mam ciśnienia, żeby tak po prostu robić, to musi wyjść ze mnie, muszę czuć potrzebę. Albo mnie ktoś zaprosi do swojego pomysłu, albo ja robię swoje pomysły w swoim tempie. Mógłbym nagrać pięć płyt, ale co z tego by wynikało – czy ilość przełoży się na jakość? My wolimy rozegrać to inaczej – powoli do celu.

Jesteśmy właśnie na Mokotowie, Wy często podkreślacie swoje związki z tą dzielnicą, jak tu się żyje?

Wilku: Mi bardzo dobrze...

Bilon: ...mi również. To jest stara dzielnica z tradycjami, z charakterem. Tu są kamienice, a nie blokowisko – bramy, parki, dużo zieleni. Wśród ludzi jest bardzo przyjazny klimat, wszyscy się znają, starsi, młodsi – ogólnie panuje równowaga sił i harmonia.

Jesteście kumplami, którzy poznali się na mokotowskim podwórku?

Wilku: Tak naprawdę to się poznaliśmy w Hybrydach – tam się wszyscy przecież poznali z warszawskiego światka starszych raperów – ale mieszkaliśmy w tej samej okolicy. Potem ja się wyprowadziłem, ale przyjeżdżałem często na stare śmieci...

Bilon: ...ja przesiadywałem wtedy w kultowym już pubie Maria i tak się jakoś spotkaliśmy...

Wilku: ...połączyliśmy siły, zaczęliśmy być ziomkami, mamy podobne zainteresowania i tak już zostało.

To powiedzcie, dlaczego o Mokotowie mówi się, że jest niebezpieczną dzielnicą?

Bilon: Niebezpieczną? Jest coś w tym na pewno...

Wilku: ...choć kiedyś była bardziej niebezpieczna...

Bilon: Może być niebezpieczna dla ludzi z zewnątrz, ktoś przychodzi na melanż do kogoś na naszej dzielnicy, potem rozrabia, to może dostać w oko na przykład, ale to chyba wszędzie tak jest.

Wilku: Może chodzi o to, że w okolicy mało jest miejsc takich, jak boiska czy jakieś kulturalne przybytki? Takich miejsc nie ma tu prawie w ogóle, więc ludzie rozwijają się w inną stronę.

A to miejsce, w ogóle sprzyja robieniu rapu?

Bilon: Oczywiście. Sam charakter dzielnicy.

Wilku: Tu dużo się dzieje, jest o czym mówić.

Bilon: Jakbym siedział nad morzem, świeciłoby słońce to pewnie robiłbym reaggae, he he, a tutaj robię rap.

OK, początek rozmowy już mamy, przejdźmy więc do Waszej płyty. Poruszacie treści, których chyba dawno nie było w polskim hip-hopie. Wasz przekaz jest dość, hmmm..., dynamiczny. Co chcieliście powiedzieć na tej płycie?

Wilku: Przede wszystkim, że jesteśmy sobą. To, co było kiedyś, na początku, to był hardkorowy rap. Mówisz, że z czasem on złagodniał, ale my pod względem przekazu zawsze będziemy mówić prawdę i to, co naprawdę sądzimy, nigdy nie będzie owijane w bawełnę, żeby zdobyć publiczkę. To jest muzyka dla prawdziwych ludzi, którzy coś przeżyli, nie dla laików i lamusów. Dla ludzi, którzy potrafią żyć.

Bilon: Jest to na pewno opowieść, cała płyta jest opowieścią, dla jednych będą to znajome tematy, dla innych może będzie w tym trochę przestrogi. To płyta dla ludzi naszego pokroju.

A co w takim razie z resztą ludzi, którzy może mają odmienne poglądy, są inni? Nie staracie się do nich dotrzeć?

Wilku: Niech nie słuchają mojego rapu. Ja nie słucham ich rapu! Albo niech się uczą. Ja też potrafię się bawić w klubie czy doceniam inne zajęcia, niż to, co robię na co dzień, ale swoją uwagę i teksty poświęcam, żeby powiedzieć coś bardziej wartościowego, niż zwykłe piosenki. Wszystko, co robię, jest bardzo zaangażowane.

Uważacie się za życiowych radykałów? Taki przynajmniej wniosek można wysnuć na podstawie kilku utworów z Waszego krążka.

Bilon: Swoje w życiu przeżyłem, ale wiesz, jak to jest – dla mnie moje doświadczenia i moja droga życia są właściwe, a dla kogoś bardziej wartościowe będzie to, co on przeżył. Nie czuję się jakimś guru doświadczeń życiowych, żeby się czegoś nauczyć. Trzeba trochę doświadczyć na własnej skórze.

Wilku: Patrząc na moich kolegów, znajomych dookoła, zauważam, że mam coś do powiedzenia, dlatego, że mam swoje przeżycia, doświadczenia. Człowiek może dostać po dupie, ważne, żeby ze swoich doświadczeń wyciągać wnioski.

Wasze ogólne nastawienie do życia jest raczej optymistyczne czy wręcz przeciwnie?

Bilon: Raczej, że optymistyczne! Własną pracą można dojść do wszystkiego. Nawet jak siekniesz w lotka, to i tak dlatego, bo chciało ci się zagrać. Ważne jest, żeby chcieć, sama wygrana do ciebie nie przyjdzie.

Wilku: Ja raczej jestem realistą i patrzę trzeźwo na świat.

Czy to pozytywne nastawienie nie kłóci się z agresją, która jednak wychodzi z Waszych tekstów?

Wilku: Nasza agresja skierowana jest na konkretne cele, nie ślepo na wszystkich dookoła. To jest agresja przeciwko złu, zresztą o jaki kawałek ci chodzi? „Nienawiść do policji"? Tam jest wyraźnie powiedziane, do kogo adresujemy naszą agresję...

Bilon: ...przeciwko pedofilom tak samo, frajerom, przeciwko każdej skurwiałej jeździe.

Wilku: Nie walczymy z ludźmi, tylko z ich złymi myślami. Agresja jest przeciwko złu, które siedzi w ludziach. We mnie też jest dużo zła i też z tym walczę. Nie wchodzę nikomu w głowę, ktoś sam musi włączyć płytę, żeby usłyszeć. Poza tym ja nie wyczuwam wcale na tej płycie dużo agresji, bardziej to, co już powiedziałem – realizm, codzienna gazeta.

Bilon: Może taktycznie jest dużo mocnych słów pod adresem policji czy takich tam, ale też przecież jest też dużo innych pozytywnych tematów.

Skoro już była mowa o policji, to co powiecie na ten temat? Ty, Wilku, jesteś uznawany za „twórcę" hasła „HWDP"...

Wilku: Jestem wychowany w takim a nie innym środowisku, niektórzy mogliby powiedzieć „kryminogennym", u mnie kwestia więzienia przewija się w rodzinie od pokoleń. Swoje opowieści przekazała mi rodzina, mam swoje doświadczenia, znam historie moich przyjaciół i wiem, że nie jest tak, jak powinno być...

Bilon: Policja to po prostu legalna mafia i najgorsze jest to, że nie ma kto nas bronić przed policją. To jest takie błędne koło. Tak naprawdę, to oni są największymi bandziorami i my ich nienawidzimy.

Wilku: Powtórzę historię, którą opowiadałem już nieraz: jestem na komendzie, dostaję pałą w plecy, przewracam się, a pies mnie pyta: „Co cię boli?". Ja mówię: „Za co mnie bijesz?". On: „Za chęć do życia". To jest drzazga, która utkwiła mi w mózgu i nienawidzę po prostu policji. A sam skrót „Huj w Dupę Policji" istnieje od dawien dawna. I chodzi tu także o wszystkich ich współpracowników, kontidentów. Jak kontident sprzedaje kogoś, to po prostu robi zło i krzywdzi ludzi, krzywdzi czyjąś matkę, czyjąś rodzinę.

Czy bierzecie aktywny udział w życiu tak zwanym społeczno-politycznym? Chodzicie na wybory?

Bilon: Nieeeee, jak naprawdę nie ma na kogo głosować. Wszystko to jedna szajka, nie chcę przykładać ręki do wyboru następnego Iba, co się chce nażreć przy korycie.

Wilku: Głosujcie na Hemp Gru!!! (śmiech) To jest tak, że ja wierzę w Polskę, nie uciekam z kraju, myślę, że uda coś się zrobić, że wszystkie te korupcje i przekręty wyjdą na jaw i się skończą. A ludzie teraz po prostu są zmuszeni, żeby ukraść bochenek chleba.

Bilon: To jest wina systemu – jak jest burdel na górze, to jak ma być na ulicy? Jak się ludziom będzie lżej żyło, to i przestępczość zmaleje i wszystko się poukłada.

Wilku: Poza tym idziesz, głosujesz na A, a i tak wychodzi, że wygra B, wszędzie na całym świecie tak jest. Wielkie korporacje kładą łapę na ludziach, korumpują, szantażują, wykorzystują. I nigdzie nie można się dowiedzieć, co się dzieje naprawdę.

Zmieńmy teraz te ciężkie tematy i porozmawiajmy na temat skitów na waszej płycie. Skąd w ogóle wzięliście takie pomysły?

Bilon: He, he, normalne pomysły – siedzisz, palisz jointa, pijesz herbatę i pomysły same przychodzą do głowy.

Wilku: Tak naprawdę te skity miały być takim oderwaniem od ciężkich tematów, żeby wyluzować trochę, bez ciśnionka pociśnięte...

Bilon: Nie siedzieliśmy w studiu i na siłę nie myśleliśmy, jaki by tu skit nagrać, tylko samo to przychodziło. Takie życiowe scenki. (śmiech)

Pojawił się temat palenia, zresztą sama nazwa grupy nawiązuje do tego. Powiedzcie coś o swojej ulubionej używce.

Bilon: Mi służy, dziękuję, lubię palić jointy.

Wilku: Ja palę, ale często, gęsto robię sobie przerwy. W tym momencie nie palę trzeci miesiąc. Jak powiedział kiedyś ktoś mądry: wszystko jest dla ludzi, tylko trzeba wiedzieć, jak to robić, żeby to nie stało się dla ciebie nałogiem. Zależy też, co się pali, bo różne gówna z ltulkami na szczury są dostępne i to na pewno źle wpływa na umysły młodych ludzi. Trzeba uważać.

Bilon: Nie namawiamy w każdym razie do palenia. My jesteśmy dorosłymi ludźmi i robimy to świadomie.

A ustawa? Legalizacja?

Wilku: Ustawa na razie jest bzdurą i paranoją.

Bilon: A legalizacja w Polsce? Jak najbardziej, wszyscy by zarobili, ludzie mieliby wolny wybór, bez ciśnienia. Wszystko zależy od człowieka – jeden zapali jointa i nie będzie palił, inny będzie palił, a znajdą się i tacy, którzy sięgną po heroinę. Ale po herę można sięgnąć nie paląc trawki.

Wilku: Można używać i nienadużywać, a można też polecieć w skrajną opcję. Dzieciaki powinni uczyć tego w szkołach.

Wracając do płyty, bo odbiliśmy od tego tematu. W skrócie – jesteście z niej zadowoleni?

Wilku: Została bardzo dobrze przyjęta, dobrze się sprzedaje, czego można jeszcze chcieć?

Bilon: Teraz, jak słucham, to wiadomo, jest to jakieś kolejne doświadczenie. Parę tam zrobiłem błędów stylowych, mam nadzieję, że dalej będzie coraz lepiej.

Macie ciśnienie na nagrywanie następnego materiału?

Bilon: Na razie będą mikstejpy, nielegalne. Płyta może za dwa lata, się zobaczy.

Wilku: Muzykę robimy dla ludzi, dla siebie też, będziemy dalej aktualne tematy poruszać na nielegalnych mikstejpach „Uliczne rytmy" – polskie bity, trochę zajebanych, będziemy też promować młodych producentów. Przyjaciele i Hemp Gru, dostępne w sklepach tematycznych i Internecie.

Macie pieniądze z rapu?

Bilon: Coś tam wpadnie, chociaż głównie z koncertów.

Wilku: Jakbyśmy chcieli robić to dla pieniędzy, to byśmy już w tym momencie wydawali Hemp Gru 5, puszczali teledyski, kasowali zaliksy i inne gówna.

Jakieś plany na przyszłość?

Bilon: Wspomniane przed chwilą mikstejpy i za jakiś czas Hemp Gru 2...

Wilku: ...i odzież oczywiście – DIIL, w końcu ruszy nasza uliczna kolekcja.

Ostatnie słowo? Pozdrowienia?

Bilon: Dla mojej córci i Oli, przyszłej żony. Dla braci, dla was i wszystkich, którzy są z nami.

Wilku: Dla całej mojej rodziny, znajomych bliższych i dalszych. Prawdziwy hip-hop – tak trzymać.

freestyle
majkel & kamel



Na łamach SLG kontynuujemy prezentację najlepszych polskich freestyle'owców. Tym razem dwóch zawodników z południa kraju: Majkel (Gliwice) i Kamel (Dąbrowa Górnicza). Pamiętamy ich z poprzedniej edycji WBW, byli również na bitwie w Katowicach (Kamel prowadził, Majkel dotarł do finału) oraz na warszawskiej Christmas Rapping. W tej chwili pracują nad materiałami studyjnymi (Kamel dłubie powoli przy beatach Konqreta, Majkel z Kecajem i Puzzlem nagrywa nową Koligację, szykuje projekt Majkel/Dino i płytę Kubańskich Pomarańczy tworzonych z Anią Sool i instrumentalistami) i co dla nas fanów freestyle'u najważniejsze, przygotowują się do tegorocznej Wielkiej Bitwy Wolnostylowej, głodni zwycięstw oraz dobrej zabawy

rozmawiał Keb (Czyste Słowa)
foto Wiedźma Cess (CS)

Jesteśmy na krótko przed WBW. Jak oceniacie zmiany, które nastąpiły, w szczególności fakt, że eliminacje będą odbywać się także poza Warszawą?

Kamel: Według mnie nowe zasady to poroniony pomysł. Cała esencja WBW polegała na tym, że człowiek jechał na takowy contest i już w pierwszej walce mógł się sprawdzić z typem z drugiego końca Polski. Teraz zmagania nabiorą wymiaru bardziej lokalnego. Poza tym, nie czarujmy się, na takim Mazowszu jest 4 razy więcej konkretnych zawodników niż w innych rejonach Polski, a tylko dwa miejsca. Jeśli jeszcze przejdzie opcja, że zawodnicy mogą się zapisać na dowolną ilość eliminacji, to będzie to już totalna klapa.

Majkel: Mnie też się to nie podoba, ale organizatorzy zrobili po swojemu. Moim zdaniem zeszłoroczna formuła była bardzo dobra i jeżeli coś w niej zmieniać, to trzeba było ją doszlifować organizacyjnie, a nie rozbijać na różne miasta, w których będą pewnie panować odmienne warunki. Wątpię, żeby wpłynęło to na podniesienie poziomu imprezy.

Mniejsza o to. Jest zawodnik, na którego szczególnie byście chcieli trafić?

Kamel: Na Majkela (śmiech). W zasadzie to nie mam jakiejś szczególnej chęci spotkania się z kimkolwiek, no, może chciałbym się zrewanżować Wujkowi aka Osamie za Christmas Rapping, bo tam konkretnie dostałem po dupie. W ogóle wtedy promile (i ja, i Majkel w pojedynku z CNE) polegli z Gibonami, więc jesteśmy rządni rewanżu (śmiech).

Majkel: Chciałbym trafić na Dużego Pe i być w formie, bo żeby go pokonać trzeba się wspiąć na wyżyny swoich umiejętności. A drugiej strony może lepiej nie, bo jak mi pojedzie po ukraińsku, to nie będę umiał odpowiedzieć (śmiech). A tak poważnie: jest mi wszystko jedno, z kim walczę, bo zawsze chcę wygrać i po to tam jadę – wygrać jak najwięcej bitew.

A kogo byście sobie najmniej życzyli?

Majkel: Nie chcę trafić na Kamela, bo nie lubię eliminować kumpli z ekipy. Nie chcę trafić na AwersEj, bo ona nie dość, że ciągle próbowała pojechać po mojej Ani, to jeszcze ma taki flow, że ciężko ją zrozumieć. No i nie chcę trafić na Tetrisa przed finałem, bo to tak jak trafić w mistrzostwach świata na Brazylię.

Kamel: Cóż, kalkulacje są dobre w professionalu, a na wolno walczyć trzeba z każdym. W tej gierce chodzi o skillsy, a czym lepszy przeciwnik, tym bardziej trzeba się wykazać, także ja poproszę samych najlepszych (śmiech).

Skoro już o konkurencji: kogo naprawdę należy się obawiać, a kto, Waszym zdaniem, jest przereklamowany?

Kamel: Najwyższy level to według mnie: O. S. T. R. (ale on się nie liczy, gdyż nie startuje), Tetris i Pe. Ci panowie raczej nigdy nie mają słabych dni i prezentują się najkonkretniej, ale wcale nie uważam, że są nie do ruszenia. A co do przereklamowanych, wydaje mi się, że szum wokół AwersEj nie jest wprost proporcjonalny do jej skillsów. Kolejnym zawodnikiem, którego free jakoś nie specjalnie przypada mi do gustu, jest Puoć. A, i jeszcze ja jestem przereklamowany (śmiech).

Majkel: Moimi faworytami, poza Tetrisem, są… no właśnie, nie ma takich. Dla mnie ten typ przerasta resztę o głowę i jeżeli powtórzy się finał z zeszłego roku, co jest prawdopodobne, to stawiam 100, że wygra Tetris. Oczywiście zawsze trzymam kciuki za Kamelka. A obawiać należy się wszystkich emce, którzy rozpracowują konkurentów na kartkach. Wymyślają sobie, komu dać jaki temat, jakie ma słabe punkty, zapoznają się z ich dokonaniami, żeby im pojechać tajnie. Byłem w szoku jak zobaczyłem taki zeszyt. W tej sytuacji każdy jest groźny (śmiech).

To dość nowatorskie rozwiązanie. A jakie są Wasze patenty na zwycięstwo? Poza wsparciem alkoholowym, rzecz jasna (śmiech).

Kamel: (śmiech) Z tym wsparciem alkoholowym to tak nie do końca. Przed bitwą, a także w trakcie, to tak kulturalnie i grzecznościowo. Po... inna sprawa (śmiech). A patenty na bitwę to dobry humor, luz, pozytywne nastawienie do świata i moje ziomy, Kali i Prezes, pod sceną, namawiający ludzi, żeby darli się za mną (śmiech).

Majkel: Hmm… Ja właściwie wolę freestyle na trzeźwo. Są lepsze, a promile to po bitwie (śmiech). Chociaż w Rap Kanciapie „Czerwona Kartka" dobrze nam zrobiła i obaj byliśmy w finale. A jeśli chodzi o patenty, to ich nie ma. Ważna jest forma dnia. Jak nie mam dnia na freestyle, to mogę przegrać nawet z Kamieniem (śmiech), a w dobry dzień zagrażam wszystkim na polskiej scenie.

Które z freestyle'owych bitew – niezależnie, czy w nich uczestniczyliście, czy tylko oglądaliście – najbardziej utkwiły wam w pamięci?

Majkel: Mega Club, Katowice. Dobra publika, dobry poziom, mój sukces, najlepsze wspomnienia mam z tej bitwy.

Kamel: Takim freestyle'em, który najbardziej zapadł mi w pamięci, nie była akurat bitwa, tylko wolny Jajonasza na takim mini festiwalu pod M1 w Czeladzi. Wtedy po prostu stałem pod sceną z rozdziawioną gębą i mówiłem sobie:,, Wow!!! Ja też tak muszę". No i zaczęło się. A z bitew – drugi finał WBW. Pe i Tet wskoczyli na level niedostępny wtedy dla nikogo na sali. Potem cała ósemka na scenie, prawie się poplakałem, coś pięknego. Te trzy chwile, jeśli chodzi o freestyle, zapamiętam do końca życia.

Trzy beaty, pod które najchętniej freestylujecie?

Majkel: Promoe – „KKKampaign", Redman feat. Adam F. – „Smash sumthin" i Beastie Boys – „No sleep till Brooklyn" – ale na bitwach w Polsce słyszałem tylko ten drugi i nie sądzę, żebym pozostałe dwa usłyszał, zwłaszcza Beastie.

Kamel: „Nas is like" Premiera, „Full Clip" tego samego pana i „Dangerous" Mr. Walta.

Czy istnieje jakaś granica w ostrości dissów na wolno? „Nigdy nie ruszam tematu rodzic" nawinął kiedyś Tetris. Czy Wy macie jakieś opory?

Majkel: Nie chodzi o opory tylko o klasę. Pokazujemy umiejętności i błyskotliwość, a nie kto wynajdzie bardziej wykwintne wyzwisko na czyjąś matkę. Ale nie mam opcji, że czegoś nie można powiedzieć, tylko to musi być adekwatne do sytuacji.

Kamel: Ja nie ruszam tematu rodzina, nie bawi mnie to, ale nie miałbym ciśnień, gdyby ktoś mi posłał takiego puncha. Savoir vivre jest dobry przy stole, a nie na scenie. Trzeba mieć dystans i odnosić się do Stanów, gdzie jest to na porządku dziennym. Póki co za dużo u nas jeszcze niezdrowych emocji, ale cóż, jak to rymuje Jędker:,, To Polska, nie elegancja Francja" (śmiech).

Dwa słowa o sędziowaniu. Jaki system jest waszym zdaniem najbardziej sprawiedliwy i kto powinien sędziować?

Majkel: W Polsce powinno sędziować jury, bo publika nigdy nie dojrzeje do rzetelnych ocen. A poza tym jury ocenia według kilku kryteriów, a gdy decyduje publika sztuka polega na tym, żeby im się przypodobać. Co jednak nie znaczy, że system z jury jest bezbłędny, bo to nie prawda.

Kamel: Myślę, że sędziowanie na ostatnich większych bitwach było w porządku (choć niektórzy pewnie mają inne zdanie, prawda Majkel?) i jury było kompetentne, ale trzeba też wpuścić trochę świeżej krwi. Dobrze byłoby, gdyby każdy z jurorów miał inny gust, ale... zobaczymy, jak będzie.

Na koniec, podajcie kilka swoich ulubionych punchy z freestyle'owych bitew. Założę się, że parę utkwiło wam w pamięci.

Majkel: Raczej nie mam głowy do takich rzeczy. Rzadko wracam do starych bitew, więc nie pamiętam. Ale dobre było, jak Dolar Rufinowi w Mega pojechał, że jego ojciec nie jeździ z nim na bitwy, bo się za niego wstydzi (w odpowiedzi na zarzut, że Dolar jeździ z Tatą na bitwy). Przy okazji pozdrawiam ojców Rufina i Dolara.

Kamel: Hmm... z bitwy płockiej:,, Eldo wchodzi i jest wielka draka, każde twoje słowo to jak z dupy rzadka sraka" (śmiech). Kolejny to typ z bitwy w Kielcach w temacie,, dupa bobra" do swojego przeciwnika:,, Bo ty jesteś bobrem, a ja jestem dupą". No i punche AwersEJ z rap kanciapy, gdzie panna w temacie „Liga polskich rodzin" cały czas rymowała o Samoobronie i ich latynoskim przywódcy. Więcej grzechów nie pamiętam (śmiech).

mike patton
koniak, dziwki i zachody słońca



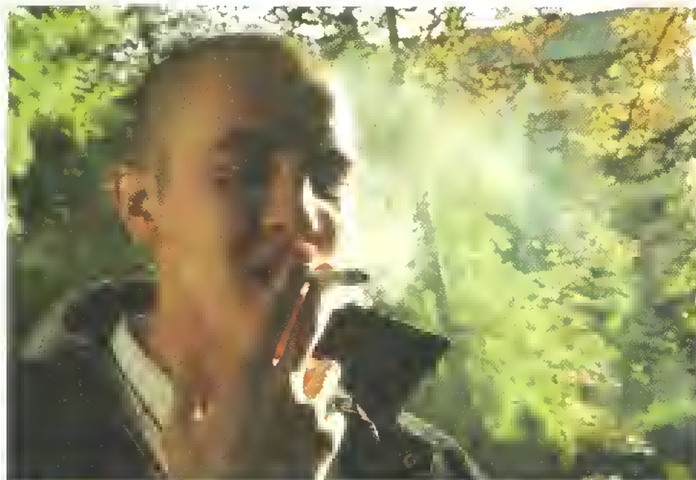
Mike Patton to człowiek – instytucja. Obecny na rockowej (i nie tylko) scenie od wielu lat. Niestrudzenie poszukuje nowych muzycznych wyzwań, realizuje nawet najbardziej dziwaczne projekty i nieustannie zaskakuje i szokuje swoich fanów. Wiele razy współpracował też z artystami hiphopowymi, ostanio z The X-ecutioners. Oto Mike Patton we własnej osobie...

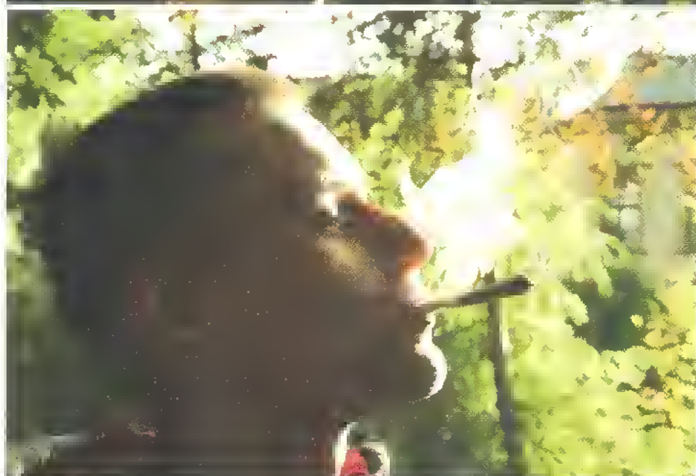
pytał Kuba Demiańczuk

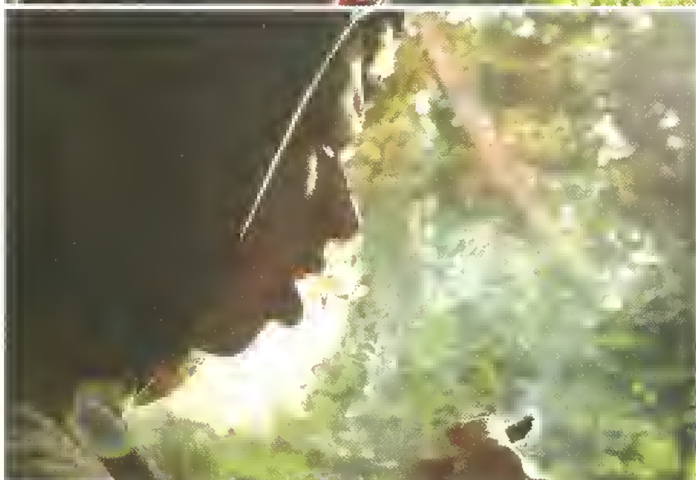
Najbardziej znany jest z pewnością jako frontman nieistniejącego już Faith No More (zastąpił tam na wokalu Chucka Mosleya), z którym nagrał cztery studyjne albumy. Jednak zakres jego muzycznych zainteresowań jest o wiele szerszy: aktywnie udziela się w zespołach Mr. Bungle (tu zaczął swoją karierę), Fantomas, Tomahawk, nagrywał płyty z Dillinger Escape Plan, Danem the Automatorem (Lovage) i norweskim wokalistą Kaadą. Gościnnie występował na płytach Bjork, Sepultury (w jednym z utworów wspólnie z Jonathanem Davisem z Korna i Dj'em Lethalem), jazzowego eksperymentatora Johna Zorna czy The Kronos Quartet. Niedawno nagrał znakomity longplay z dj'skim crew The X-ecutioners. Występował też kilka razy w Polsce: gościł na koncertach z Faith No More, Fantomasem i Rahzelem. Człowiek, który żyje muzyką 24 godziny na dobę, znalazł też kilka chwil, by odpowiedzieć na nasze pytania.

Jak doszło do twojej współpracy z The X-ecutioners? Czyj to był pomysł i jak długo trwało nagranie płyty?
To był mój pomysł. Już od paru lat szukałem sposobu na nagranie płyty z zespołem dj'skim. Podstawową przeszkodą był sposób, w jaki to zrobimy: czy siadamy razem i próbujemy coś nagrać? Czy wymieniamy pomysły? Hmm. Ja byłem za tym, żeby improwizować na żywo, rozwijać język muzyki i pogłębiać go potem w studio. Najpierw dałem The X-ecutioners kilka płyt, które miały posłużyć jako paleta, wkrótce odesłali mi materiał do overdubu, montażu i dogrania wokali. A reszta to była czysta inspiracja: koniak, dziwki, samochody terenowe i zachody słońca!
Wygląda na to, że byłeś mózgiem całej operacji: odpowiedzialny za większość instrumentów i wokale. Czy naprawdę byłeś Generałem w całym projekcie?
To moje dziecko, i tak sobie to zaplanowałem od początku do końca. Wiedziałem, jak chciałbym, żeby to brzmiało i znalazłem odpowiednie do tego narzędzia. A to był i tak kolejny, zwykły dzień w pracy, nic wielkiego.
Ta płyta nie była twoją pierwszą współpracą z artystami hiphopowymi. Niektórzy dziennikarze określali styl Faith No More jako „rap metal", z tym zespołem nagrałeś utwór z Boo-Yaa T.R.I.B.E. na soundtrack „Judgement Night". Powiesz parę słów o swojej fascynacji rapem?
Flirtowałem z tą muzyką już od wielu lat. Płyta z The X-ecutioners to jednak raczej wyraz mojej fascynacji gramofonem jako instrumentem. Chciałem wybadać, jak rozległe tkwią w nim możliwości. W jednej chwili wydobywasz z niego odrażające hałasy, chwilę później naśladujesz instrumenty perkusyjne, by wreszcie uzyskać melodyjny dźwięk gitary Tonesmith. I można to zmieniać tak szybko, jak szybko zdołasz położyć igłę. To było niesamowite, pisać utwory mając takie możliwości muzyczne do wykorzystania.
Powiedz też parę słów o zespole Lovage i swojej współpracy z Rahzelem.
Lovage to dziecko Dana the Automatora, i to bardzo atrakcyjne, jeśli mogę tak powiedzieć. Dla mnie to były bardzo przyjemne wakacje – występowaliśmy razem głównie na żywo. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś uda nam się współpracować. Natomiast moja praca z Rahzelem to coś w rodzaju telepatii, opartej na czystej improwizacji. To zupełnie nowe, niesamowite doświadczenie, inne przy każdym występie. Ten facet to potwór...
Pracowałeś też z wieloma innymi artystami. Która z twoich kooperacji była najtrudniejsza, a która najbardziej satysfakcjonująca?
Wszystkie były różne i to dlatego cały czas szwędam się po świecie w taki bezładny sposób. Dillinger Escape Plan to było prawdziwe wyzwanie, trudna i wyczerpująca muzyka, a im przychodzi to tak naturalnie. Uwielbiam tych gości. Ostatnio dużo przyjemności sprawił mi siedemnastominutowy kawałek „Grand Guignol", który nagrałem dla Naked City. To było sporo pracy, sporo zaawansowanej techniki i różne wokale w niemal każdej części utworu. Tak jakbym nagrywał całą płytę w jednej piosence...
Jakie było największe wyzwanie w twojej karierze? Z kim jeszcze chciałbyś pracować?
Największym wyzwaniem było to, żeby nie zerżnąć Axla Rose'a w dupę. A chciałbym stworzyć duet z Beyonce – ale tak całkiem prywatnie...
A który z zespołów, w jakich się teraz udzielasz – Mr. Bungle, Fantomas, Tomahawk – jest twoim „ukochanym dzieckiem"?
Nie ma wybranych, wszystkie są jednakowo paskudne i wszystkie tak samo kocham.
Jakie masz dalsze plany muzyczne? Czy pojawi się kolejny album solowy?
Cały czas nagrywam wokale do różnych płyt, rozmaite kooperacje muzyczne, mam w planach nowy zespół i o wiele za dużo wywiadów... Nie myślę na razie o nagraniu kolejnej solowej płyty. Przynajmniej do momentu, w którym uznam, że jest naprawdę niezbędna.
Jesteś całkowicie oddany muzyce. Jak wiele ona dla ciebie znaczy?
Jest częścią każdego mojego dnia, a czasami także nocy! Jest dla mnie w tej chwili już bardziej funkcją życiową, robię ją od tak wielu lat, że nawet o tym nie myślę! Jest jak oddech, chwilami nawet nie zdaję sobie sprawy z tego, że piszę, nagrywam albo komponuję. Wymyślam ją wszędzie – robiąc zakupy, grając w koszykówkę, jadąc samochodem – to przychodzi samo z siebie. Jest dla mnie tak samo istotna jak wszystko inne: picie wody, sikanie albo mycie zębów.
W 2004 roku zadebiutowałeś jako aktor w filmie Steve'a Baldersona, „Firecracker". Jak podobała ci się ta nowa praca?
Była upokarzająca, żenująca i całkowicie tego warta! Nauczyłem się ogromnie dużo o występowaniu, tworzeniu iluzji, a także o prezentowaniu samego siebie. Reżyserzy naprawdę tworzą swoje własne rzeczywistości, swoje własne światy wewnątrz filmowego obrazu. Aktorzy są tylko małą częścią całego projektu. Spędziłem cudowne chwile ucząc się, trzymając gębę na kłódkę i obserwując, jak odsłaniają się przede mną nowe światy.
Kilka razy występowałeś w Polsce. Masz zamiar wkrótce znowu przyjechać?
Mam nadzieję, że uda mi się w lecie przyjechać kolejny raz z Fantomasem. Szykujcie dla mnie pierogi!

firma
z dedykacją dla jamajki







Krakowscy Firmowcy od kilku grubych lat przejawiali zainteresowanie jamajskim klimatem. Już na ich debiutanckim LP pt. „Z dedykacją dla ulicy", czyli ładne kilka lat temu, wśród ostrego, ulicznego słowa znalazło się miejsce dla jednego utworu w tym rytmie

tekst Michał Kowalski
foto Anna Bloda

Kolejnym atakiem ragga'owych vibe'ów z ich strony był kawałek Clappas z Effendi mixtape, gdzie pada hasło „Z przepisów drogowych robimy se jaja i ciągle powtarzamy, że każdy pies to faja." Aktualnie za sprawą Irzech piątych grupy nadszedł czas na coś stricte ragga'owego, ale ubranego w klasyczny dla tych wykonawców hardkorowy przekaz. W natarciu nowe produkcje Firmy, a właściwie, jak już wspomniałem, jej krakowskiego składu – Bo$$kiego, Tadka i Kaliego. Na początek chłopaki odgrażają się stuprocentowym, undergroundowym nielegalem o hardcore'owej, streetowej, antyprewencyjnej, realnej tematyce z życia wziętej. Zostanie on przypieczętowany promocyjnym koncertem w Krakowie. Sama premiera odbędzie się w połowie marca. Odbiorców na pewno zaskoczy zmiana stylu grupy, świadcząca o ich progresywnym podejściu do swojej Iwórczości. Nowy materiał, podobnie jak pierwszy, legendarny już dziś nielegal, będzie wydany w prostej formie, czyli płyty cd-r w białych kopertach. Będą one specjalnie oznaczone i rzucone na całą Polskę w limitowanej serii. Niestety, będzie je Irudno zdobyć, ale kombinować warto. Podkłady to w większości jamajskie riddimy dancehallowe, przy czym Firma zaskoczy nowymi produkcjami, centralnie spod ręki Kaliego. Cena płytki wynosić ma około trzy złote. Zamówienia będzie można kierować pod adresem: romanboski@op.pl, przy czym dotyczą one co najmniej dwudziestu sztuk. Z kolei na jesieni ukaże się już pełna płyta dancehallowa, także w wyżej wymienionym składzie, plus kilku utalentowanych gości oraz parę niezłych niespodzianek. Niestety, w owym projekcie tylko znikomy współudział (jeden, dwa kawałki) mają Popek i Pomidor – bardziej hardkorowa część załogi. Ten duet ruszył gdzieś głęboko w Polskę i spotkać ich można jedynie w czysto przypadkowych sytuacjach. Ostatnio widziałem ich przewijających na scenie na jednym z koncertów większego touru, który odbył się w zeszłym roku. Ogólnie szkoda, bo myślę, że Pop przekazałby kilka słów prawdy w języku raggamuffin. Oficjalnie wcześniej miał okazję zrobić to na pierwszym legalu Firmy, w numerze „Bazyle" (nie mylić z Bezete), gdzie wspólnie z Bo$$em i Katim pojechali w tej konwencji. Ostatnim newsem jest to, że Firmowcy planują kontynuację „Dedykacji dla ulicy" w pełnym składzie, a jej premierę przewidują na początek 2006 roku. Nie obędzie się przy tym bez zamieszania na polskiej scenie hiphopowej. Płyta ta zostanie między innymi ukierunkowana jako stoprocent uliczny hardcore, ratunek dla prawdziwego rapu, śmierć dla hiphopolo.

Stylowa spółka społem

stylowa lova

Debiutująca właśnie w Asfalt Records SSS materializuje się w postaci dźwięków, by przypomnieć czym jest radość tworzenia, dobry bas i niebanalna rytmika utworu, a wszystko to przyprawia błyskotliwym poczuciem humoru. Roztańczona spółka powie wam o swoim stylu, old schoolu, bicikach i bacikach

pytał Flintstone (CS)
foto Mateusz Górecki

Pierwsze pytanie będzie wykładnikiem myślenia w polski sposób. Cały czas macie podejrzanie dobry humor. Jak można go wam zepsuć?

Biały: Brak gotówki jest czynnikiem mobilizującym do działania, ale nie poprawia nam samopoczucia, dlatego posłużymy się cytatem Domela: „haic haic bejjjbeeee $$$".

Decó: W bardzo prosty sposób – zamknąć wszystkich „motorniczych" w mieście:))). Jeśli zaś chodzi o Domela, to rzeczywiście, najlepiej ograniczyć mu dopływ gotówki, robi się wtedy chłopak nerwowy, hehe.



Domel: Bardzo ciężko nam popsuć humor, jest to praktycznie niemożliwe, a kiedy jesteśmy całą SSSpółką, graniczy to z cudem.

Jaką macie receptę dla malkontentów?

Decó: Niech się odmalkontentują.

Domel: Weź się do roboty, nie marudź.

Skoro jesteśmy przy malkontentach. Tytus słynie z tego, że jest wydawcą wybrednym, wymagającym. Nie miał krytycznych uwag względem waszego materiału?

Domel: Współpraca z Tytusem układała się dobrze, oczywiście nie obyło się bez zastrzeżeń z jego strony, ale traktowaliśmy je jako rady.

Decó: Ogólnie podobał mu się materiał, tylko niektóre z kawalin były przez niego zaliczane na straty (np."BBoy Zombie Polish Style"), w większości przypadków jednak udawało nam się dojść do kompromisu. Zawsze była to konstruktywna krytyka, którą sobie cenimy, nie zdarzały się sytuacje typu: „nie podoba mi się i koniec!", normalna wymiana argumentów, konkretne rozmowy.

Nagraliście płytę w założeniu nawiązującą do amerykańskiego „old schoolu", czy też „true schoolu" adaptującego go na nowy sposób. Czy polski hip-hop ma waszym zdaniem swój old school i jak go oceniacie?

Biały: Jasne, chyba każdy już słyszał o „starej szkole rapu". Na tamte czasy produkowano moim zdaniem dobry materiał. Teraz można stwierdzić, że jest to polski old school.

Decó: Dla mnie polski old school to b-boy jamy pod Pleciugą w Szczecinie, United Klan na murach, jakieś śmieszne wyjazdy na śmieszne mistrzostwa Polski break dance raz na rok, imprezy w Mega Klubie w Katowicach, gdzie Jajo miażdżył tristajlem, pierwsze płyty WYP3, Kaliber, Kazik, wspólny set na stricie z WSZ, Decksem i Peją nad morzem, kiedy jeszcze nie byli znani i lubiani. Imprezy w Wiśle, Broken Steps i Sonic Squad na parkiecie, ciężki dostęp do muzyki, filmów… Wtedy nikt nie znał żadnych definicji, nie dorabiał własnych ideologii, wszystko kręciło się tak jakby po omacku, rozwijało się. Czasami miałem polewę z tego, co się wyprawia, niektóre z przedsięwzięć były strasznie nieudolne, ale cieszyłem się, że coś się dzieje i nie ma zastoju. Wspominam ten okres baaaardzo przyjemnie.

Paru wykonawców próbowało aplikować słuchaczom hh oparty na funku. Bez większych sukcesów, trudno chyba przebić się do głów ludzi wychowanych w głównej mierze na rocku, zupełnie innej pulsacji.

Decó: Szczerze mówiąc nie zastanawiamy się nad tym, czy to dotrze do kogoś czy nie. Staramy się po prostu robić swoje, coś, co przede wszystkim nam będzie się podobać. Jeśli myślelibyśmy w inny sposób, płyta byłaby całkiem inna. Cieszę się, że znalazło się grono ludzi, którym wchodzi nasza muzyka (szacunek dla wszystkich psssychofanów!) nie zabiegamy jednak o jakąś „stylową okupację umysłów nastolatków". Uważam, że jeśli coś jest dobre, to niezależnie od tego, jaki ma smak: funkowy, rockowy czy hardcore'owy, dotrze tam, gdzie powinno. Oczywiście skłamałbym mówiąc, że nie zależy mi na tym, żeby to się „dobrze sprzedało", ale nie jest to główny cel, który nam przyświeca podczas tworzenia.

Domel: Moim zdaniem chcesz, to bierz naszą produkcję. Nie interesuje nas, jaki rodzaj muzyki jest najbardziej popularny i jakich mamy najwięcej odbiorców, robimy muzykę, która nas najbardziej kręci. Jeżeli was zakręci, to dobrze, jeżeli nie, to nie będziemy płakać, a tym bardziej dopasowywać się do istniejących trendów.

Pytanie do Domela: czy pobyt w USA coś zmienił w twoim podejściu do muzyki?

Domel: Nie można powiedzieć, że zmienił coś w moim podejściu do samej muzyki. Na pewno powiększył mój zasób winylowych ciasteczek, przez co poznałem nowych i starych wyjadaczy.

Dla jednych słowo to tworzywo, które można sobie ciąć, giąć, dla zabawy formować w ciekawe kształty. Dla drugich słowo to groźna broń. Wy skłaniacie się raczej ku pierwszej definicji.

Domel: Nie całkiem, na płycie są różne kawałki, bo lubimy eksperymentować. Nie rozdzielałbym tych dwóch spraw, uważam, że można równocześnie bawić się słowem i przekazywać jakieś treści.

Decó: Lubię bawić się słowami i jak pocisnę dobry flow, to dopiero wtedy jestem zadowolony z numeru. Wydaje mi się jednak, że nawet, jeśli ktoś świetnie łamie słowa, ale rymuje kompletnie bez sensu, to nie za dobrze, z drugiej strony ktoś może mieć odwrotnie, świetne teksty, lipny flow. Ja staram się znaleźć złoty środek, lubię numery na konkretny temat, takie „wkrętki". Co do „groźnej broni", to raczej rzadko mi się zdarza atakować kogoś personalnie, musi sobie na to zasłużyć:). Nie stronię jednak od ironizowania.

Styl jest ważnym pojęciem w każdym elemencie hip-hopu, u was pojawia się nawet w nazwie. To jednak często jedno ze słów-wytrychów. Jak wy go definiujecie?

Decó: Nasza nazwa powstała w czasie, kiedy na polskiej scenie b-boyingu niewiele osób przywiązywało uwagę do stylu, większość tancerzy chciała wykonywać najtrudniejsze w tym czasie triki. Chcieliśmy wyraźnie zaznaczyć, że jeśli chodzi o naszą działalność, to indywidualny styl jest dla nas podstawą. Każdy, kto pierwszy raz przesłucha „Powrót Do Przeszłości" przekona się, że ta muzyka ma swój styl. Dla jednych do dupy, dla innych tłusty, nieważne, ma swój styl. Jednym będzie przypominać De La Soul, innym Tribe, bo przecież każdy z nas ma swoje inspiracje, ale to śmierdzi jednak inaczej. Twój styl, to coś, co cię odróżnia od innych, zespół cech, które sprawiają, że jesteś rozpoznawalny na pierwszy rzut oka lub ucha. Można robić te same rzeczy, co inni, ale na swój sposób. To tak jak z chodzeniem, każdy się porusza w ten sposób, jednak niektórzy mają tak charakterystyczny chód, że są rozpoznawani z „dwóch kilometrów". Ciężko jest zdefiniować styl, kiedyś próbowałem to zrobić, teraz mam to gdzieś, albo się go ma, albo nie, to da się od razu wyczuć.

Domel: Styl to nasze życie, każdy z nas ma swój styl. Inspirujemy się innymi, ale nie upodabniamy się do nikogo.

„Bacik" może pójść w parze z „bicikiem", ale zastanawiam się Decó, jak godzisz go z tańczeniem?

Decó: Nie lubię robić dwóch rzeczy na raz, jak jest tańczenie to tańczenie, jak motanie to motanie, a nie spinka jak przed wyjazdem na olimpiadę. Nie uważam, że b-boying jest sportem i przez to, że tańczę, muszę sobie czegoś odmawiać. Poza tym jak jest coś do zrobienia, to raczej odstawiam „kluski", wolę mieć trzeźwy umysł, dopiero po robocie jest czas na relaks („musisz wiedzieć: z kim, gdzie i kiedy, mój drogi"). Temat zawsze jest obecny, jednym to pasuje innym nie, ja nie lubię przesadzać, jednak zdecydowanie nie należę do abstynentów. Najlepiej wspominam zmotane fristajle w kółkach, na licznych afterparty po różnych b. boy jamach. Uwierz, że wtedy jest naprawdę ostra jazda, bacik z bicikiem i buciki latają, że heeeeeej:). Zresztą wiedzą ci, co widzieli nieraz. Gorzej znoszę szlugi, co zresztą słychać na płycie.

Biały: Tańczenie po baciku jest fajne, kurwa jego mać, i najbardziej freeeestyyle'owe!

Domel: Bo uwalniasz swoje myśli, nie chodzi tutaj o zmęczenie się powerem, chodzi o luz psychiczny, jaki wywołuje bacik, szczególnie z dobrymi znajomymi:).

Myśląc o zespołach łączących taniec z rymowaniem, od razu myślę o Sile Dźwięku, w której składzie jest słynny ostatnimi czasy za sprawą swojego b-boyingu Kwiatek. Możliwy jest wspólny kawałek?

Decó: Jasne, znamy się z chłopakami od czasów wymienionego wyżej „polskiego old schoolu", kiedy Kfiat mieszkał jeszcze w Koszalinie. Wspólne tematy, imprezy, szacunek zawsze sto procent. Notabene jeden z wokali na płytę nagraliśmy u Spajka (Funkkrok pozdrr). Właściwie to już nagraliśmy wspólny kawałek, hahaha, jak dobrze się przysłuchasz to w „Szlugach" usłyszysz Spajka, dograł tam jedną kwestię:). Wstępnie ugadaliśmy się na jakąś nagrywkę, wspólny kawałek wcześniej czy później jest po prostu nieunikniony.

Domel: Nigdy nie mówimy nigdy. Słynny dzięki b-boyingowi jest również np. Mr Wiggless, zaczynał właśnie od rymowania i jest w tym bardzo dobry.

Na koniec jedno z pytań, które wypada zadawać tylko do kwietniowego numeru. Najzabawniejszy dowcip, jaki udało się wam komuś zrobić.

Domel: Nie przypominam sobie.

Decó: Odkąd pamiętam, a znamy się w większości od ponad dziesięciu lat, to zawsze robiliśmy jakieś jaja, więc 1 kwietnia nie jest dla nas jakąś szczególną okazją do „wkręcania".

thought riot

pozytywni, polityczni, potężni



Na wydziale politycznego punk rocka uniwersytetu amerykańskiego undergroundu, Thought Riot należy do grona prymusów. Dwa pełnometrażowe albumy, „Shattered Mirror Syndrome" i „Sketches of Undying Will" zaprocentowały ogromną popularnością kalifornijskiego kwintetu, powoli przygotowującego się do nagrania kolejnej płyty. Ironia losu sprawiła, że wywiad, w którym wokalista Thought Riot, Marc podzielił się ze mną swoimi przemyśleniami na różne tematy, przypadł na dzień zaprzysiężenia George'a Busha na drugą kadencję prezydentury. Nie był to szczęśliwy dzień dla mojego rozmówcy, dlatego też rozpocząłem naszą konwersację pozytywnym akcentem (no cóż, przynajmniej bardzo się starałem)

rozmawiał Sebastian Rerak

Dobrze wiedzieć, że po wyborach prezydenckich nie rozwiązaliście zespołu i nie wyemigrowaliście do Kanady. Czy reelekcja George'a W. była dla was źródłem frustracji czy bodźcem do działania?
Jednym i drugim. Żywiliśmy wielką nadzieję, że tym razem on nie wygra, m.in. za sprawą wysiłków grup aktywistów. Zwycięstwo Busha zdruzgotało nas. Byłem wściekły i przybity przez kilka kolejnych dni po 2 listopada. Spędzałem czas, snując się po Internecie w poszukiwaniu słów otuchy i znalazłem ich więcej niż potrzebowałem. Myślę, że tak jak większość, podjąłem zdecydowany wysiłek, aby przekierować swoją emocjonalną energię z rozpaczy, poprzez gniew i wściekłość, w działanie. Mimo to, szczerze sympatyzuję z wszystkimi Amerykanami, którzy odwiedzili witrynę internetową Kanady, ustanawiając zresztą rekord odwiedzin.

Na czym aktualnie skupia się Thought Riot? Czy planujecie jakieś nagrania w najbliższej przyszłości?
Właśnie teraz piszemy nowy materiał. Zamierzamy nagrać płytę pod koniec tego roku i wydać gotowy album tak szybko, jak to będzie możliwe. Mamy już gotowe dziesięć piosenek i ok. piętnastu kolejnych do opracowania. Teksty rozwijają się za muzyką, więc trwa to nieco dłużej. Kiedy pozbieramy wszystkie pomysły, planujemy zacząć nagrywać demówki tego, co już przygotowaliśmy. Rok 2005 upłynie nam na komponowaniu i koncertach, a na finiszu odwiedzimy studio nagrań.

Odnoszę wrażenie, że kolejne wydawnictwa Thought Riot są częścią większego cyklu. Każde z nich sprawia wrażenie kolejnej odsłony rozwijającej się serii waszych rozważań na bieżące tematy.
To celna obserwacja. Muzycy i artyści przejawiają tendencję, by skupiać się na tym, co ich emocjonuje, w naszym przypadku są to kwestie społeczne i wydarzenia na świecie. Staramy się nie poruszać po raz kolejny tematów generalnie oklepanych na śmierć, zarówno przez nas jak i inne zespoły, a więc szczęśliwie można odczuć różnicę pomiędzy każdym z naszych dwóch albumów, a także nadchodzącym trzecim.

Na swojej stronie www zamieściliście zbiór esejów różnych autorów, m.in. Vonneguta i Noama Chomsky'ego. Czy rozważałeś napisanie własnego eseju, czy może uważasz punkrockową piosenkę za idealną formę wyrażania poglądów?
Punkrockowa piosenka nie jest idealnym sposobem wyrażania myśli – jest bardzo krótką, ograniczoną czasowo, wymagającą formą przekazywania przemyśleń. Deklarowałem przyjaciołom, że napiszę coś samemu, najlepiej jakieś felietony, ale nigdy nie wygospodarowałem dość czasu, by to zrobić. Zbyt wiele czasu absorbuje mi miłość, muzyka, przyjaciele, rodzina i praca, więc nigdy nie zabrałem się za esej. Tak przy okazji, nasz basista Mike napisał esej „Why You Should Eat Meat... WTF?", który znalazł się na stronie.

Jakie znaczenie zawiera nazwa Thought Riot?
Za nazwą stoi idea, że życie jest chaotycznym nieładem złożonym ze zbieżnych, rozchodzących się, analogicznych i sprzecznych myśli, uczuć, nastrojów etc., a wszystko to mieści się w zaledwie jednej osobie, nie mówimy o całej populacji ludzkości. Nie istnieją obiektywne standardy wartości, co czyni życie długą walką ostatecznych arbitralnych systemów moralnych i ideałów, podkopujących inne.

Thought Riot był jednym z zespołów biorących udział w kompilacji „Rock Against Bush". Czy chcieliście w ten sposób poczynić jakąś konkretną deklarację czy po prostu dołączyliście do pozostałych grup?
Zdecydowanie chcieliśmy być częścią sprawy, by nie pozwolić Bushowi na kolejne cztery lata rządów. Od czasu jego elekcji, staraliśmy się przyczynić do tego celu poprzez koncerty i stronę internetową. Udział w tej kompilacji pomógł nam dotrzeć do szerokiej publiki, ale bycie częścią tak ambitnego przedsięwzięcia samo w sobie było naprawdę ekscytujące.

Wypuściliście także koszulki z napisem „Bush is a fucking idiot". Domyślam się, że dla wielu obywateli USA było to niemal bluźnierstwo. Czy mieliście jakieś problemy z powodu tych koszulek?
Jedyny problem, jaki mieliśmy, to fakt, że koszulki w ogóle się nie sprzedają. Dzieciaki nie chcą kupić koszulki ze słowem „fuck", ponieważ rodzice będą sprawiać im kłopoty albo nie będą mogły pójść w niej do szkoły, etc. No cóż, moim zdaniem to zabawna koszulka.

W jednej z piosenek śpiewasz, że głosowałeś na Ralpha Nadera. Co sądzisz o Naderze teraz, kiedy nawet jego przyjaciel, Michael Moore, twierdzi, że stracił on poczucie rzeczywistości (mimo że wciąż daje świetne przemówienia)?
Pochwalam Nadera za start w wyborach 2004. Ludzie powinni poznać jego poglądy na temat aktualnego krajobrazu politycznego. Głosy nie są przesądzone z góry, a obywatele mają prawo głosować na kogokolwiek, kto ich zdaniem będzie najlepszym prezydentem. Obawa, że Nader odbiera głosy demokratom jest sposobem piętnowania symptomów, a nie faktycznego problemu. Dlaczego ktoś miałby wybrać Nadera, a nie kandydata demokratów? Demokraci wydają się niechętni, by poruszać tego rodzaju szersze problemy, więc po prostu obwiniają ludzi za odsunięcie się od platformy Partii Demokratycznej.

W ciągu ostatnich kilku lat, na scenie punkowej obrodziło wieloma świetnymi, młodymi, politycznie zaangażowanymi zespołami – dość wymienić Thought Riot, Strike Anywhere czy Rise Against. Czy twoim zdaniem można mówić o „Nowym Punku"?
Ludzie zaangażowani w te nowsze zespoły należeli także do nieco starszych grup, takich jak Inquisition i 88 Fingers Louie, a więc nie są one znowu aż tak bardzo nowe. Co do nas, wciąż kultywujemy te same undergroundowe wartości osobistej wolności i indywidualności, które zespoły takie jak Crass, Dead Kennedys i Bad Religion głosiły już dekady temu.

Podobno wymarzona trasa koncertowa Thought Riot miałaby się być odbyć u boku Bad Religion.
Bad Religion jest wspaniałym zespołem, a okazja, by zabawić się w towarzystwie ludzi, którzy nas inspirowali, byłaby czymś niezwykłym.

Dużo uwagi poświęcacie w swoich tekstach roli korporacji we współczesnym świecie. Czy uważasz, że widmo Wielkiego Brata przybrało postać wielkiego koncernu?
Myślę, że to dosyć akuratne porównanie. Korporacje w praktyce dbają bardziej o wyspecjalizowane formacje biznesowe, niż o prawdziwych ludzi. Ani jedna korporacja nie może dziś zadeklarować, iż prowadzi zrównoważone interesy. Koncerny nigdy nie zwracają otoczeniu tego, co z niego czerpią. To pokazuje rażące zaniedbanie wobec przyszłych pokoleń, podobnie jak i tych aktualnie żyjących. Dla bardziej głębokiej perspektywy spojrzenia na korporacyjne twory, polecam film „The Corporation". To znakomity dokument, poruszający wiele zagadnień.

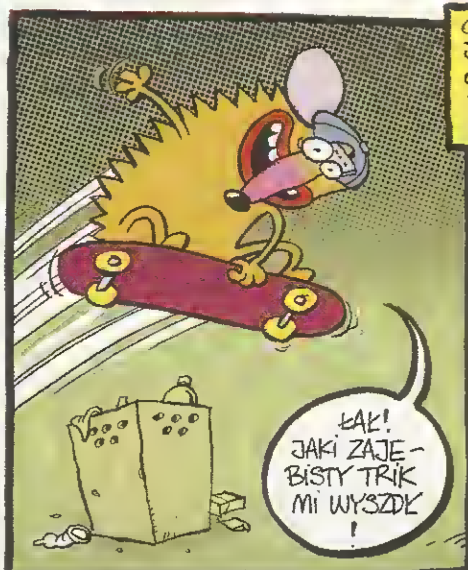
Czym zajmujesz się poza zespołem?
Uczę w zastępstwie, aby spłacić rachunki. Mam też mnóstwo różnych zainteresowań i zajęć, które pochłaniają mój czas.

Książki i filmy godne polecenia?
Dokumenty: „Outfoxed", „The Corporation", „Control Room", „The Weather Underground". Książki: „No Logo", „Fast Food Nation", „The Best Democracy Money Can Buy".

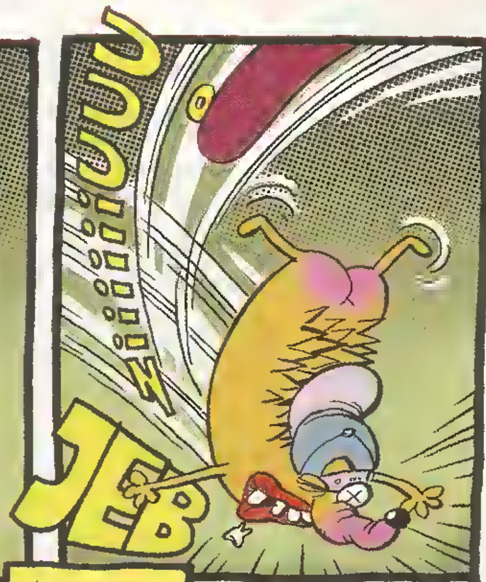
Motto Thought Riot brzmi: „Pobudzeni przez muzykę, miłość i życie". Czy zatem punk jest dobrym sposobem, by uniknąć stania się cynicznym lub apatycznym?
Sądzę, że to dobry sposób, choć są oczywiście i tacy, którzy mogą stać się cyniczni lub apatyczni poprzez punk. Cynizm i apatia mają miejsce tak w mainstreamie, jak i w undergroundzie. Ale jeśli szukasz nadziei i aktywizmu, na pewno znajdziesz je w punku.

JEŻ JERZY

txt: Rafał Skarżycki   gfx: Tomasz Lew Leśniak

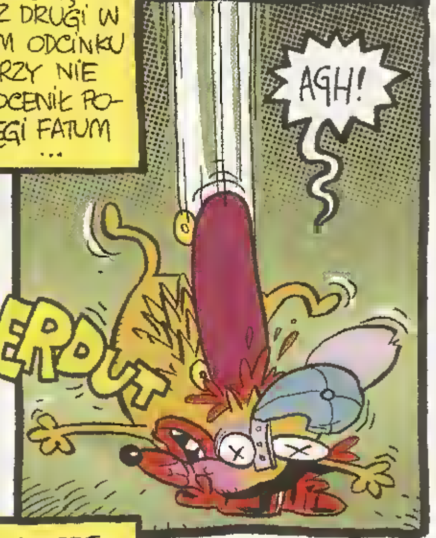
















NIE PODDALI SIĘ JEDNAK

I JAK? DOBRE, CO?

CZY JA WIEM? I CO TERAZ? BĘDZIE TAK LEŻAŁ?

DOKŁADNIE! WYOBRAŹ SOBIE JAKI TO DAJE POTENCJAŁ! WYSTARCZY TYLKO ZATRUDNIĆ LEKARZY Z „NA DOBRE I NA ZŁE", POWIADOMIĆ JEGO WROGÓW I MAMY SAMOGRAJ NA NAJBLIŻSZE 10 LAT!

WIZJA SCENARZYSTY SZYBKO ZAWŁADNĘŁA UMYSŁEM RYSOWNIKA...

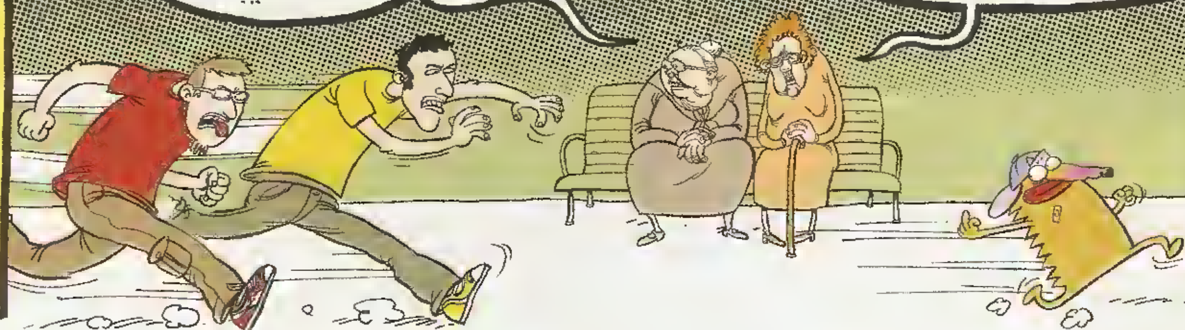
GENIALNE!

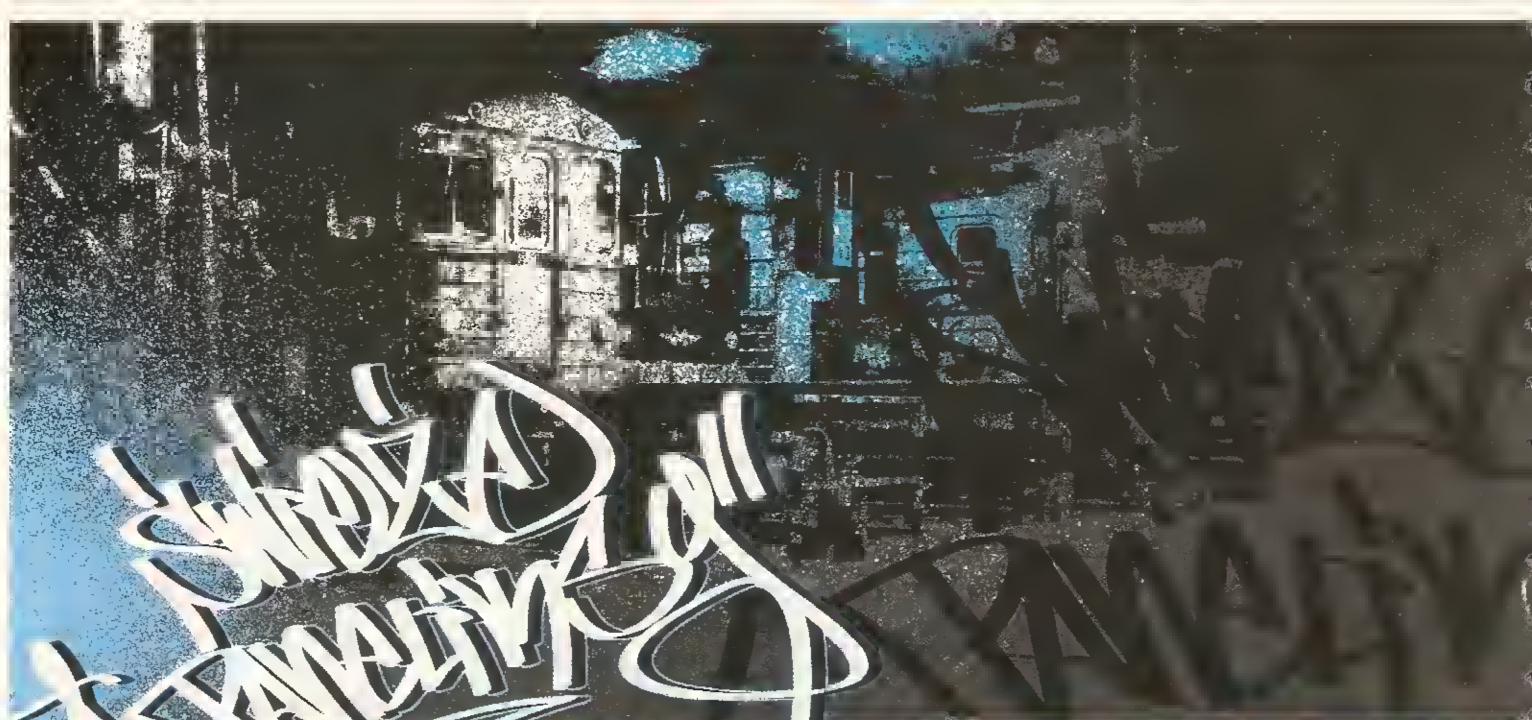
NIESTETY, WIZJA TA ZOSTAŁA ZNISZCZONA W MGNIENIU OKA...

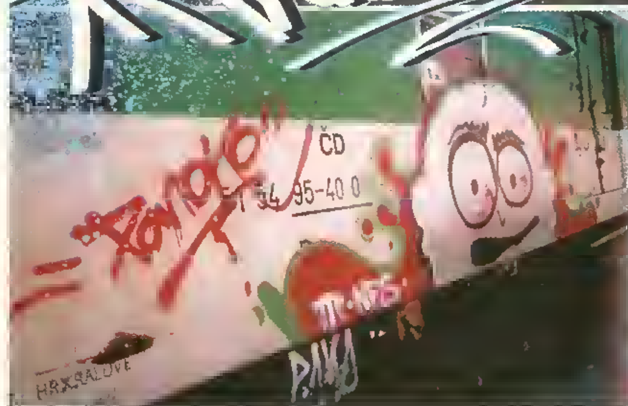
KUFA! CHŁOPAKI, CO JEST GRANE?

...CHOĆ AUTORZY NIE CHCIELI SIĘ ŁATWO PODDAWAĆ...

BRAĆ GO! NIE MOŻE NAM UMKNĄĆ!




Świeże Paneliksy


ČD











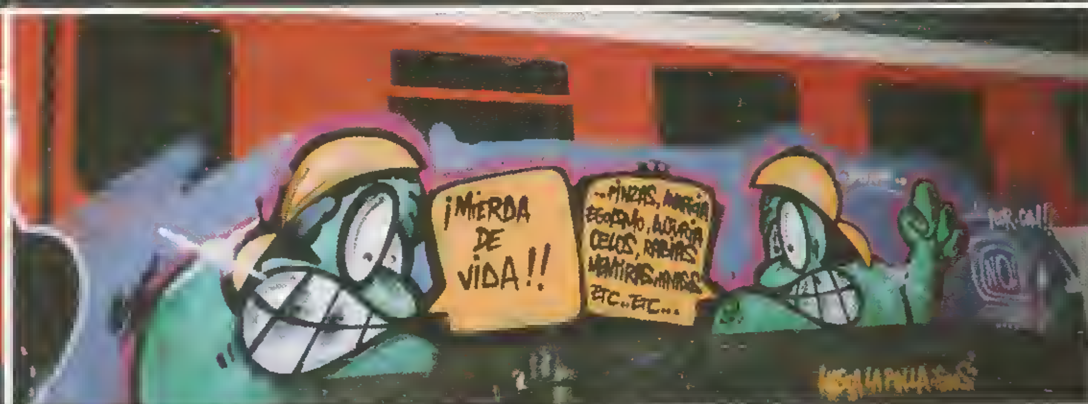






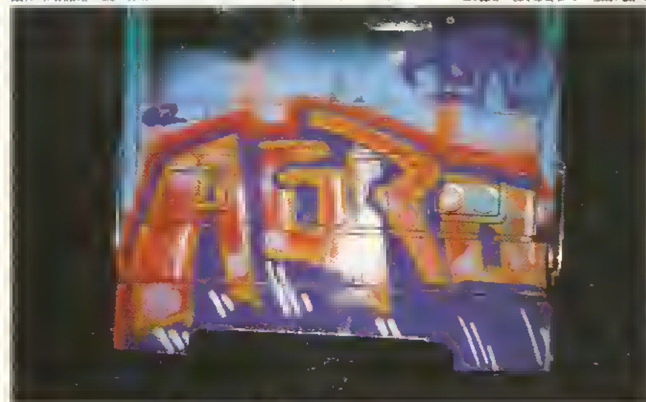






ŻE PANELIKSY ŚWIEŻE PANELIKSY ŚWIEŻE PANELIKSY ŚWIEŻE PAN





















PANELIKSY ŚWIEŻE PANELIKSY ŚWIEŻE PANELIKSY ŚWIE

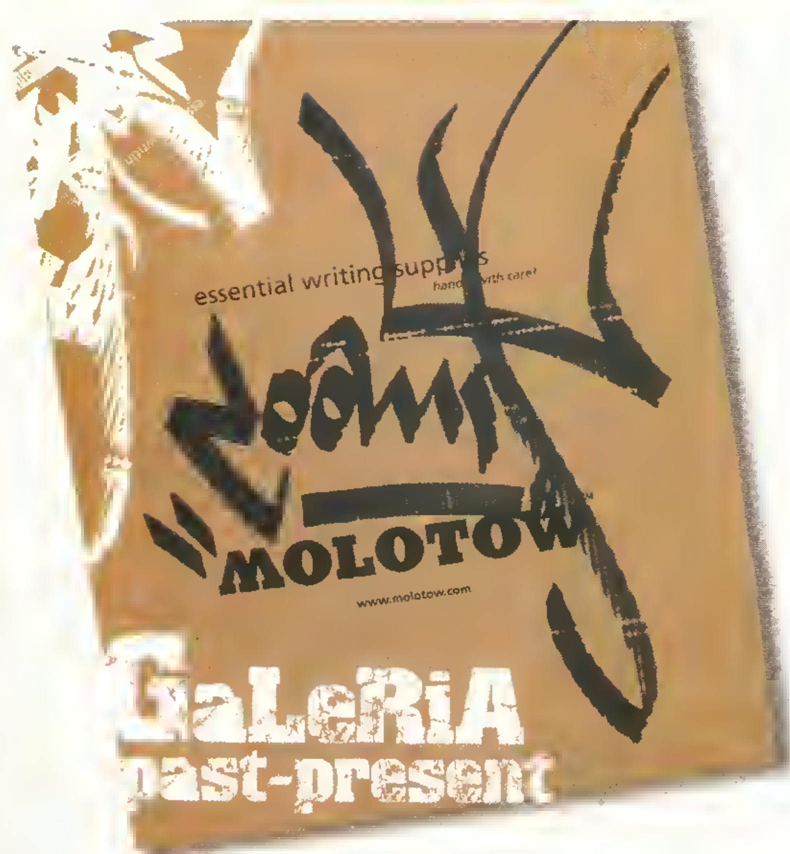








ŻE PANELIKSY ŚWIEŻE PANELIKSY ŚWIEŻE PANELIKSY ŚWIEŻE PANELIKSY ŚWIEŻE







Galeria K31 prezentuje: LOOMIT – Past&Present.

Jesteśmy w południowo-zachodnich Niemczech, tak daleko, że komórka łapie sygnał francuskiego operatora. Ciche i nudne miasteczko Lahr, gości jednego z najdłużej malujących writerów w Europie - LOOMITa. Oczywiście również jego prace.

Galeria K31 jeszcze niedawno była zniszczoną ruderą. Wyremontowana i odnowiona przez Molotowa stała się przypuszczalnie jedyną galerią na świecie, w której wystawiają swe prace wyłącznie writerzy. Nikt się tu nigdzie nie spieszy, a pośrodku głównej sali stoi... stół do ping-ponga, na którym zawsze można popykać.
Na górze schodów, w składziku, wpadamy na spiętrzone płótna TOASTa, OS GEMEOS i DAIMA. Na dole trwa wernisaż. Ale wiele z przestrzennych, malowanych miękką kreską płócien LOOMITA nie jest nowych. Część z nich pochodzi sprzed kilku lat. We wnętrzach galerii K31 Przeszłość i Teraźniejszość mieszają się z zapachem farb, tworząc niepowtarzalny klimat...
Warto odwiedzić Lahr.



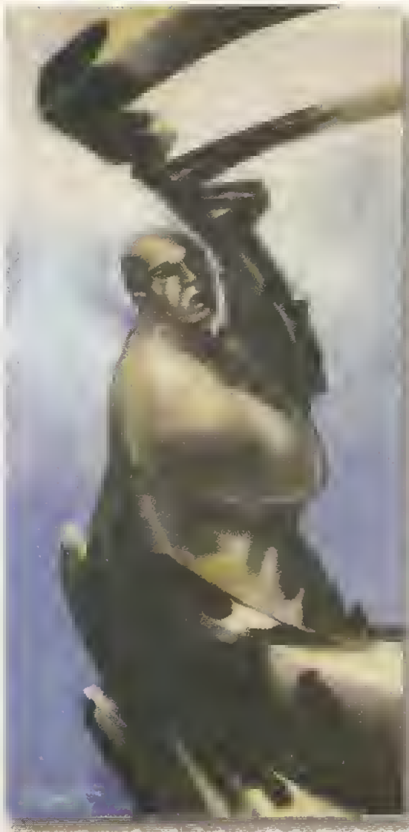
















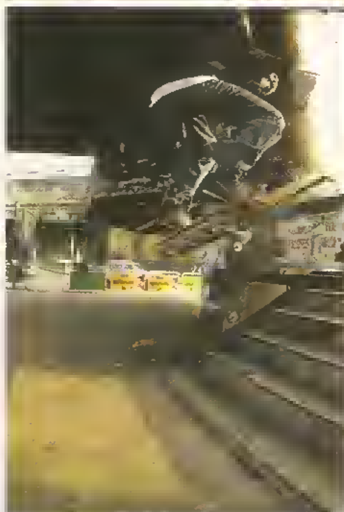


C175
CHROM SPORT
www.chrom.com.pl
GDaNSk
ul.wajdeloty10
ul.rajska12
GDYNIA
ul.swietojanska112
ELBlAG
ul.Hetmanska 11/14
WARSZAWA
metro ratusz
box4 i box12
rondo jazdy
polskiej box19
KATOWICE ul.stawowa3 i 7 KRAKOWul.slawkowska20
sprzedaz hurtowa 032 111 66 73
CHRZANOW ul.29 listopada 8

trick miesiąca

Krzysiek Stasik ollie backside
foto: Gabor Nagy
Budapeszt










total chaos

toy story

czyli o stylu słów kilka...

To, że skateboarding nie jest sportem wie każdy, kto jeździ na deskorolce. Świadczy o tym wiele niepodważalnych dowodów, o których dzisiaj mówić nie będę, bo na temat ten napisano już setki artykułów i musiałbym powtarzać oczywiste komunały.

Istnieje bardzo wiele osób, które przyrównują skateboarding do sztuki, według nich skateboarderzy są twórcami prawdziwych dzieł. Szczerze mówiąc patrząc na niektóre przejazdy w filmach amerykańskich przyznaję im rację. Na potwierdzenie tej tezy (skateboarding jako element sztuki) również można by przytoczyć wiele argumentów (mniej lub bardziej sensownych), ale chyba najbardziej przekonującym mnie jest to, że deskorolkowcy, podobnie jak malarze, rzeźbiarze czy piosenkarze, mają swój niepowtarzalny styl.

W tej chwili tym, co odróżnia od siebie współczesnych nam profesjonalistów, nie jest poziom jazdy, lecz właśnie styl. Nie można przecież powiedzieć czy lepszym skaterem jest np. Tony Trujillo czy Mark Apleyard. Można natomiast śmiało powiedzieć, czyj styl jazdy bardziej się podoba. W wielu magazynach poświęconych skateboardingowi próbowano zdefiniować pojęcie „stylu jazdy". Z reguły wypowiadali się na ten temat profesjonalni skaterzy i wszyscy zgodnym chórem stwierdzili, że nie ma na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Składa się na niego zbyt wiele elementów, dla każdej osoby liczy się co innego. Mają na to wpływ takie rzeczy jak: sposób odpychania, płynność i lekkość wykonywania trików, osobowość skatera, miejscówki, na jakich jeździ skater – słowem wszystko to, z czym związany jest skateboarding. Najwspanialsze w tym wszystkim jest to, że taki sam trik można zrobić na milion sposobów, czasem nawet najprostsze triki takie jak ollie czy 50/50 grind zrobione w specjalny sposób stają się czymś wyjątkowym. Są przecież osoby, które nie robią trudnych, kombinowanych numerów, ale mimo to cały czas pozostają w gronie topowych prosów. Takie osoby jak Keith Hufnagel, Mark Gonzales, Gino Ianucci dawno by zaginęły w niepamięci razem ze swoimi czasami, gdyby nie ich niebanalne style jazdy.

Dziwne się wydaje, że pojęcie stylu funkcjonuje dopiero od lat dziewięćdziesiątych. Wcześniej, gdy nie było tak wielu skaterów, nie liczyła się tak bardzo indywidualność, ważne były tylko nowe triki. Z czasem, gdy skaterzy opamiętali się w wymyślaniu coraz to nowych sztuczek, zaczęli myśleć o jak najładniejszym ich wykonywaniu. Dzięki takim osobom jak: Jason Lee, Mark Gonzales czy Tommy Guerrero skaterzy stwierdzili, że deskorolkę można nie tylko uprawiać, ale także się nią zachwycać. Coraz większą uwagę zaczęto przykładać nie tylko do trudności swoich dokonań, ale także sposobu wykonania trików. Pierwszym wielkim „stylowcem" okrzyknięty został nie bez powodu Jason Lee. Był to człowiek, który nie tylko jeździł bardzo elegancko, ale także był osobą, która wynosiła skateboarding na wyższy level. Popularność Jasona sprawiła, że znalazł on wielu naśladowców, w tej chwili nikt nie wyobraża sobie czołowego profesjonalisty bez wyrazistego stylu. To dzięki niemu są kojarzeni na świecie, w chwili, gdy kilkudziesięciu kolesi robi backside lipslide na hand railu, zapamiętujemy trik tylko wtedy, gdy wykonanie nam się podoba.

Zauważcie, że w poziom jazdy wśród profesjonalistów jest bardzo wyrównany, nie powstają już przełomowe filmy, niewykonalne już jest takie zamieszanie, jakie towarzyszyło wydaniu filmu „Qustionable" Plan B. Śmiało więc można powiedzieć, że styl odgrywa teraz najważniejszą rolę w skateboardingu. Żeby czymś się wyróżnić nie wystarczy już napierdalać triki, trzeba posiadać „to coś".

Jednak na styl jazdy zdecydowanie nie składa się ostatnio bardzo popularny „wizerunek skatera", czyli jego image. To dosyć przykre zjawisko powstało na skutek komercjalizacji deskorolki. Okazało się, że „rynek" wymaga określonych rodzajów skaterów, dlatego, gdy nagle zaczęła być popularna muzyka gitarowa, co drugi skateboarder stał się punkiem. Pojęcie stylu jazdy zaczęto mylić ze sposobem ubierania jeżdżących ludzi, tak jest również u nas w Polsce, czego dowodem są liczne wojny internetowe. Cóż, zjawisko to jest przykre, ale niestety trzeba się z tym pogodzić...

Wróćmy jednak do tematu głównego. Tak duża ilość różnych styli doprowadziła do bardzo pozytywnej sprawy. Do tego, że nigdy nie dojdzie do czegoś, co ma miejsce w przypadku sportów, czyli jednego sposobu robienia ewolucji. Przykład – jak każą skakać z telemarkiem, Małysz zapierdala telemarkiem, jak trzeba się ścigać w wodzie kraulem, to wszyscy to robią. Nie wyobrażam sobie, by jakiś skateboarder posłuchał, gdyby ktoś kazał mu robić ollie z takim, a nie innym ugięciem kolan.

Pomimo tego, że styl jest bardzo ważną sprawą, nigdy nie wystąpi on bez żadnych umiejętności. Jedno wypływa z drugiego, można być dobrym skaterem, który jeździ dobrze, ale nigdy stylowcem bez żadnych skillsów.

tOi Oi

SPROSTOWANIE

Przepraszamy Tomka Rokickiego za nieumyślnego jackassa. Wyjątkowo wredny chochlik komputerowy wdarł się do tekstu Sławka Siagło o skaterach – didżejach. Panowie, przepraszamy.

Redakcja

Lik Dik „Yelonek"



Na ten film czekał cały polski światek snowboardowy. Jak do tej pory tego typu produkcji w Polsce nie było (nie liczymy przecież domowych demówek czy pewnego nieporozumienia, które ukazało się kilka lat temu). To, co zostało nam zaprezentowane pod szyldem „Yelonek", wynagradza jednak tak długi okres oczekiwania. Występują w nim największe nazwiska sceny polskiej, takie jak: Sąsiadek, Pająk, Honcz itp.

Na przekór obecnej modzie nie jest to video jibbingowe, tylko klasyczny, pełen górskich pejzaży filmik. Nie można powiedzieć jednak, żeby brakowało tam numerów na poręczach, fakt, że streetówek jest tam mało (głównie robi je Wojtek Pająk i Targosz), ale jest spora dawka rurek ze snowparku. Dominują jednak loty i to całkiem niezłe. Jeśli chodzi o triki, to jednak najbardziej zaskoczył (i jednocześnie zajarał) mnie jako skejcika varial heelflip na banku Marka Sąsiadka, którego nie podejrzewałem o coś takiego. Widać, że nasz olimpijczyk odrabia lekcje również i z deskorolki. Najbardziej podobał mi się przejazd Kamela, którego styl bardzo lubię. Jego część jest bardzo różnorodna i wszechstronna.

Dużym plusem jest mała ilość jeżdżących. Widać, że chłopaki dokonali ostrej selekcji trików, co mocno podniosło poziom filmu, na szczęście nie ma w nim nieczystych boardów na zjebanych boksach itp. Filmik naprawdę spoko. tOi Oi

Real „Roll forever"



„Zajebisty styl nie musi być koniecznie miękki i super czysty" – to są słowa Darrela Stantona, które powiedział w czasie wywiadu dla Slapa. Tymi słowami kieruje się cały team Reala. Każdy z jego członków charakteryzuje się bardzo wyraźnym i rozpoznawalnym sposobem jazdy. Jest to zbieranina kolesi reprezentujących bardzo różne szkoły skateboardingu, ale posiadających jedną wspólną cechę – zajebisty styl.

Sama produkcja jest też majstersztykiem, montaż jest bardzo wyważony, nie ma przegięć w żadną stronę, a na dodatek film jest ozdobiony klimatyczną grafiką, która przenosi nas do świata deskorolki rodem z San Fransisco. Każdy przejazd w tym filmie jest godny polecenia, od Maksa Shaala do Darrela, w całej produkcji nie ma kiepskiego triku.

Rewelacją i odkryciem „Roll forever" jest Ernie Torres, mały pokurcz, który niejednego wysokiego skatera może wprawić w kompleksy. Mistrzem jest też stary harpagan Peter Ramondetta, który nie boi się niczego. Film jest prawdziwym kozakiem, zarówno dla „hotta ziomów" jak i dla „brudasów". tOi Oi

Think „Ithink"



Ta produkcja świadczy o tym, że firma Think nie zamierza się poddać napływowi nowych brandów. Szefowie odświeżyli mocno team, zerwali ze starym, tirowym image i dzięki temu mamy możliwość oglądania całkiem niezłego filmu, w którym występują raczej nieznane nazwiska. Nawet dwaj prosi Think (Fuenzalida i Nunn) nie są strasznie rozpoznawalni i pozostają w cieniu. Nie wiadomo więc, czego można było się spodziewać po tym filmie przed obejrzeniem. Zawartość produkcji jednak jest bardzo dobra. Film rozkręca się z przejazdu na przejazd. Rozpoczyna Darryl Angel z soczystą dawką trików na każdym terenie, a każdy jego następca pokazuje równie dobry materiał.

Bezapelacyjnym szefem tego video jest Danny Fuenzalida. Mimo że, jak wspomniałem, nie pojawia się w każdym Transworldzie, to robi takie triki, że wielu się może schować. Ten film na pewno przywróci zajawkę na Think! pc skate

Blind „What if"



Blind był kiedyś jedną z ważniejszych firm w deskorolkowym biznesie. Marka zawdzięczała swoją pozycję zajebistemu teamowi i klimatowi wokół niego stworzonemu. Ich pierwszy film, „Video days", dzięki chorym trikom Gonzalesa i Lee stał się od razu kultowy. Później po latach tłustych nadeszły chude i o firmie słuch zaginął. Film „What if" jest próbą powrotu po latach. Nowy team Blind, w skład którego weszła plejada młodych talentów plus starzy wyjadacze, nagrał całkiem dobry materiał. Każdy z nich ma naprawdę treściwe przejazdy, bardzo pozytywną rzeczą jest to, że nie są one za długie. Przed montażem przeprowadzono chyba ostrą selekcję materiału, bo pozostawiono same konkrety. Przejazdy Granta Pattersona, Aarona Artisa, Carlosa Ruiza czy Jake'a Duncombe'a ogląda się jednym tchem. Nie zawiódł też mistrz prędkości Markovich, nadal jest niedościgniony pomimo upływu lat. Szokiem jest na pewno to, co nagrał rampiarz Jake Brown, przeniósł triki streetowe na rampę, warto sprawdzić, na jaką wysokość robi sztuczki na ogromnym banku na rampie Danny Waya, czy ogromny heel boardslide na słynnej skoczni również Danny Waya. Ostatni przejazd należy do filaru firmy, gościa, który jest w niej na dobre i złe – Ronnie'ego Creagera. Przez cały okres niebytności w skate mediach wcale nie stracił swojego poziomu. Pokazał całą gamę nowych trików. Wrażenie z bardzo dobrych numerów psuje nieco grafika, adresowana zdecydowanie dla młodszych widzów. tOi Oi

Fisheye #2



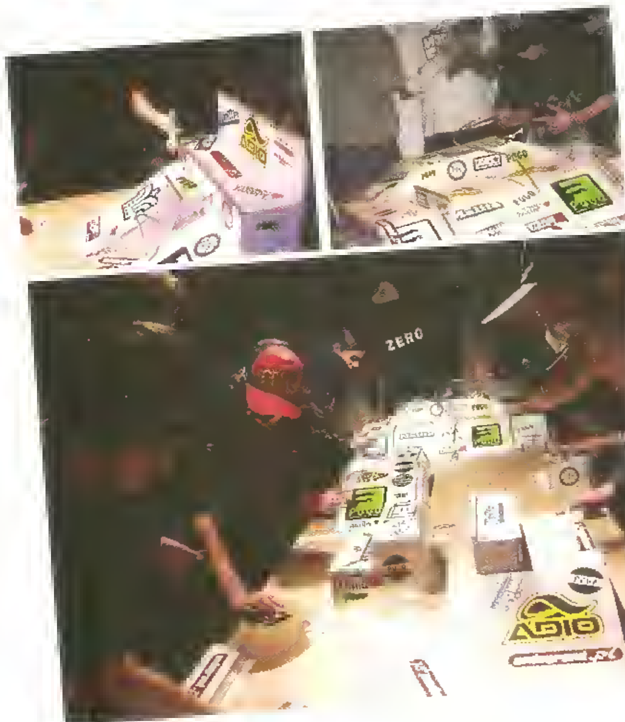
Po dosyć krótkim jak na polskie realia okresie oczekiwania wreszcie doczekaliśmy się drugiego numeru tego magazynu video. Po dość kontrowersyjnej części pierwszej kontynuacja jest o niebo lepsza. Większość denerwujących motywów z „jedynki" usunięto i dzięki temu powstało całkiem porządne polskie skate video. Co tam można zobaczyć? Jak zwykle mamy Remix, a w nim m.in. Pawła Krężela, Michała Jurasia i reprezentantów armii Pogo. Kamery Fisheye były na dwóch wakacyjnych wyjazdach, dzięki temu możemy zobaczyć co działo się podczas tourów: Corloz/Lando i Kamuflage. Materiały te zmontowane są w bardzo wakacyjno – letniskowej atmosferze, klimat podkreśla szczególnie muzyka w sekcji Kamuflage (kawałek ten to popularna „szesnasteczka", czyli hit wycieczki). Dla kibiców skateboardingowych kontestów również jest co nieco, najpierw Monster Mastership z Dortmundu z całą plejadą amerykańskich prosów, a później druga odsłona zawodów Mentora. Na koniec pozostała najlepsza część filmu – przejazd Amadeusza Kraja z Opola. Siła jego kawałka tkwi w poręczach, które robi nie znający strachu Kraju. Szkoda tylko, że brakuje tam najlepszego triku, czyli bs. lipslide na railu w Opolu, który został źle nagrany i dlatego wylądował po napisach. tOi Oi



eric_**koston**

the team is_**the best part**

fingerboardy
Mentor Fingerboard Session 4



Powoli tracę rachubę, które to już zawody pod sztandarem Mentor Fingerboard Session, lecz pod jaką cyfrą one się nie odbywały, zawsze można tam spotkać tłum młodzieży, wściekle wymachującej paluszkami i da się tu zauważyć pewną prawidłowość. Im później zawody się odbywają, tym robią to wściekłej. W tej edycji na porządku dziennym były tricki na switch czy nollie flippy na f/s boardslide, widać, że chłopaki przez cały rok na lekcjach matematyki nie próżnują.

Zawody odbyły się w sposób jak najbardziej tradycyjny, nudne jednoprzejazdowe eliminacje, podczas których mniej utalentowani mieli okazję brutalnie się przekonać, że nie mają najmniejszych szans. Oraz finały, gdzie dziesięciu szczęśliwców i wymiataczy miało po dwa 45 sekundowe przejazdy. To właśnie podczas finału w powietrzu wyczuwalna była silna sportowa rywalizacja i pot tłumnie zebranej publiczności. Finaliści z niemalże całej Polski po krótkich dwuminutowych rozgrzewkach dawali z siebie wszystko i wykonywali karkołomne ewolucje, z rzadka dbając o własne zdrowie.

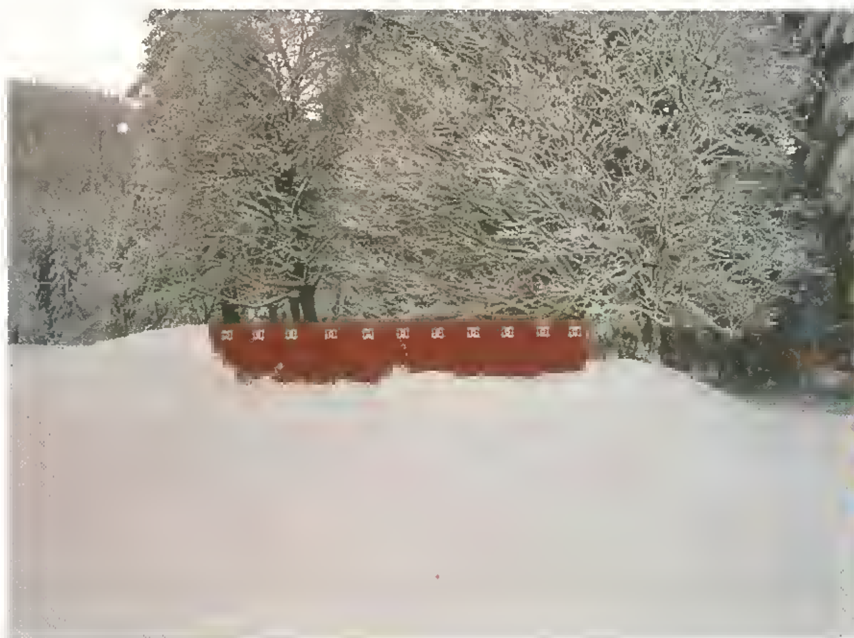
A uwierzcie mi, w finale sypało się i to ostro! Przejazdy były czyste i gęsto upstrzone technicznymi trickami, za które rozgrzana publiczność nagradzała gromkimi brawami. Niektórzy wyprawiali z małą deseczką rzeczy wręcz niemożliwe, jak backflipy i impasy, ale do tego muszę już się chyba przyzwyczaić, że cały świat pędzi do przodu, tylko ja zostaję daleko w tyle. Podczas ogłaszania wyników stała się rzecz niebywała, Przemek Bartkowiak z Torunia, wielokrotny triumfator prawie wszystkich imprez do tej pory, został zdetronizowany zajmując drugie miejsce, czyli po prostu przegrał. Zwycięskim przejazdem okazał się ten w wykonaniu Pawła Trojanowskiego z Radomia, to właśnie on okazał się tego dnia niepokonany. W cieniu nie pozostał Mateusz Kowalski (Toruń), który zajmując trzecie miejsce, zrobił z niesłychaną skutecznością wszystkie poręcze z nollie i switch, ale za to tracąc wiele na realizmie, który jest w fingerboardzie rzeczą niesłychanie ważną, przynajmniej dla deskorolkowych sędziów. Wszystkie przejazdy były kręcone i wyświetlane na telebimie, co dawało doskonały wgląd w sytuację nawet dla najdalej zgromadzonej publiczności, cierpliwie czekającej do ogłoszenia, jak zawsze sprawiedliwych wyników, podczas których organizator zaprosił wszystkich na tę prawdziwą, deskorolkową wersję Mentor Skateboarding Session.

Sławek S.

polska lista snowparków
Czarna Góra



Ekipa Transition 7 (Stachu, Szrek i dwa Konie) odpowiedzialna za snowparki o tej nazwie (Zieleniec i Sokołowsko), tym razem znalazła sobie trzecie miejsce na swój tor. Tym razem przeprowadzka odbyła się do miejscowości Czarna Góra. Znajdują się tam w tej chwili wszystkie sprzęty z Sokołowska plus kilka sekretnych przeszkód. Stok ten jest bardzo przyjazny snowboardowi i liczy sobie ok. 500 metrów. Wstęp do snowparku jest za friko, choć nie lubiący podchodzić pod górę o własnych siłach będą musieli wykupić karnety na wyciąg tzw. „talerzykowy". Park oferuje snowboardzistom następujące atrakcje: dwa proste boksy i jeden łamany, trzy proste, różnej długości raile, aframe, podwójnie łamaną poręcz oraz dwie skocznie. Zapraszamy!



newsy

Wiosna się zbliża a z nią nowe projekty oraz przetasowania. Została podjęta próba stworzenia następnej polskiej firmy zajmującej się produkcją deskorolek. Na razie znany jest tylko team i trzeba przyznać, że jest on bardzo mocny. Zaproszono do niego następujących graczy: Tomek Kotrych, Eryk Gaj, Karol Furmańczyk, Tomek Dworzak, Jacek Pawłowski i Dominik Włodarkiewicz. Zobaczymy, jak wyglądać będą produkty. Dystrybucja Altex wprowadziła na rynek polski kilka nowych marek i dzięki temu:

Eryk Gaj i **Tomek Kotrych** będą jeździć dla kółek Autobahn i trucków Venture. Karol Furmańczyk i Tomek Dworzak znaleźli się w polskim teamie Bones, a Jacek Pawłowski w Hubba Wheels.

Ukazał się drugi numer magazynu video **Eisheye**.

W **Cieszynie** odbędą się targi mody hiphopowej i sportów ekstremalnych. Impreza będzie trwała od 6 do 8 maja.

Wyniki zawodów snowboardowych:

W Białce Tatrzańskiej odbył się drugi w tym roku Jam Coolsportu

Wyniki:
1. Jakub Kamel Honcz
2. Jasiek Wolak
3. Adrian Kulis

W Bytomiu odbyły się zawody SnowLove

Wyniki:

Big air (panowie)
1. Marcin Kordek
2. Paweł Cichocki
3. Jakub Honcz

Big air (panie)
1. Iza Pająk

Big air (narty)
1. Staszek Karpiel

Best trick Marek Doniec

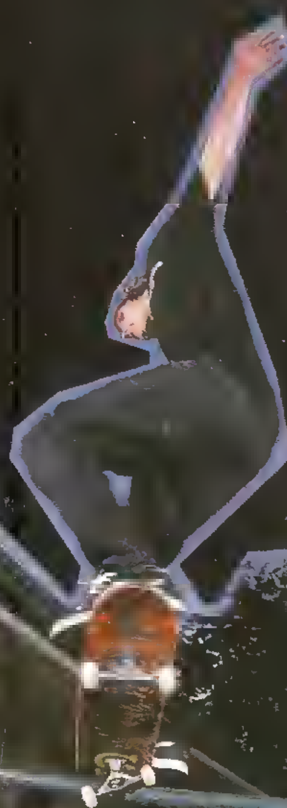
Jibbing snowboard
1. Kuba Dytkowski

Jibbing narty
1. Łukasz „Elvis" Lewandowski

total chaos


ADIO







Na zawodach [illegible]nęło się całe mnóstwo trików: flipy, slide'y, grindy. Paweł Krężel zdecydował się zrobić coś całkiem w nie swoim stylu, ale za to jak fajnie -wallride to fakie

pga skate contest
poznań game arena

O tym, że skateboarding i inne sporty ekstremalne nie są sprawą niszową, świadczy mnogość imprez, na które zapraszani są przedstawiciele tych dyscyplin. Moda na tego typu aktywność jest tak duża, że w tej chwili w wielu reklamach pojawiają się skaterzy czy bmx-owcy

tekst Pc skate
foto Wojtek Antonów/WZRR

Niestety jednak z reguły przedstawiciele dużych koncernów nie traktują poważnie tych zjawisk. Zwykle mają oni nadzieję na zgarnięcie kasy na reklamach swoich produktów, nie chcąc dawać w zamian nic. Jedyną nagrodą ma być satysfakcja z udziału w reklamie, programie telewizyjnym, etc. Pojawiają się jak grzyby po deszczu artykuły o tematyce „skateboarding", nawet w zdawałoby się poważnych tygodnikach, jak Polityka czy Wprost, które przejaskrawiają temat. Dla nich liczy się tylko zamieszanie i podjęcie tego modnego tematu. Poza tą medialną „wiochą" zdarzają się tu i ówdzie pozytywne strony komercjalizacji deskorolki. Jednym z takich przejawów dobrych posunięć było na pewno zorganizowanie zawodów deskorolkowych z okazji targów młodzieżowych w Poznaniu o nazwie Poznań Game Arena.

Była to olbrzymia impreza, na której przedstawiane były wszystkie propozycje z szeroko pojętego tematu rozrywki, od sportów ekstremalnych, przez paintball, do gier komputerowych. Jedną z takich podgrup był właśnie skateboarding i dzięki temu przez kilka dni w Poznaniu stał dość niezły skatepark, na którym odbyły się zawody. Szkoda tylko, że data kontestu deskorolkowego (piątek) nie była najszczęśliwsza, zabrakło wielu skaterów z Polski, ale nie można powiedzieć, że impreza nie była udana.

Ci, którzy przybyli tego dnia na zawody, zastali całkiem przyjemny tor. Nie było to co prawda coś na miarę Mystic Cup, ale jak na Polskę dawało radę i nie było powodów do narzekań. Rzekłbym, że raczej wszyscy byli zadowoleni, bo oprócz dobrego miejsca do jazdy, można było pogadać ze starymi znajomymi z innych miast, bądź popatrzeć na półnagie hostessy.

W skateparku – jak zwykle w takich sytuacjach – toczyła się bitwa z przeszkodami. Jak zwykle największą popularnością cieszyła się płaska rurka i murek z wybicia. Na tych dwóch rzeczach widzieliśmy najwięcej trików. Trzeba tutaj nadmienić, że do Poznania przybyło bardzo dużo młodych i nieznanych gości, którzy prezentowali całkiem przyzwoity poziom jazdy. O dziwo, nie dominowali, jeśli chodzi o ilość ludzi, gospodarze, gdyż przyjechało bardzo dużo ekip m.in. ze Sławy, Wschowy, Leszna, Częstochowy, Wrocławia i Warszawy. Wśród nowych twarzy najbardziej wyróżniał się Artur Sadowski, który rządził na railach. Jeśli myślicie, że sprawa skończyła się na najprostszych trikach, to jesteście w błędzie – kick flip fs.boardslide, sw.fs.boardslide, nollie fs.boardslid. Widać, że lubi on fs.board z różnymi kombinacjami.

Po długich godzinach treningów nastał wreszcie czas na rozpoczęcie zawodów. Najpierw rozegrano eliminacje. Zasady wyłonienia finalistów znacznie różniły się od typowych. Wszystkich zawodników podzielono na trzy grupy. Skaterzy nie startowali osobno, tylko w tych właśnie ekipach. Każdy z nich miał określoną ilość czasu, w trakcie którego wszyscy mogli pokazać się z jak najlepszej strony. Sędziowie wybrali z każdej grupy po trzech gości i tych dziewięciu skaterów dołączyło do rozstawionych wcześniej dziesięciu, którzy mieli finał zapewniony bez eliminacji (byli wśród nich m.in.: Stikorama, Karol Furmańczyk, Artur Wojtania, Jacek Pawłowski, Krzysiek Poskrobko).

Runda decydująca odbywała się już według klasycznych reguł – jeden zawodnik miał dwa przejazdy po 1,5 minuty. Tutaj niestety wyszedł brak skateparków w zimę. Tylko nielicznym wychodziły dobre triki. Mimo że większość na treningach i podczas eliminacji radziła sobie całkiem nieźle, teraz nie radziła sobie ze stresem i drżeniem kolan. Na szczęście było kilka miłych momentów, które osłodziły nieco widok finału. Każdy trik na dużym stole piknikowym wzbudzał owację. Niestety tylko dwóch skaterów ośmieliło się na nim próbować trików. Ci dwaj to znani już od wielu lat Kaczor i Stikorama. Ten pierwszy popisał się nose blunt slidem to fakie, a Patryk pokazał szkoleniowego croocked i kick flip 50/50.

Całkiem przyjemny przejazd miał małolat Dominik Jaskułka, który mimo że był prawie dwa razy mniejszy od reszty, to radził sobie całkiem, całkiem. W czasie przejazdów mylił się bardzo rzadko i dlatego mimo dość prostych trików uplasował się bardzo wysoko.

Zawiódł zwykle niezatrzymywalny docent Furman, czyli Karol Furmańczyk Bródno Beje, tym razem publika nie zobaczyła sekwencji składających się z kilkunastu trików. Karol pojechał dobrze, ale pozostał pewien niedosyt.

Nigdy nie widziałem, żeby jeden skater tak bardzo sobie upodobał jeden trik, tak jak to zrobił Leszno Rider Michał Wieczorek. Ten niepozorny, ale jeżdżący jak prawdziwy harpagan koleś od kilku lat był widziany jak próbował ollie transfer na lipslide. To, co nie udało się na Mentorze, teraz wyszło na Poznań Game Arena. Po kilku próbach Michał odjechał ten trik wśród braw publiczności.

Zwycięstwo w zawodach przypadło bezapelacyjnie Krzyśkowi Poskrobko, który w typowym dla siebie luzacko – olewackim stylu zrobił takie sekwencje trików, że publika prawie spadła z krzeseł. Wszystko, co zrobił, aż się prosiło o oklaski, Krzysiek po raz kolejny udowodnił że ma jeden z ładniejszych styli na świecie, a że dodał do tego całą masę trudnych trików, bezapelacyjnie znalazł się na pierwszym miejscu.

Te zawody będę wspominał bardzo miło, była to udana wyprawa do stolicy Wielkopolski. Pomimo wcześniejszych negatywnych reakcji, że „nie będzie to impreza z deskorolkowym klimatem" okazało się, że był to świetnie spędzony czas. Miejmy nadzieję, że podobne imprezy będą organizowane częściej, bo dzięki temu deskorolka może się bardziej rozwinąć.

Wyniki:
1) Krzysztof Poskrobko
2) Dominik Jaskółka
3) Karol Furmańczyk



Artur Kaczor Wojtania - nosegrind na piknic table nic dodać, nic ująć...


i am



Bartek Pochylski znalazł w w skateparku Godspeed to, czego brakuje polskim parkom. 360 flip to fakie na mini rampie.
foto Fabjan

sekwencja: Amadeusz Krajjest w stanie backside lipslide na każdym railu, niezależnie od wysokości.
foto Gabor Nagy

węgierskie mrozy
budapeszt 2005

Do tej pory Węgry kojarzyły mi się głównie z serialami dla młodzieży serwowanymi w czasach komunizmu. Nie zastanawiałem się więc, gdy zaproponowano mi udział w wycieczce do kraju telewizyjnych opowieści z mojego dzieciństwa

tekst ToiOi

Skład

Wyjazd zorganizowany został przez fotografa Gabora i Daniela Kankę z magazynu Fisheye. Do udziału zostały zaproszone teamy Pogo (Bartek Pochylski, Mikołaj Baranowski, Adam Przybysławski, Derin Chałaśkiewicz), Aeon (Michał Juraś, Przemek Cymbalski, Krzysiek Stasik, Marcin Jakubowski) Lordz, Brotherhood. Teamriderów tych firm dodatkowo wsparło kilku riderów, którzy do wycieczki przyłączyli się na własną rękę (Kuba Bączkowski, Amadeusz Kraj, Michał Kulczyński, Grzesiek Doleżal, Piotrek Błaszczyk, Dominik z Chrzanowa oraz ostry zawodnik Kacper z Łodzi). Nasz bus w czasie podróży wypełniony był po brzegi zbieraniną całkowicie różnych charakterów i osobowości, których celem stał się skateboarding w Budapeszcie.

Podróż

Z powodu tego, że nie wynaleziono jeszcze teleportera, do stolicy Węgier trzeba było dostać się w inny sposób. Wybór padł na autokar. Ruszać miał on z Lublina razem z Gaborem i Piotrkiem, cichym ziomem z tego miasta. Następnym przystankiem miały być Puławy, które wydały mi się najrozsądniejsza opcją i dlatego wyruszyliśmy tam z Bródno Bejem Hindusem z Warszawki, aby w Puławach dołączyć do wycieczki. W pociągu spotkaliśmy Daniela i we trójkę dostaliśmy się do Puław. Na miejscu okazało się, że autokar się spóźni (z pół godziny zrobiły się trzy) i dzięki temu spędziliśmy urocze trzy godziny na rodem z komedii Barei poczekalni PKS. Znaleźliśmy się w środku sceny z panią sprzątaczką, kilkoma lokalnymi lumpami i całą masą oryginałów. Ten dosyć śmieszny z perspektywy czasu przypadek rozpoczął całą serię dziwnych zdarzeń, które delikatnie utrudniały nam podróż i sprawiły, że do Budapesztu przybyliśmy z opóźnieniem. Następnym przystankiem był Radom, gdzie spóźniła się z kolei armia Pogo i Aeonowcy. W Krakowie dołączyła reszta ekipy, ale nie obyło się bez małych trudności z odbiorem bagażu z przechowalni, no i trzeba było szukać Kuby Bączkowskiego, który w czasie oczekiwania na autokar zwiedzał okoliczne kluby.

Jesteśmy na miejscu

Po morderczej podróży wreszcie oczom naszym ukazała się tabliczka z napisem „Budapest". Po wjechaniu na teren miasta krajobraz zaczął przypominać nam typowy krajobraz polskich miast: duże blokowiska, zaniedbane tereny, bieda. Nie żebyśmy zobaczyli jakieś getto, ale po prostu poczuliśmy się, jakbyśmy wjechali do jednego z dużych polskich miast.

Najpierw udaliśmy się do naszej noclegowni. Okazał się nią całkiem zwyczajny budynek, z zewnątrz przypominający polskie akademiki. W środku również wszystko wyglądało zwyczajnie, tyle że nie zauważyliśmy żadnych młodych osób. Niezwyczajnie się zrobiło, gdy nagle cały główny hol naszego hotelu (okazało się, że jest to hotel robotniczy – hehe) zamienia się w Stadion Dziesięciolecia. Handel kwitnie aż do zmierzchu, znaleźć tam można było wszystko – od przemycanych papierosów, po buty – lakierki. Szczerze mówiąc, było to dla mnie coś nowego, jeszcze nie mieszkałem w hotelo-bazarze. Wtedy jednak nikt za bardzo nie zwracał na to uwagi, bo wszyscy mieli w głowie skateparki. Po krótkim czasie regeneracji udaliśmy się do pierwszego skateparku w Budapeszcie...

Hangaru

Okazało się nim wielkie undergroundowo – skłotowe pomieszczenie, w którym znajdowały się oddzielne skateparki dla rowerów, rolek i deskorolek. Miejsce to miało cyberpunkowy klimat, wyobraźcie sobie ogromne ruiny i w ich środku umieszczone przeszkody. Street course nie należał do łatwych, podjazdy, murki i raile były wysokie, dużo wyższe od tych w polskich parkach. Nie zraziło to wcale naszych riderów, którzy z minuty na minutę coraz lepiej czuli się w parku. Przeszkody w Hangarze, jak wspomniałem, nie należały do najłatwiejszych, szacuneczek należał się nawet za ollie przez funbox. Najlepiej radziły sobie osoby, które na co dzień jeżdżą w tego typu miejscach. Bartkowi Pochylskiemu chyba bardzo spodobało się to miejsce, bo jeździł bez przerwy, a triki sypał na prawo i lewo. Reszta armii Pogo też nie próżnowała, ziomki atakowały głównie raile i copingi. Największymi harpaganami okazali się dwaj opolanie – Amadeusz i Przemek, którzy rozprawili się z największą poręczą. Nie dali spokoju też największemu, płaskiemu murkowi. Kuba Bączkowski i Marcin Jakubowski, znani wielbiciele piramid, nie pogardzili tymi w Hangarze, i zaprezentowali serię flipów (Marcin raczej nollie heelów). Minusem w tym miejscu jest brak ogrzewania, ale zimno nie przeszkadzało polskim zajawkowiczom...

Miejscówki

Pomimo tego, że przez cały wyjazd temperatura na Węgrzech nie przekroczyła 0 stopni, część z nas drugiego dnia zdecydowała się na zwiedzenie miejskich spo-



tów. Dzionek ten przywitał nas lepszą pogodą, bez opadów śniegu, istniała więc możliwość, że część miejscówek będzie zdatna do jazdy. Real street skateboarders okazali się najmłodsi członkowie wyprawy, szacunek dla nich za podjęcie wyzwania w stuprocentowo arktycznych warunkach. Na szczęście w eksploracji terenów Budapesztu pomagał nam przewodnik – twórca filmów z Węgier. Najpierw zaprowadził nas na kilka miejscówek, na których, choć były bardzo fajne, niestety nie dane nam było jeździć z powodu interwencji ochrony. Wreszcie trafiliśmy na pięć schodów, za którymi znajdowała się barierka w poprzek. Dużym utrudnieniem był bardzo krótki rozpęd na dosłownie jedno odepchnięcie, spot należycie wykorzystał Krzysiek Stasik najpierw backside'em a później frontside'em. Następnym przystankiem było jedenaście dużych schodów. Miejscówka ta przypadła do gustu Żbikowi, oprócz pokonania wysokości i długości stopni Przemek musiał wygrać z mrozem i wielkim wiatrem prosto w twarz. Nic jednak nie złamie Cymbalskiego. Osiedle ZWM było godnie reprezentowane przez swojego deskorolkowca, który po kilku ładnych upadkach zaliczył przeszkodę.

Następną miejscówką był bardzo ciekawy park z zajebistą nawierzchnią i różnymi murkami. Atrakcją spotu były długie murki idące delikatnie pod górę. Większość miejscówki była skuta lodem i niedostępna, ale Krzysiek Stasik i Grzesiek Doleżal znaleźli suchy dojazd do murka i zrobili na nim po triku.

W trakcie spaceru po mieście natknęliśmy się na najlepszy spot w Budapeszcie, miejsce z murkami o dziwnym kształcie i naturalnych marmurowych wybiciach (będących elementami jakiejś rzeźby nowoczesnej). Miejscówka ta nie dość, że była w całości pokryta warstwą śniegu, to od jakiegoś czasu była zdelegalizowana dla skateboarderów. Przez wiele lat było to główne miejsce jazdy do czasu, gdy jeden z rowerzystów zbił ogromną szybę na placu.

Godspeed

Taką nazwę nosił drugi kryty skatepark, który odwiedziliśmy następnego dnia całą ekipą. Po dotarciu na miejsce zastaliśmy ogrzewane wnętrze pełne sprzętów, którymi zajarałby się każdy amator profilowanych kątów. Znajdowały się tam minirampy o wielu wysokościach. Street course dopełniały quaterpipe'y i funbox z bardzo wysoką, płaską rurką. Wielbiciele streetowych skateparków czuli się zawiedzeni tym torem, ale za to był on atrakcyjny dla przedstawicieli innej zajawki.

W miejscu tym od razu odnalazł się Bartek Pochylski pokazując, że w Polsce też jeździ się na takich przeszkodach. Do sesji dołączył Dominik z Chrzanowa, który wreszcie odnalazł miejsce przez siebie wymarzone. Jest on jedną z niewielu osób w Polsce posiadających stuprocentową oldschoolowo – poolową zajawkę. Obaj hasali po największej minirampie. Na najmniejszej mini było bardzo tłoczno. Team Pogo poczuł się na niej jak ryba w wodzie, próbując coraz to trudniejszych sztuczek.

Ostatni dzień, czyli kolejna próba streetu

Ten dzień przeznaczony został na pożegnalny rajd po miejscówkach. Znów pokazał się Jam Krzysiek Stasik. Tego dnia spodobało mu się sześć schodów, na których zrobił bs. flip i nollie flip. Po schodach nastąpiło przemieszczenie do pewnego przejścia podziemnego, które miało ściany wspaniale nadające się do wallride'ów. W tunelu najwięcej po ścianie przejeżdżał Derin. Resztę chwil w Budapeszcie spędziliśmy na murkach w centrum miasta, gdzie zrobiono ostatnie triki, po czym zgodnie zapakowaliśmy się do autokaru.

Powrót z niespodzianką

Tą niespodzianką było to, że po przejechaniu około 40 kilometrów nagle jeden z wyjazdowiczów przypomniał sobie, że zostawił kurtkę (w której był też jego portfel i dokumenty) na spocie. Cóż, trzeba było wracać, choć i tak każdy podejrzewał, że dawno nie ma zguby na tym miejscu. Rzeczywiście, po przyjechaniu na miejsce zobaczyliśmy, że po kurtce nie było śladu. po przesłuchaniu lokalnych żuli nagle ktoś z nas znalazł portfel z paszportem w śmietniku, „uczciwy znalazca" zadowolił się tylko kurtką i węgierskimi pieniędzmi (polskie zostały). Zadowoleni jeszcze raz opuściliśmy Budapeszt, by udać się w daleką drogę do Polski.

Podsumowanie

Stolica Węgier jest świetnym miejscem na deskorolkowy wypad, ale polecałbym ją raczej, gdy jest ciepło. Zimą zdecydowanie lepiej jeździć do cieplejszych krajów, bo zimno czasem potrafi być bardzo uciążliwe i źle wpływa na cały wyjazd. Budapeszt jest miastem z bardzo ładnym centrum i pięknymi starymi budowlami, które powinny spodobać się każdemu. Warto tam pojechać też, żeby przejść się ulicą i przeczytać na szyldach sklepów takie napisy jak: „ruhaz", „cipo", „kutas" i im podobne...

Dzięki wszystkim uczestnikom wyjazdu za ciekawe i popieprzone chwile na Węgrzech.



Kuba Bączkowski tuż przed wyjazdem z Budapesztu zdążył zrobić bs. smith na jednym z węgierskich murków
foto Gabor Nagy





OSIRIS

Skate video
po drugiej stronie



[illegible]ej Stacy [illegible]ralta

Na pewno niejeden z was ogląda filmy deskorolkowe. Jest to coś, co skaterzy lubią najbardziej, tam można podpatrzeć najnowsze triki, sprawdzić, na jakich miejscówkach jeżdżą prosi i wreszcie co poniektórzy mogą zobaczyć, co się w tym sezonie nosi (wiadomo, o kogo chodzi). Z filmami najczęściej kojarzymy deskorolkowców tam występujących, ew. firmę, która dany film wypuściła, ale nigdy jakoś nie pamiętamy o twórcach. A przecież powinniśmy mieć szacunek dla osób, które poświęcają cały swój czas, aby kręcić prosów. To oni wylewają pot podczas filmowania, bo mimo że pracują z najlepszymi, to i tym specom nie zawsze wszystko wychodzi za pierwszym razem. To twórcy filmów są odpowiedzialni za klimat filmu i jeżeli jakiś film nam się podoba to pamiętajmy, że jest to też zasługą kamerzysty i montażysty

tekst tOi Oi

Filmy deskorolkowe ewoluowały razem ze skateboardingiem i rozwojem techniki. aż dziw bierze, że wielkie produkcje sprzed lat przypominają obecne produkcje osiedlowe. Olbrzymi postęp techniczny sprawił, że dziś każdy może być filmowcem – amatorem. Jeszcze kilka lat temu było to nie do pomyślenia. Sprzęt był ogromnie drogi, a montaż niewiarygodnie czasochłonny. Pierwsi twórcy przecierali szlaki, którymi teraz podążają współcześni nam kamerzyści. To, co teraz jest oczywiste, dla pionierów takie nie było i trzeba było to po prostu wymyślić. Dlatego tym większy szacunek należy się pierwszym autorom filmów. Poniżej postaram się przybliżyć sylwetki najbardziej znanych kamerzystów w historii deskorolki. Jako pierwsze filmy uznałem dzieła w pełni poświęcone deskorolce, a nie krótkie migawki telewizyjne, których było bardzo dużo w latach siedemdziesiątych.

Pierwsze widea skateboardingowe to „Wheels of fire" Santa Cruz i „Search for animal Chin" Powella. Na początku lat osiemdziesiątych powstała pierwsza ekipa „gwiazd" skateboardingu. Było to słynne Bones Brigade, które zrzeszało ówczesne największe sławy tej dyscypliny: Tony Hawka, Steve'a Caballero, Raya Barbee, Lance'a Mountaina .. Wszyscy jeździli dla firmy Powell Peralta. Drugi człon firmy był nazwiskiem Stacy'ego Peralty, który był wtedy wspólnikiem George'a Powella. Odpowiedzialny był on ni mniej ni więcej tylko za filmy skateboardingowe. Stacy sam wcześniej jeździł, ale zawsze chciał robić coś więcej, niż tylko jeździć. Dlatego postanowił zapisywać dla potomnych triki swoje i swoich kolegów. Dzięki jego uporowi i konsekwencji powstało kilka filmów Powella w latach osiemdziesiątych (m.in. „Propaganda", „Ban This", Future Primitive"). Na początku lat dziewięćdziesiątych Stacy rozstał się ze swoim wspólnikiem George'em (dlatego firma w tej chwili nazywa się Powell) i rozpoczął pracę w przemyśle filmowym (jednak już nie skateboardingowym). O Stacym skateboarding jeszcze usłyszał. Trzy lata temu ukazał się dokumentalny film pt. „Dogtown and Z-Boys", który przedstawiał losy pierwszych deskorolkowców. Film ten zyskał ogromny rozgłos w świecie nie tylko skateboardingu, dostał nawet nagrodę dla najlepszego dokumentu i stał się przyczyną popularności old schoola we współczesnym skateboardingu.

> Na początku lat 80. powstała pierwsza ekipa „gwiazd" skateboardingu. Było to słynne Bones Brigade, które zrzeszało ówczesne największe sławy tej dyscypliny: Tony Hawka, Steve'a Caballero, Raya Barbee, Lance'a Mountaina...

Idąc chronologicznie teraz przydałoby się napisać o najczęściej wspominanym twórcy skate video w historii – Mike'u Ternaskym. Jego dokonań nie sposób przeoczyć. Najpierw współpracował z firmą H-Street („Hokus Pokus", „Shackle me not", „Bootleg" i „Next") i Planet Earth („Now'n later"), a później współtworzył firmę Plan B. To z filmów tego ostatniego brandu jest najbardziej znany. Najpierw zrobił najsłynniejszy film w historii – „Questionable", który był kamieniem milowym, jeśli chodzi o poziom jazdy i montażu, a później swoją pozycję ugruntował następną produkcją „Virtual Reality". Mike był wielki, do tej pory nie ma tak charyzmatycznego i cenionego kamerzysty. Pasmo sukcesów przerwała tragiczna śmierć w wypadku samochodowym. Szkoda, pomyślcie tylko, co by mógł robić w tej chwili.

W tym samym czasie co Ternasky wybił się inny twórca filmów, który jako jeden z nielicznych zdobył też uznanie szerszych kręgów. Spike Jonze (bo o nim mowa) oprócz produkcji takich filmów jak „Video Days" Blind czy serii dzieł Girl i Chocolate zrobił całą masę zajebistych teledysków, a także nakręcił dwa filmy pełnometrażowe („Być jak John Malkovich" i „Adaptację"). Spike, mimo że w tej chwili jest jedną z bardziej znanych osób w światku Hollywood, nadal nie zapomniał o swoich korzeniach i pomaga w kręceniu i montażu filmów deskorolkowych. Jego najnowsze dokonania na tym polu to wstawki przez niego reżyserowane w takich produkcjach jak: „Yeah right" i „Hot chocolate".

Lata dziewięćdziesiąte przyniosły ze sobą wielu naśladowców Ternasky'ego i Jonze'a. Sprzęt nie był już takim rarytasem jak kiedyś i coraz więcej osób zaczęło się interesować tym tematem. Duża ilość kamerzystów sprawiła, że zaczęło powstawać coraz więcej filmów, jednak w natłoku nowych rzeczy coraz trudniej można znaleźć rzeczy „z duszą". Na pewno duszę posiadały video zrobione przez Dana Wolfe'a (seria „Eastern Exposure", „Element tour", „Closure"). Dan rozsławił w swoich filmach wschodnie wybrzeże USA. Pozwolił zaistnieć wielu deskorolkowcom, takim jak: Ricky Oyola, Bam Margera, Donny Barley, Tim O'Connor. Ciekawe jest to, że po wydaniu kilku produkcji usunął się w cień. W tej chwili podobno pracuje nad czymś nowym, ale to tylko plotka. Pewnym jest natomiast to, że jeśli taktyczne pan Wolfe coś zrobi to będzie to rzecz godna polecenia.

Po Danie Wolfe'ie śmiem twierdzić, że nie było już wielkich kamerzystów. Nawet znani goście skupieni wokół TWS i odpowiedzialni za ich filmy (tacy jak Greg Hunt, Atiba czy Jon Humphries) nie są tacy, żeby stawiać im pomniki. W tej chwili na pierwszym miejscu stawiałbym Ty Evansa, który rzeczywiście robi tylko dobre rzeczy. Temu kolesiowi nie można nic zarzucić, ale i tak to nie jest to samo, co kiedyś. W dobie techniki cyfrowej można w zaciszu domowym zrobić niemal wszystko, natomiast klimat analogowej kamery gdzieś zaginął.

Nie znaczy to, że nie lubię współczesnych filmów, oczywiście, oglądam każdy, jaki tylko wyjdzie. Jednak ciężko teraz wynaleźć coś naprawdę wyjątkowego. Filmy robione przez skateboardowe brandy coraz częściej przypominają wielkie reklamy i dlatego jedyna nadzieja tkwi w niezależnych produkcjach takich jak: „Static", „North", „Seasons". W tych rzeczach widać prawdziwą zajawkę na robienie filmów, a nie pogoń za coraz to większymi railami i schodami. Żeby jednak spełnić dziennikarski obowiązek wymienię obecnych najlepszych kamerzystów, o których wcześniej nie wspomniałem. Moim skromnym zdaniem należą do nich: Lee Dupont, Jamie Thomas, Anthony Claraval, Ryan Gee, R. B. Umali, Gabe Morford. Tym, którzy są ciekawi, jak kamerzyści radzą sobie na desce, polecam film „Chomp on this".

na dole: finaliści i tryumfatorzy Columbia Polish Freeskiing Open 2005

Leci zwycięzca - Staszek Karpiel - cork 72





Zwycięska para - Staszek Karpiel i Kała Niklińska - pierwsze miejsce seniorów i pierwsze miejsce pań

polish freeskiing open
twintip mafia 2005

Zima, zima i po zimie? Nie tak szybko, numer SLG co prawda już kwietniowy, ale my nie rezygnujemy z przedstawiania zajawki na śnieg. Tym razem zajawka na śnieg i deski. Dwie deski. Mowa o freestyle'owych nartach, o których już w naszym magazynie pisaliśmy i pisać jeszcze nieraz będziemy

tekst Narciarzyk
foto WZRR

Narciarstwo freestyle'owe, zwane new schoolem, jest jeszcze w Polsce młodą dyscypliną, jednak rozwija się bardzo szybko. Nie wiem, czy pamiętacie, ale w zeszłym roku mniej więcej o tej porze w Ślizgu pojawiła się króciutka relacja z pierwszych międzynarodowych mistrzostw Polski we freeskiingu – Polish Freeskiing Open. Niedawno odbyła się druga edycja tej imprezy – Columbia PFO 2005. I widać było różnicę. Rok temu zawodników było dużo mniej, poziom nie był tak wysoki, mało który narciarz jeździł po poręczach, w końcu na relację miałem tylko jedną stronę, teraz mam trzy! Zacznijmy jednak od początku.

Miejsce akcji – Zieleniec, małe miatsteczko (jeśli miasteczkiem można nazwać drogę, domy przy drodze i wyciągi), ale mające swój urok i – jak zachwalają foldery turystyczne – „specyficzny mikroklimat", miejsce, w którym po raz drugi Andrzej Lesiewicz, zwany Leskim, zdecydował się zorganizować PFO. Niby daleko, niby dzicz, a jednak wybór trafny, w Zieleńcu jest po prostu inaczej, niż we wszystkich innych polskich „kurortach" zimowych.

Same zawody odbyły się na jednym z Zielenieckich stoków, w miejscu trochę lepszym niż w zeszłym roku. Lepszym, bo bardziej „cywilizowanym", bardziej w centrum i dostępniejszym dla kibiców, których mimo nienajlepszej pogody było całkiem sporo. No właśnie, pogoda jest jedynym czynnikiem, na który nikt nie ma wpływu. W zeszłym roku było słonecznie, choć wietrznie, w tym roku było szaro, buro i ponuro – co widać na załączonych do materiału zdjęciach, niestety. Pogoda pogodą – nic jednak nie może przeszkodzić napalonym narciarzom w rozegraniu ich mistrzostw.

Do dyspozycji zawodników postawiono, po małych konsultacjach, dwie skocznie – dużą i jeszcze większą – tak na oko z 15 m stołu i z 18 m, lądowanie w kącik. Choć nie zabrakło narzekających i na skocznie, i na lądowanie, to w rezultacie wszyscy dawali radę, jak nie z jednej hopy, to z drugiej. Dalej coś dla miłośników metalu – raile: duży, łamany rail z kątownika i mały prosty railik. No, jeśli chodzi o sekcję jibbingową, to nie wyglądała ona zbyt okazale, wyglądała wręcz biednie, ale co z tego, to, co się działo podczas rail session, to przechodzi ludzkie pojęcie, ale o tym może później.

Ponieważ PFO jest jedyną oficjalną narciarską imprezą w Polsce, przyjechali na nią wszyscy chcący istnieć we freeskiingowym światku narciarze z naszego pięknego kraju. Pojawili się Staszek i Szczepan Karpińscy, Kala Niklińska, Jan Krzysztof, Paweł Górniak, kontuzjowany Marcin Kaliński i inni z Zakopanego, pojawił się Kostek Strzelski z Krakowa, Marek Doniec, który przesiadł się w tym roku z krótkich nartek na długie, pojawił się senior polskiego new schoolu Sollys z ekipą z Trójmiasta, z okolic Wisły przybyli Sandro z Elvisem i Pinkim i wielu, wielu innych. Z zagranicy pojawił sie Czech Tomas Gurior ze swoją ekipą. Tomas jest zeszłorocznym triumfatorem PFO. Poza wyżej wymienionymi stawiło się kilkunastu, jak nie kilkudziesięciu zawodników, co w porównaniu z uczestnikami wspominanej w tym artykule już nie raz imprezy z roku 2004, było liczbą wyraźnie wyższą, świadczącą o nieuchronnie rosnącej popularności tego sportu.

Jedno się tylko nie zmieniło – jedyną startującą dziewczyną na freestyle'owych nartkach była Karolina Niklińska, tak jak rok temu. Halo? Kala jeździ bardzo fajnie, ale gdzie są inne dziewczyny?

Co do jazdy chłopaków, to trzeba powiedzieć, że poziom podniósł się wyraźnie, zwłaszcza jeśli chodzi o Staszka, Jana Krzysztofa i przede wszystkim Marka Dońca, który jeździ na twintipach niecały sezon i zapina spokojnie takie triki jak rodeo 72. A poza tym eliminacje przyniosły całe mnóstwo trzysółek, pięćczwórek i innych rotacji, ludzie zaczynają skakać na tych swoich nartkach coraz konkretniej. Poza tym wyróżniali się Czesi, Jasiek Pawlikowski, Sandro i powyżej wspomniani.



Dziki i trik, którym wygrał Jibb Session - switch na grind zejście pretzel



Wreszcie przyszedł czas na eliminacje do Jibb Session. Tu wystąpiła mocna załoga w składzie Elvis, Pinki, Dziki, Tomekk - to faworyci, a obok nich Staszek Karpiel, Wiking, Kostek i inni, dzielnie walczący z łamanym i ślizgający się po prostym railu. W eliminacjach nic nie zapowiadało tego, co miało nastąpić w finale Jibb Sesji, poszło co prawda parę transferów, switch wejścia na łamańca i zejścia 27 z prostego. W finale wyobraźcie sobie zawodnicy zwariowali, próbowali robić rzeczy, których nigdy wcześniej nie robili: Jan Krzysztof rzucał na łamanego na prostym grind na swoją nogę, łamanie na drugą, Kostek chciał wchodzić na raila cztery piątką, wszyscy zaliczali gleby straszne, ale publiczności się podobało. W końcu poszły konkrety, Dziki zrobił wejście switch na łamańca pretzel out, Elvis zrobił straszliwy transfer i zejście 45 z małego raila, uff działo się konkretnie. Jak zakończyła się rywalizacja na poręczach? Sprawdźcie wyniki na końcu tekstu.

Finały Big Air były bardziej niż oczekiwane. Wszyscy pytali: kiedy skaczą? I zaczęli skakać. Najszybciej swoje trzy finałowe loty zaliczył zdobywca trzeciego miejsca Marek Doniec. Mareczek był w stanie chorobowym i naprawdę nie wiem, w jaki sposób w tym stanie (na podium ledwo stał na nogach) mógł sobie tak fruwać rzucając 72 i rodea. Tomas Guzior – drugie miejsce, jeden z tegorocznych faworytów, zrobił w finale trik dnia: zawinął chłopak switch rodeo 72 – respekt, dostał za to Playstation 2, zajarał się tym strasznie. Pierwsze miejsce zajął niewątpliwie najlepszy polski narciarz freestyle Staszek Karpiel, luźno, ale pod pełną kontrolą zawijał dalekie cork 72 i rodea, do tego robił to naprawdę stylowo. Gratulujemy pierwszej trójce, gratulujemy wszystkim, którzy pojawili się w Zieleńcu.

Podsumowując imprezę, można tylko powiedzieć to, co już się w SLG pojawiało, freestyle'owe narty są świeżą zajawką, ale naprawdę wartą zainteresowania, tak więc w przyszłym roku na PFO pewnie będzie jeszcze więcej zawodników i kibiców, my tam też będziemy, na bank. Yo!

PS. Po zawodach odbyło się szałooooone Red Bull Party w słynnej już Zieleniecklej Piątce, ale to zupełnie inna historia, elooooo!



BIG AIR SENIORZY:
1. Stanley Karpiel
2. Tomas Guziur
3. Marek Doniec

BIG AIR JUNIORZY:
1. Janek Krzysztof
2. Szczepan Karpiel
3. Andrzej Benes

RAIL SESSION:
1. Bartek Letito
2. Łukasz Lewandowski
3. Janek Pawlikowski
3. Martin Vranec

KOBIETY:
1. Karolina Niklińska

BEST TRICK:
Tomas Guziur – Switch Rodeo 7

Best CRUSH:
Maciek Kozłowski – sakramenckie faceplanty po kilku skokach

Marek Doniec połamany przez chorobę i inne bakterie, ale jednak na wysokości i na luzie rodeo 72

Tom Kotrba - reprezentant Czech - 720 w finałowym starciu.



Snowboardcross
pilsko 2005

Już za nami największa porcja snowboardowej adrenaliny w tym roku. Po raz drugi w historii polskiej deski w Korbielowie odbyły się otwarte zawody w snowboardcrossie

tekst i foto Furora Team



W snowparku na górze Pilsko w dwudniowej imprezie wystartowało prawie 70 facetów i 20 kobiet. Tor był dość wypasiony, bo składał się z trzech skoczni, pięciu band i dwóch sekcji rolerów. Był szybki i techniczny, z którym większość jednak dawała sobie radę. Zwłaszcza na treningu, bo w trakcie zawodów górę brała adrenalina, która aż ścinała mroźne powietrze. Walk na torze, konkretnych upadków i ostrej jazdy było jak na filmie z Bruce'em Lee. Nie obyło się bez paru kontuzji. Pecha miał Wojtek, jeden z organizatorów, który dostał się do finału, ale w nim nie wystartował, bo w tym czasie jechał karetką. Na szczęście wszystko jest ok. Większość wyjeżdżała z Korbielowa zadowolona, a najlepsi bogatsi o fanty od Fanatica, Croppa i mountainboard.com.pl.

W organizacji zawodów pomagała nam ekipa ze szkoły snowboardowej Siajba, która zapewniła konkretną oprawę muzyczną. Podziękowania za pomoc dla GATu, ON PILSKO, ekipy z Krakowa i z WAWY, szczególnie dla Szybkiego. Na naszej stronie www.pilsko.info możecie obejrzeć parę fajnych zdjęć Figoora i Fally'ego z tej imprezy i ściągnąć zajawkowy filmik Martineza. Pozdro i do zobaczenia za rok.

SNOWCROSS jest najmłodszą, regularnie rozgrywaną od 6 lat, stale zyskującą na popularności dyscypliną wśród wszystkich konkurencji snowboardowych. Jako dyscyplina olimpijska zadebiutuje na zimowych Igrzyskach w Turynie w 2006 roku. Trasa zjazdowa jest usiana przeszkodami takimi jak ostre zakręty, muldy, skoki, nawroty o 360 stopni i różne inne zasadzki, które zmuszają zawodników do wykorzystywania rozmaitych technik jazdy i skoków. Dla miłośników snowboardu i to zarówno zwolenników stylu freestyle, jak i alpejskich zjazdów, snowcross stanowi ciekawą, ekscytującą i trudną propozycję. Jak wszystkie niebezpieczne sporty snowcross przyciąga ogromną publiczność, chętną do przeżycia mocnych wrażeń i obejrzenia ekscytującego widowiska. Zawody snowcrossu składają się z rundy kwalifikacyjnej i finałowego Knock-Outu. Do finałów przechodzą zawodnicy, którzy uzyskali najlepsze czasy przejazdów w rundzie kwalifikacyjnej: pierwszych 32 mężczyzn i 16 kobiet. Biorą oni udział w finałach, gdzie jednocześnie walczy ze sobą czterech zawodników, a dwóch najlepszych przechodzi do następnej rundy.

Trenerem polskiej reprezentacji snowcrossowej jest były zawodnik, Marcin Sitarz (29 l.). Pod jego okiem trenują do występu w Turynie dwaj najszybsi Polacy: Rafał Skarbek Malczewski i Mateusz Ligocki.

Wyniki:

Kobiety:
1. Aśka Zając
2. Ewa Jabłońska
3. Emilia Ptaszek

Mężczyźni:
1. Maciej Jodko
2. Jamaj Junior
3. Dżamis


PODIUM



hajd park
łukasz zieliński



Łukasz Zieliński jest skaterem z warszawskiego Gocławia z długim stażem jazdy. Mimo upływu lat zajawka w nim aż kipi, odczuwają to wszyscy, którzy z nim jeżdżą. Teraz macie możliwość przeczytać to, co specjalnie dla was napisał Zielik, bo jak do tej pory słyszeliście głównie jego wrzaski w skateparku...

tekst Ł4Z

Witam Cię, miły czytelniku i zachęcam do przeczytania tych kilku słów, które mam Ci do przekazania. Wybrałem temat, który od pewnego czasu nie daje mi spokoju a mianowicie, w co wierzą młodzi ludzie i jakimi kierują się wartościami no i czy w ogóle takowe posiadają.

Jak każdy zbuntowany nastolatek miałem swój pomysł na życie i wierzyłem, że go zrealizuję za wszelką cenę. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że buduję zamki na piasku, a moje wartości życiowe tak naprawdę są gówno warte. Trudno mi przychodziło słuchanie rodziców, a co dopiero obcych ludzi, którzy usiłowali nakierować mnie na dobrą drogę. Myślałem sobie „co oni wiedzą o życiu, przecież to stare pryki, którym nie wyszło i teraz za wszelką cenę poprzez moją osobę chcą wszystko naprawić". Kiedy słyszałem „bądź uczynny, szanuj starszych, mów zawsze prawdę, nawet tę najgorszą, staraj się być kulturalny i wyrozumiały, szanuj zdanie drugiej osoby", to szlag mnie trafiał i odpowiadałem: komu to potrzebne w tych czasach, teraz liczą się inne rzeczy. Bunt mój trwał jakiś czas i było mi z tym bardzo dobrze, wierzyłem, że to, co sobie założyłem, spełni się w 100 procentach.

Pewnego dnia powinęła mi się noga i stanąłem przed bardzo poważnym wyborem: czy dalej brnąć w swoim gównie, czy może jednak posłuchać starszych i doświadczonych ludzi. Wybrałem wariant B i dzięki temu trzymam się do tej pory na powierzchni. Zrozumiałem, że nie warto bez sensu walić głową w mur, bo to nic nie da. Zacząłem słuchać ludzi, rozmawiać z nimi, a rodzice od tego momentu stali się wyznacznikiem prawdy i wartości, w które zacząłem wierzyć i wierzę do tej pory.

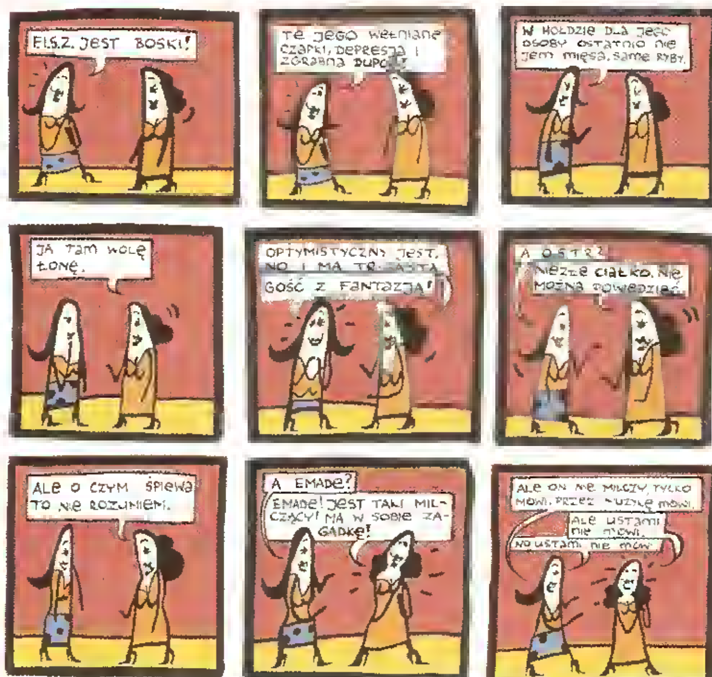
Z perspektywy czasu mogę śmiało powiedzieć, że dla mnie współczesne dzieciaki nie mają żadnych wartości, a to, w co wierzą nie ma nic wspólnego z otaczającą je rzeczywistością. Każdy chce mieć kupę szmalu, własny interes, piękną dziewczynę i święty spokój. OK, tylko żeby do tego wszystkiego dojść, trzeba mieć trochę oleju w głowie, a z tym jest problem. Niedawno usłyszałem „po chuj mi szkoła, tam niczego nie uczą, co by mi się w życiu przydało". Świetne podejście, lepiej być głąbem i dołączyć do szeregu przeciętnych Polaczków, którym nic nie pasuje, a wszystkie sprawy załatwiają za pomocą pięści, bo jak inaczej mogą, przecież rozumu nie mają. To jeden z licznych przykładów, z jakimi spotykam się na co dzień. Kiedyś zapytałem swojego młodszego kolegę, co jest dla niego ważne w życiu? Nie zgadniecie, co mi odpowiedział. Stwierdził, że najważniejsze w życiu jest leżenie jajami do góry i nic nie robienie. Tak mi odpowiedział i naprawdę w to wierzy. Co to kurwa jest, czy ja jestem już taki stary, czy te dzieciaki są takimi prostakami? Przecież to ja przeżyłem pierdolony Czernobyl i to po mnie można by się spodziewać braków. Nie chcę myśleć, jaką sieczkę w głowie mają współczesne dziewczyny, ale jak kiedyś jechałem autobusem i słyszałem o czym rozmawiają, to nic dobrego im nie wróżę.

Na tym kończę i mam nadzieję, że da Wam to do myślenia i zaczniecie dostrzegać rzeczy ważne i wartościowe.

Pozdrawiam.



hajd park
od czytelników



Agnieszka „@gucha" Prygiel poza studiowaniem w Poznaniu, zajmuje się hobbystycznie rysowaniem komiksów dotyczących różnych sfer życia, które przesyła szczęśliwym wybrańcom. Zobaczcie jej pracę odnośnie muzyków Asfalt Records.

- sklepy, w których kupisz Ślizg!!!

Informacje pod telefonem
tel. 0-prefix-22 825 49 07

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
4115001777-1217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3	6	12	miesięcy
20 PLN	40 PLN	76 PLN	



opłata

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 4115001777-1217700665180000

W P waluta PLN kwota

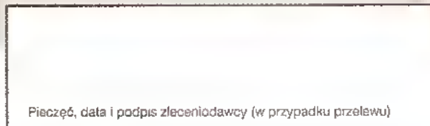
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata: na okres od miesiąca numery archiwalne +koszt przesyłk



Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
4115001777-1217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3	6	12	miesięcy
20 PLN	40 PLN	76 PLN	



opłata

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 4115001777-1217700665180000

W P waluta PLN kwota

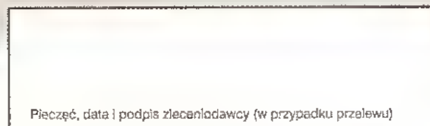
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata: na okres od miesiąca numery archiwalne +koszt przesyłk



Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA BANKU WPŁACAJĄCEGO


wyłączny dystrybutor
MAYER
SKATE & SNOWBOARD
Poznań Mostowa 11 tel 8501505 fax 8501504
www.mayer.pl
RYAN GALLANT
BACKSIDE HEELFLIP.
TO LEARN MORE ABOUT SUPER SUEDE AND OUT
THE LTD. LYNX 2 GO TO: WWW.DCSHOES.COM


DCSHOECOUSA